

■ Okrutne oblicze losu — str. 5

■ Bar w „Piwnicy pod Baranami” — str. 7

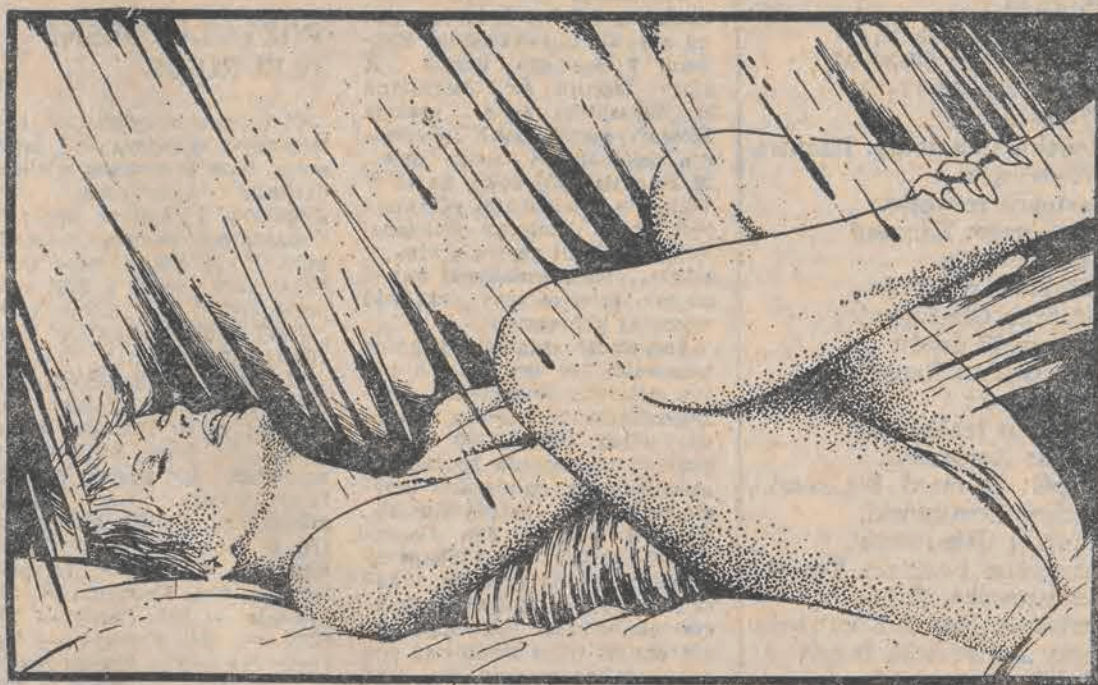
■ Władza sowiecka czy sołowiecka? — str. 14

■ Zawilą drogą do sukcesów — str. 1 i 4

■ Seks po japońsku — str. 6

Zwierzanie ich uczestnika!

Co to są „baleciki”? — czytaj str. 6



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 50 (1602)

ROK XXXI

11 GRUDNIA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ



40 lat
Łódzkiej Szkoły
Filmowej

Jak przed wojną robiono filmy i dlaczego musiała powstać szkoła filmowa w Łodzi.

Zawilą drogą do sukcesów

Rozmowa z JERZYM BOSSAKIEM, profesorem, współtwórcą szkoły filmowej, wychowawcą wielu reżyserów.

— Jakie były początki szkolnictwa filmowego w Polsce?

— Zaczęło się od przypomnień, że film polski okresu międzywojennego nie żył ambicjami artystycznymi, był chałupniczym przemysłem, nastawionym wyłącznie na produkcję „towarową”, adresowaną do widzów, której obce było wszelkie zainteresowanie sztuką. Do kina przychodzili przede wszystkim ludzie, którzy w ogóle nie

czytali książek, a jeśli nawet czytali, to lektury ich ograniczały się do powieści bulwarowych. Ich klasykami w dziedzinie beletrystyki byli Mniszkówna, Decobra, a w najlepszym razie Conan Doyle, twórca postaci Sherlocka Holmesa. W tym czasie na Wschodzie i na Zachodzie powstawały już nie tylko filmy „towarowe”, ale także prezentujące wartości prawdziwie artystyczne.

Należę do tych, którzy już we wczesnej młodości podjęli „życiową” decyzję. Postanowiłem zostać reżyserem filmowym, ale moimi idealami byli w tej dziedzinie Griffith, Eisenstein, Gance. Dla takich nie byłoby w polskiej produkcji miejsca i dlatego właśnie zostałem — przejściowo — krytykiem i publicystą filmowym. Nie byłam oczywiście w takim widzeniu sztuki filmowej odo-

Collage: Grzegorz Galasiński

sobniony. Działając już „Start”. Przystąpienie do „Startu” zaproponowali mi Jerzy Toeplitz i Stanisław Wohl.

W programie „Startu” znalazły się przede wszystkim postulaty następujące: pomoc państwa w inicjatywach, mających na celu popieranie sztuki filmowej; powołanie do życia Państwowej Szkoły Filmowej (na podobieństwo już działającego Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej); realizowanie — w ramach polityki kulturalnej — takich działań, których celem byłoby wpływanie na poziom gustu widzów.

Jako publicysta i recenzent filmowy atakowałem naszą rodzimą produkcję, nie więc dziwnego, że szybko uznany zostałem przez nasz przemysł kinematograficzny za szczególnie niebezpiecznego wroga. Na łamach popularnego podówczas

Czy nad łóżkiem umierającego wisiał portret Edwarda Rydza-Śmigłego!

Testament Komendanta

CEZARY LEŻEŃSKI

Przełom stycznia i lutego 1935 roku był porą wyjątkowo zimną. Przenikliwy mróz dawał się wszystkim we znaki. W ten chłodny czas do Warszawy doszła wiadomość o zgonie Zofii Kadeńcowej, siostry marszałka Piłsudskiego. Na pogrzeb do Wilna komendant pojechał salonką wraz ze stałym towarzyszącym mu w takich podróżach inspektorem Ministerstwa Komunikacji, Schmidtem.

Do Warszawy wrócił w dniu 9 lutego. Pociąg, w składzie którego był wagon specjalny, wjechał na Dworzec Wileński. Za chwilę na peronie ukazał się marszałek. Podtrzymywany przez Schmidta, wychudzony, z trudem szedł w stronę samochodu. Scenę tę u wyjścia z dworca uchwycił obiektywem fotoreporter warszawskiego koncernu IKC Jan Binek, uprawniony fotograf zamkowy. Było to przejmujące zdjęcie człowieka ciężko schorowanego. Fotografii skonfiskowano na polecenie wydziału społeczno-politycznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ukazała się dopiero w numerze „Światowida” donoszącym o śmierci marszałka. Równocześnie 10 kwietnia oddział prasowy Komisarzatu Rządu oraz urzędy wojewódzkie i starostwa zabroniły dziennikarzom publikowania jakichkolwiek wiadomości o stanie zdrowia Piłsudskiego.

Ale i tak to się rozniósło po kraju. Najpierw wieść ta obiegła koła rządowe, potem generalicję, wreszcie legionistów, aż dotarła do ludzi dobrze poinformowanych.

— Komendant jest ciężko chory. Co będzie, jak go nie stanie? Kto go zastąpi?

Snuto różne przypuszczenia. Niektórzy wymieniali Sosnkowskiego, legionowego szefa. Inni pominęli rolę generała w czasie zamachu majowego i późniejszego bocznego toru, na którym tkwił z woli Piłsudskiego, wymieniali jako kontrkandydata Rydza-Śmigłego. O nim się też wspominało w kołach wojskowych zbliżonych do Belwederu. Nazwisko to padało tak powszechnie, że odnotował je w pamięci nawet kilkunastoletni Zbigniew, syn chorążego Walentego Wójcika, legionisty z osobistej ochrony marszałka. Nie było w tym nic dziwnego, przecież w grudniu 1922 roku Piłsudski wystawiając opinię generałowi tak pisał o Rydzu:

„Pod względem charakteru dowodzenia.

Silny charakter żołnierza, mocna wola i spokojny, równy, oparty charakter. Pod tymi względami nie zawodził mnie ani w jednym wypadku. Wszystkie zadania, które mu stawiałem jako dywizjonerowi czy dowódcy armii, wypełnił zawsze energicznie, śmiało, zyskując w pracy zaufanie swoich podwładnych, a rzucił go zawsze podczas wojny na najtrudniejsze zadania. Pod względem mocy charakteru i woli stoi najwyżej pośród generałów polskich. Z podwładnymi jest równy, spokojny, pewny siebie i sprawiedliwy. Natomiast co do otoczenia własnego i sztabu — kapryśny i wygodny, szukający ludzi, z którymi by nie potrzebował walczyć lub mieć jakiegokolwiek spory. W pracy operacyjnej ma zdrową, spokojną logikę i uporczywą energię dla spełnienia zadania. Śmiało koncepcje go nie przerazają, niepowodzenia nie łamią. Szybko zyskuje duży wpływ moralny na podwładnych. Piękny typ żołnierza, panującego nad sobą i mającego silną dyscyplinę wewnętrzną. Pracuje zawsze dla rzeczy, nie dla ludzi.

Pod względem objętości dowodzenia.

Polecam każdemu dla dowodzenia armią. Jeden z moich kandydatów na Naczelnego Wodza. Bałbym się dla niego dwóch rzeczy: 1) że nie dałby sobie rady w obecnym czasie z rozkapryszonymi i przerażonymi ambicjami generałów i 2) nie jestem pewien jego zdolności operacyjnych w zakresie prac Naczelnego Wodza i umiejętności mierzenia sił nie ze zbrojnymi, lecz całego państwa swego i nieprzyjacielskiego”.

Nieźlą też, choć nieco gorszą opinię wystawił marszałek Kazimierz Sosnkowski:

„Pod względem charakteru dowodzenia.

Umysł bardzo rozległy, zdolności duże, małe przygotowanie pod względem operacyjnym, niepewność siebie w wielkiej grze czasem, przestrzenią, siłami własnymi i nieprzyjacielskimi, grze, która jest koniecznym udziałem

11

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorczyński,
Andrzej Gębarowski,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Zofia
Kędziora, Marek Koprowski,

Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej

Makowiecki, Paweł
Tomaszewski, Marian
Zdrojewski.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Galański.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Białecki,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gądomski,

Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Wasyl
Kocznów (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,

Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy

Panasewicz, Maciej
Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i O-
głoszeń Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
tel. 32 89 11

Organizacja reklamy: Andrzej
Bartolewicz tel. 36-80-99

Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa
-Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa Książka
-Ruch” Łódź, ul. Armii Czerw-
nej 28

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wiada

Warunki prenumeraty: 1 Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woj-
wódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa Książka
-Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — in-
stytucje i zakłady pracy zloka-
lizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa Książka-Ruch”, opłaca
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli 2 Dla
indywidualnych prenumera-
tów — osoby fizyczne zamiesz-
kujące w miastach wojewódz-
kich i w miastach wojewódz-
kich gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa Książka-Ruch” opłaca
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa Książka-Ruch” opłaca
prenumeratę wyłącznie w urzę-
dach pocztowych nadawczo od
dawców wliczając w to koszt
zaopiniowania prenumeratora

Wpłat dokonuje się używając
blankietu wpłaty na rachunek
bankowy mieszczonego Oddziału
RSW „Prasa Książka-Ruch” 3
Prenumeratę ze zleceniem wy-
syłki za granicę przyjmuje
RSW „Prasa Książka-Ruch”
Centrala Kierownictwa Prasy i
Wydawnictw ul. Powarowa 23,
00-458 Warszawa konto PKO BP
KX 14141 w Warszawie nr
1633 20145 139 11 Prenumerata
ze zleceniem wysyłki za granicę
poczta wysyła listem droższym
od prenumeraty krajowej o 50 proc
dla zleceń dawców indywidual-
nych i o 100 proc dla zleceń
cy instytucji i zakładów pra-
cy Terminy przyjmowania pre-
numerat na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na 1
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
od dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego

Zam. 3564, S-10.

Przegląd prasy

Trzydzieści lat temu społeczeństwo polskie było poruszone sprawą uprowadzenia Bohdana Piaseckiego, ucznia X klasy Liceum św. Augustyna w Warszawie, syna prezesa Stowarzyszenia „PAX”. Porwania dokonano w biały dzień, 22 stycznia 1957 roku, na ulicy Wejnera. Świadcami zdarzenia byli trzej koledzy Bohdana, którzy wracali razem z nim ze szkoły. Jeden zanotował nawet numer rejestracyjny taksówki wiozącej kidnaperów.

Porywacze zażądali okupu w wysokości 100 tys. złotych i 4 tys. dolarów. (Przebieg wy-nagrodzenia miesięczne wynosił wtedy około 1200 zł). W próbach nawiązania kontaktu z anonimowymi sprawcami uczestniczyli m.in. ksiądz Suwała, Ryszard Reiff i Jan Dobraczyński. Ostatni raz kidnaperzy odezwali się 28 stycznia i ka-zali czekać na dalsze instruk-cje telefoniczne. Prawdopodobnie chcieli tylko skierować po-dejrzanych na boczny tor, bo chłopca zamordowali już wcze-sniej.

Sledztwo od samego początku toczyło się zdumiewająco opie-szałe. Milicja nie potrafiła usta-lić najprostszych faktów. Na-tomiast pracownicy „PAX” bez trudu znaleźli taksówkę nr T-75-222, należącą do Miejskiego Przedsiębiorstwa Tak-sówkowego, oraz kierowcę I-gnacego Ekerlinga. Ten ostatni szykował się do wyjazdu z Polski na stałe. W trzy dni po uprowadzeniu otrzymał paszport i zdążył wyjechać za granicę swój majątek. Tylko dzięki interwencji Bolesława Piaseckiego został zatrzymany w kraju.

Zaniepokojona przebiegiem śledztwa grupa intelektualistów i działaczy społecznych wysta-wiała list otwarty do Proku-ratora Generalnego, Ministra Spraw Wewnętrznych i Mini-stra Sprawiedliwości. Nie uda-ło się go wprawdzie opubliko-wać w „Tygodniku Powszech-nym” ani w miesięczniku „Pań-stwo i Prawo”, ale odniósł za-mierzony skutek. Władze pod-jęły bardziej energiczne działa-nia. Wtedy dopiero — po wie-lu miesiącach — aresztowano Ignacego Ekerlinga i przeszu-kano jego mieszkanie.

Pisze o tym wszystkim w „TYGODNIKU POWSZECH-NYM” (nr 48) Maciej Kozłowski. W artykule wykorzystał dokumentację zebraną przez Petera Raina w książce pt. „Sprawa zabójstwa Bohdana Piaseckiego” (Oficina Poetów i Malarzy, Londyn 1988, stron 88).

W domu Ekerlinga znalezio-no adresy osób mieszkających w pobliżu punktów kontakto-wych ustalonych przy żądaniu okupu. W notatniku był szkic z zaznaczoną szkołą, do której uczęszczał Bohdan Piasecki. Na tej podstawie oskarżono tak-sówkarza o współudział w zbrodni.

„Bliższe zbadanie środowiska, w jakim obracał się Ekerling wykazało, że pozostawał on w kontaktach z byłymi funkcyj-nariuszami UB, którzy zdążyli już wyjechać do Izraela. Miedzy innymi jednym z jego bli-skich znajomych był niejaki Jan Kossowski, pracownik KM MO, który jesienią 1957 roku wyjechał do Izraela. W okresie, gdy nastąpiło porwanie, Kos-sowski zajmował lokal przy ul. Świerczewskiego 82, a nale-żący do działu gospodarczego KM MO. I w tymże właśnie budynku, w piwnicy, 8 grud-nia 1958 roku dokonano dra-matycznego odkrycia. W nie używanej ubikacji hydraulicy odkryli zwłoki zamordowanego chłopca. Był to Bohdan Pia-secki”.

Ignacy Ekerling miał być są-dzony 20 i 21 listopada 1959 roku. Jednakże na kilka dni przed rozprawą prokuratura wycofała akta w celu uzupeł-nienia. A oskarżonego zwol-niono z aresztu. Co więcej — gdzieś zginęły niektóre dowody rzeczowe. Poinformował o tym władze partyjne i rządowe Bo-leśław Piasecki.

„Wszystkie memorialy i pisma Bolesława Piaseckiego po-zostawały bez odpowiedzi. W październiku 1977 roku zmarł Ignacy Ekerling, w styczniu 1979 roku zmarł Bolesław Pia-secki. Przed śmiercią poprosił swego drugiego syna, Jarosła-wa, o kontynuowanie starań w

celu wyjaśnienia tej tragicznej sprawy”.

Jarosław Piasecki pisał już do Prokuratora Generalnego (1981 r.) i do generała Woj-ciecha Jaruzelskiego (1984 r.). Otrzymał odpowiedzi z wyra-żami współczucia oraz wyjaś-nienie, że śledztwo umorzono z powodu niewykrycia sprawców zbrodni.

POZYCJA POLSKI W EUROPIE

O życiu poszczególnych spo-łeczeństw syntetycznie infor-mują dane obrazujące wielkość dochodu narodowego oraz strukturę i poziom spożycia. Badania porównawcze prowadzi m.in. Biuro Statystyczne ONZ. Najnowsze wyniki z 1983 roku prezentuje w miesięczniku „WIEŚ WSPÓŁCZESNA” (nr 10) Jan Gawroński.

W grupie 20 badanych kra-jów europejskich Polska ma 7,6 proc. ogółu ludności, a wy-twarza 3,6 proc. dochodu na-rodowego. Jeśli poziom produk-tu krajowego na jednego mieszkańca Polski przyjąć za 100, to inne państwa mają na-stępujące wskaźniki: Luksem-burg — 332, Norwegia — 332, Szwecja — 304, Dania — 303, RFN — 301, Francja — 283, Finlandia — 279, Wielka Bryta-nia — 270, Austria — 270, Włochy — 268, Holandia — 264, Belgia — 264, Hiszpania — 183, Irlandia — 167, Grecja — 145, Portugalia — 138, We-gry 127, Jugosławia — 119, Polska — 100, Turcja — 84.

„Zwraca uwagę niekorzystna pozycja Polski: z dochodem na-rodowym wynoszącym 4000 do-larów nasz kraj zajmował przedostatnie miejsce w bada-niej grupie. Dwanaście krajów miało dochód 2,6—3,3 raza wyż-szy niż Polska. Dość istotnie wyprzedzały nas również kraje mniej zamożne, jak Grecja (o 45 proc.), Węgry (o 27 proc.) i Jugosławia (o 19 proc.). Jedynym krajem, mającym niższy niż my dochód narodowy na mieszkańca, była Turcja”.

W jeszcze gorszej sytuacji znajdujemy się pod względem poziomu spożycia produktów i usług na jednego mieszkańca. Jeśli przyjmiemy nasz poziom za 100, to spożycie ogółem w innych krajach wynosi: Szwec-ja — 361, Luksemburg — 358, Dania — 352, RFN — 344, Francja — 337, Wielka Bryta-nia — 325, Belgia — 325, Wło-chy — 320, Norwegia — 316, Holandia — 312, Finlandia — 302, Austria — 292, Hiszpania — 228, Irlandia — 184, Grecja — 183, Portugalia — 160, Węgry — 141, Jugosławia — 137, Pol-ska — 100, Turcja — 86.

Wśród badanych 20 krajów Polska miała najniższy poziom spożycia żywności. Nawet Tur-cja wyprzedzała nas o 80 proc. oraz Węgry i Jugosławia o 44 procent.

„Należy jednak podkreślić, że pod względem spożycia żywności mamy relatywnie lepszą sytuację niż pod względem po-zioomu zamożności mierzonej spożyciem ogólnym i niepo-równanie lepszą niż pod wzglę-dem spożycia artykułów nieży-wnościowych. W najbardziej rozwiniętych krajach europejskich ludność spożywa 3,5—4,3 raza więcej produktów prze-mysłowych i usług niż w Pol-sce”.

Na szczęście minister prze-mysłu Mirosław Wilczek jest optymistą. W wywiadach u-dzielnionych „PRZEGŁADU TYGODNIO-WEGO” (nr 48) i „POLITYKI” (nr 48) przedstawia koncepcję ożywienia gospodarki. Mamy dość ludzi, surowców i mate-riałów. Natomiast w niedługim czasie musimy zwiększyć aż trzykrotnie produkcję energii elektrycznej na głowę.

„Na dalszą metę energię be-dziemy musieli oprzeć na elek-trowniach jądrowych. Wiem, będą protesty, Zieloni protestu-ją na całym świecie, np. we Francji; tylko że Francja 70 proc. energii czerpie z elektro-ni jądrowej! My nie mamy jeszcze ani jednej. Ale u nas już protestują. Jeżeli jeszcze biskup mi tu pisze, bo napisał, że jest przeciw, ja jestem go-tów go zrozumieć; to jest czło-wiek szlachetny, chce dobrze, a na energię jądrowej się nie zna. Ale jak mi inżynierowie takie dyrdymały piszą, to ja takich inżynierów nie potrze-buje. Musimy się zdecydować: albo żyć po ludzku i z energią atomową, jak cały cywilizo-wany świat, albo do pieczonej i lutywo!”

CO NAM GROZI?

Na świecie pracują już 374

reaktory energetyczne dające 15 proc. całkowitej produkcji prądu. Na naszym kontynencie w eksploatacji jest 208 bloków, w budowie 79, w planach 73. Najwyższy udział energii ją-drowej mają Francja i Belgia. Polska zaś zamierzała urucho-mić do 2000 roku trzy silowne atomowe, ale na razie opóźnio-na jest budowa pierwszej w Żarnowcu.

Bogdan „Mikolajczyk” pyta w „TRYBUNIE LUDU” (nr 272), czy mamy dalej truć ludzi i środowisko emisjami gazów i pyłów z elektrowni węglowych, czy też postawić na ekologicznie czyste elektrownie jądrowe? Jest to pytanie o przyszłość na-szego rozwoju.

Po katastrofie w Czernobylu ludzie boją się jednak elektro-ni atomowych. Czy słusznie? Na to pytanie odpowiada w miesięczniku „PROBLEMY” (nr 11) prof. dr hab. Zbigniew Pa-weł Zagórski, który od 1958 r. pracuje bez przerwy w kraju i za granicą z dozimetrem na fartuchu.

Jego zdaniem rzeczywiście niebezpieczne są reaktory gra-fitowe RBMK budowane w Związku Radzieckim. Zagroże-nie przypomina gotowanie jak-iej na bezce z benzyna. Nie tylko błąd ludzki może dopro-wadzić do tragedii, lecz także błąd pośredni (np. wada mate-riałowa rurki z parą wodną). Ale tych niebezpiecznych re-aktorów Związek Radziecki w ogóle nie eksportuje. Używa ich wyłącznie na swoim tery-torium, a obecnie dodatkowo zabezpiecza.

„Katastrofa RBMK skompro-mitowała tylko i wyłącznie po-pulację reaktorów grafitowych. Pozostałe, wodne są nieknie-tne w swej reputacji. Błędne trak-towanie wszystkich reaktorów jednako nie jest przyczyną wyłącznie polskich przeciwni-ków energetyki jądrowej. Szer-mują tym światowi przeciwni-cy, co jest tym bardziej nagmin-ne i nieuczciwe, że są na ogół lepiej poinformowani niż antyjądrowcy polscy. (...) Z u-wagi na ciągły, a nieuzasad-niony niepokój w Polsce zwią-zany z budową elektrowni ja-drowych czuje się w obowiązku przypomnieć znany fakt, że reaktory grafitowe RBMK nig-dy nie były, nie są i nie będą eksportowane przez ZSRR. E-lektrownie w Żarnowcu, Klem-piczu i następne w Polsce są typami wodnymi, które spraw-dziły się w świecie i w któ-rych, w najgorszym nawet sce-nariuszu, nie może dojść do czernobylskiej katastrofy, bo nie ma się w nich co palić. Stopień skomplikowania kon-strukcji jest mniejszy niż za-kładów przemysłu chemicznego, które jakoś nikogo nie niepo-koją”.

DLACZEGO NAGRODZONO REYMONTA?

Na koniec ciekawostka lite-racka. W miesięczniku społecz-no-kulturalnym „NURT” (nr 11) prof. Janusz Pawełski odświe-ka kulisy przyznania Nagrody No-bla Władysławowi Reymontowi. W rozmowie z Piotrem Łucz-kiem mówi:

„Proszę pana, Zeromski w 1924 roku kandydował do lite-rackiej Nagrody Nobla, ale jej nie otrzymał, bo został uznany za pisarza nacjonalistycznego przez międzynarodowe jury. I wtedy nagrodę dostał Reymont za „Chłopów”. I do jego na-grody — ciekawa rzecz — przy-czylni się Niemcy. Dlatego, że urzędniczy Niemiec lat 1914—18 na ziemiach polskich miał służbowy obowiązek przeczytania „Chłopów” Reymonta w tłumaczeniu niemieckim. Wła-dze niemieckie były zdania, że w ten sposób Niemiec urzęd-nicy poznają psychikę polskie-go chłopca. To przyczyniło się do rozgłosu Reymonta w nie-mieckiej strefie językowej. Królowa szwedzka, Niemka z pochodzenia, czytała „Chłopów” po niemiecku i członkowie no-belskiego jury czytali po nie-miecku”.

Na dość długiej liście lau-reatów Nagrody Nobla w dzie-dzinie literatury jest dotąd trzech Polaków: Henryk Sien-kiewicz (1905), Władysław Rey-mont (1924) i Czesław Miłosz (1980). Moim zdaniem, zasłu-guje na to wyróżnienie także Andrzej Kuśniewicz, a wcze-sniej mógł zostać uhonorowany Jarosław Iwaszkiewicz.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

JACEK LESMAN — dyrektor Zbiorczej Szkoły Gminnej w Piątkowisku k. Pabianic:

— Najważniejszym wydarzeniem ubiegłego tygodnia była dla mnie czwartkowa wizyta w gminie Pabianice przedstawicieli Wo-jewódzkiej Rady Narodowej z prof. Andrzejem Grabskim na cze-le. Mieli oni możliwość zapoznać się z sytuacją w naszych pla-cówkach oświatowych. A nie jest to, niestety, sytuacja najlep-sza, gdyż mamy za mało izb lekcyjnych, w szkołach brakuje tak zwanego zaplecza socjalnego, nieraz także — odpowiednich urzą-dzeń sanitarnych. Zbyt wolno prowadzone są prace na budowie szkoły w Ksawerowie, co bardzo nas niepokoi. Mam nadzieję, że po tej lustracji coś się zmieni, a przede wszystkim — że Rada trochę inaczej spojrzy na nasze problemy.

Także w ubiegłym tygodniu złożyłem wniosek o instalowanie w nowo otrzymanym mieszkaniu telefonu, który jest mi bardzo potrzebny, głównie ze względów zawodowych.

Jeśli zaś chodzi o wydarzenia w kraju, to oczywiście na pierwszy plan wysuwa się telewizyjna debata Miodowicz — Wa-łęsa. Sądzę, że była bardzo potrzebna, ale na tym dialog nie po-winien się zakończyć. Jak chyba wszyscy, oczekuję, iż będzie kontynuowany. Gdy się powiedziało A, trzeba teraz powiedzieć również B. W pierwszej rundzie zdecydowanie bardziej przeko-nywajacy wypadł Wałęsa. Widać było, iż jest dobrze przygo-towany. Miodowicz nie miał najlepszego dnia. A jak będzie dalej, zobaczymy.

JERZY JABŁKIEWICZ — przewodniczący Rady Łódzkiej PRON:

— Chciałbym powiedzieć o dwóch sprawach. Pierwsza, to rzecz jasna, telewizyjna rozmowa Miodowicz — Wałęsa, która zrobiła na mnie duże i — przynajmniej od razu — dobre wrażenie. Propozycję jej odbycia przyjąłem z wielkimi nadziejami, choć do ostatniej chwili obawiałem się, że może nie dojść do skutku. Na szczęście nad interesami obu stron wzięły tym razem górę in-teresy ogólnospołeczne. I to już uważam za wielki sukces, choć trudno w tej chwili jeszcze powiedzieć, czy spotkanie przed ka-merami było wielkim czy małym krokiem w stronę porozumie-nia i rozpoczęcia rozmów przy okrągłym stole.

Z wielkim zadowoleniem przyjąłem także fakt, iż w ciągu tego czasu, jaki upłynął od pamiętnych wydarzeń 1980 roku, Wałęsa bardzo się zmienił. Zmienił na korzyść. To już naprawdę nie jest ten sam człowiek, co wtedy. I to również — myślę — jest ważne, gdyż pozwala optymistycznie patrzeć w przyszłość.

Drugą sprawą było piątkowe rozstrzygnięcie konkursu: zakład pracy pomaga szkole, szkoła — zakładowi pracy. Myślę, że jest to bardzo cenna inicjatywa, ponieważ dzięki niej łódzkie szkol-nictwo otrzymuje konkretną pomoc ze strony przemysłu. Miodowicz zaś ma możliwość z bliska przyjrzeć się ciężkiej pracy w przemyśle. Takie oddziaływanie na młodzież uważam za bardzo wychowawcze, gdyż przyczynia się do kształtowania jej postawy w przyszłości.

JERZY ŚEĆZAK — pracownik MPK:

— To był tydzień, jak inne, wypełniony przede wszystkim pra-cą. Jestem zatrudniony w Zakładzie Torów i Sieci, a dodatkowo dorabiam jako kierowca, więc nie mam zbyt dużo czasu, aby się czymś poza pracę interesować. A dorabiać muszę, bo co-raz trudniej żyć. Za spodnie dla szesnastoletniej córki trzeba zapłacić ponad 20 tysięcy. Druga, młodsza też chciałaby się mo-dnie ubrać. A skąd na to wszystko brać? Z gołej pensji?

No, więc byłem tak zajęty, że nawet spotkania Wałęsa — Miodowicz nie mogłem obejrzeć w całości. Trochę szkoda... Z drugiej strony, nie bardzo wierzę, że coś się po nim poprawi. Miodowicz obiecywał wprawdzie, że wsiadziemy jednak do tego samochodu, jak powiedział, ale ja takie obietnice słyszę już od dwudziestu lat. I co? Nic. Mnie, prawdę mówiąc, oboj — nie jest, kto będzie „na gorze”. Mnie interesuje głównie, żeby tu, „na dole” wreszcie trochę lepiej i łatwiej było żyć.

Notował: PAWEŁ TOMASZEWSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Ozdobą alei Kościuszkii była przed wojną synagoga, jedna z najwspanialszych w Europie. Stała na rogu Zielonej, gdzie dzisiaj taksówki czekają na pasażerów. Budowano ją kilkanaście lat. Z tą świątynią, zburzoną przez hitlerowców, wiąże się kapi-talna scenka. Nabożeństwa odbywały się tutaj jedynie w naj-bardziej uroczyste święta żydowskie. Bywalców obowiązywały karty wstępu, na zakup których mogli sobie pozwolić tylko za-możniejsi. Któregoś dnia, tuż przed rozpoczęciem nabożeństwa, do drzwi podszedł biednie ubrany mężczyzna w wytartym cha-lacie i w jarmulce na głowie — wspomnienia ADAMA OCHO-CIEGO.

— Kto i dlaczego pozwala na bezkarną, szkodliwą działalność rozmaitym bioenergeterom, uzdrowicielom, różdżkarzom i innym szarlatanom, dawniej zwanym znachorami, obecnie przy-bierającym nowe, bardziej uczenie brzmiące nazwy — mówi dr MAREK SZYBORSKI.

— Nie jest to żadna lista rankingowa arcydzieł ani zapis z o-statnich notowań giełdowych. Po prostu: dziesięć tytułów, które zwróciły szczególną uwagę czytającej publiczności, krytyków i księgarzy — dziesięć najlepszych książek 1988 roku prezentuje GRZEGORZ GAZDA.

— Prezes nie dostarczał ludziom papieru podaniowego ani ma-szynowego, ale żądał, aby wszystkie pytania do niego kierowa-ły na piśmie, w czterech egzemplarzach. W dniach wypłaty pie-niędzy prezes zniknął, a kasjerka i księgowa nie nie wiedziały — reportaż JACKA MIŚKA.

— Harcerze zbliżyli Załęczę Wielkie do świata. Wybudowali drogę. Tą drogą przyjechał do wsi autobus. Wraz z nim wiek XX. Dziś harcerze myślą aby w zakolu Warty, koło wodnego mlyna wprowadzić wiek XXI. Sprowadzili komputery, drukarnię, telek-sy — reportaż LUCJUSZA WŁODKOWSKIEGO.

— Profesor Władysław Bortnowski był znakomitą mową. Niekiedy żartobliwie przypominał, że w czasach wileńskich zwyciężył w konkursie krasomówczym — pisze ALBIN GŁO-WACKI.

NR 50 (1602), 11 GRUDNIA 1988 R.

Na łódzkim Zgromadzeniu OPZZ spotkało się 1339 delegatów reprezentujących 7 milionów związkowców. Zebrał się by w połowie kadencji OPZZ dokonać oceny dwuletniego dorobku ruchu związkowego w Polsce i wytyczyć kierunki na następne dwa lata. Rozliczyć się z nalożonych na cały ruch związkowy zobowiązań; wreszcie — zastanowić się, co zrobić, aby w sposób bardziej skuteczny reprezentować, bronić interesów ludzi pracy.

Debatę związkową miała tym większe znaczenie, że poza delegatami-mandatariuszami siedmiomilionowej rzeszy przyjechali do Łodzi liczni reprezentanci organizacji związkowych, które dotychczas nie zgłosiły akcesu do OPZZ, nie mówiąc o przewodniczących WPZZ i zaproszonych gościach. Przebieg zgromadzenia miał więc i obecnym na sali obrad uanościć wspólnotę dążeń i celów ruchu związkowego, a co najważniejsze — jak to ostatecznie stwierdzono w Stanowisku III Zgromadzenia — zado-kumentować, że „nasz kraj nie

czasach zdecydowanych posunięć związanych z reformowaniem gospodarki. Mówiąc o pluralizmie związkowym powiedział m. in., że dopóki w jednym zakładzie pracy nie będzie dwóch dyrektorów, dwóch samorządów pracowniczych i dwóch komitetów par-tyjnych, dopóty nie powinno być dwóch związków zawodowych...

Na zakończenie A. Miodowicz przedstawił obszerny pakiet spraw i zadań, jakie stoją przed OPZZ z udziałem całego ruchu zawodowego i stwierdził:

— Można nas nie lubić, ale nie można nas nie dostrzegać czy lekceważyć.

Dyskusję zapoczątkowała Bożenna Leman z łódzkiej „Iwony”. Było to znamienne wystąpienie, z wielu powodów. Blisko połowa zatrudnionych w gospodarce to kobiety, które zdominowały handel, oświatę, służbę zdrowia, przemysł leki-ki. Nie można więc tolerować istniejącego stanu rzeczy, aby dla pracownicy i matki coraz bardziej poszukiwanym i nie-dostępnym dobrem było miejs-ce w żłobku czy przedszkolu; żeby źródłem stałego niepokoju

Mówimy, że kochamy kobiety, a w XX wieku trudno im praktycznie kupić...

— Micha, dach nad głową i dobre zdrowie — powiedział Jerzy Surban z ZNP w Kato-wicach — priorytety wymienio-ne przez kol. Miodowicza nie są dla nas wystarczające. Techną prymitywem. Co najmniej rów-nie ważne są problemy oświa-ty i wychowania młodego po-kolenia. W ZSRR na oświatę wydaje się 8 proc. dochodu narodowego, w USA — 10 proc., a w Polsce — mniej niż 5 proc.... Wprost skandalem jest, że całodzienna stawka na cze-ry wysokokaloryczne posiłki w domach dziecka wynosi 260 zł, a już na drwinę zakrawa to, że trwają dyskusje w od-powiednich resortach, czy pod-nieść stawkę o... 100 złotych — do 360 zł dziennie!

Co zrobić, gdy są decyzje polityczne — w słowach pełnych gorzkiej stwierdzał przedstawi-ciel Federacji Związku Zawo-dowego Pracow. Ochrony Zdro-wia, Wojciech Gulgus — gdy nie żałują wysiłków związkow-cy, a i tak pogarsza się nadal stan zdrowia społeczeństwa i następuje pauperyzacja służby zdrowia. Rzecz w tym, iż złuda

ca nie powinien narzucać nazwy organizacji...

— Proszę mi powiedzieć z czym mam wrócić do moich członków? Słyszę tu, jak mied-li się na trybunie miliony słów, przy pomocy których stwierdza się fakty oczywiście! Czy ktoś pokusił się o rzetelną ocenę tych dwóch lat? Czy kogoś z naszych przedstawicieli rozli-czono z dwuletniej pracy? A ci rozbuchani funkcjonariusze OPZZ? Dlaczego na sali obrad są tylko delegaci i goście? A nie można by tak zaprosić na galerię delegacji robotniczych załóg, aby posłuchały jak to w ich imieniu przemawia się tu, jak się broni ich interesów? Czyż porządkowymi nie mogi-by być robotniczy aktyw?!

— Za dużo parady bolączek — powiedziała inna z uczestni-czek wyraźnie rozczarowana — za mało planów na przyszłość. Myślałam, że dyskusja skupi się nad modelem ruchu zwią-zkowego, nad tym jak zatawić nasze sprawy, których cały pa-kiety leży od Kongresu.

Tymczasem na sali padały inne ważne słowa, chociażby zawarte w wystąpieniu Henry-ka Kościelskiego ze Stocznim im. Lenina w Gdańsku, który stwierdził z gorzkością, że decy-zja o likwidacji stoczni była nieuzasadniona ekonomicznie i szkodliwa politycznie. Podjęta 11.10. uniemożliwiła osiągnięcie przewidywanego na br. zys-ku 5 mld zł, zaś owe rzekomo czekające na stoczniovców 30 tys. miejsc pracy — są także nieprawdziwe.

Pierwszego dnia z dużą u-wagą wysłuchano wystąpienia generała Wojciecha Jaruzels-kiego. Bo też mocno zabrzmia-ły tezy zawarte w takich sformułowaniach: „Dla naszej partii nie ma sprawy ważniej-szej niż zaufanie, więc z ludź-mi pracy. I nie ma cenniejsze-go partnera od ruchu związkowe-go... Ze związkami zawodo-wymi władzy nie żyje się lek-ko, lecz bez nich — niebezpie-cznie. Czym kończy się „łatwe rządy”, sztuczne wyciszenie robotniczych bolączek — wie-my z gorzkich doświadczeń aż nadto dobrze... Ludziom pracy potrzebne są silne związki. We-wnętrnie zróżnicowane, ale jednolite, nie zaś dzielące klasę robotniczą, burzące spo-łeczny spokój. Sprzeciwiamy się więc przekształceniu ruchu związkowego w instrument po-lytycznej walki i manipulacji... Stoimy konsekwentnie na sta-nowisku sformułowanym na VIII Plenum KC PZPR, po-twierdzonym i rozwiniętym na naradzie-aktywu robotniczego w Ursusie, że ostateczna decy-zja należy do samych zwią-zkowców, do ludzi pracy, że musi być zgodna z interesami, z żywotnymi potrzebami gos-podarki, z nadrzędnym dobrem Polski...”

W drugim dniu Zgromadze-nia zabrał głos Mieczysław F. Rakowski — premier nadziei, jak go przedstawił prowadzący związkowe forum Kazimierz Iwaniec. — Nowy rząd nie jest przeciwnikiem, jak sugerował jeden z dyskutantów, lecz par-tnierem związków zawodowych — powiedział premier. — Pły-niemy w jednej łodzi, a nie w dwu oddzielnych... Umowa rzą-du ze związkami jest konieczna. Wspólnie musi-my pomyśleć, co należy zro-bić, by zniwelować skutki kryzysu gospodarczego z prze-lomu lat 70. i 80. Konieczność ponoszenia jeszcze przez pe-wien czas ofiar może być za-akceptowana, jeżeli towarzyszyć jej będzie wiara w możliwość szybkiego wyjścia z obecnych trudności. Podkreślając swoje głębokie przekonanie, że w Polsce może być lepiej, premier dodał, że tradycyjne ścieżki nie zaprowadzą nas do sukcesu. Konieczne są decyzje odwagne. Przypomniał trzy priorytety w poczynaniach rządu, scharak-teryzował planowane przedsię-wzięcia, zamierzenia i zaapelował na koniec o współdzia-lanie w tworzeniu optymistycz-nej wizji Polski jutra.

W ciągu dwóch dni obrad Zgromadzenia głos zabrało 53 mówców, 58 delegatów złożyło teksty swoich wystąpień do protokołu. Nie zabrakło w nich głosów, choć nierzadko gorz-kich, lecz konstruktywnych, pełnych troski, zarówno o przyszłość ruchu związkowego, jak i nas wszystkich. Nawet w głosach najostrożniejszych nie-trudno było odnaleźć wspólną nutę — nieobojętności i zaan-gażowania.

Jeden z uczestników bardzo dosadnie określił przebieg o-brad: „Zgromadzenie, niestety, w starym stylu. Siła związkow-ców powinna brać się z kon-kurencyjności, a nie jednolici. Podzielać poglądy, że w zakła-dzie ma działać jeden związek, ale z drugiej strony, gdyby tak przyjął model z RFN — kilka organizacji, wspólna reprezen-tacja — mogłoby to przynieść wymierne korzyści... Znow sły-chać z trybuny głosy żądające kolejnych uprawnień dla zwi-azkowców. Bez sensu. Przede wszystkim trzeba zmienić usta-wę o związkach... Ustawodaw-

Z tej ziemi.

Co zrobić z opozycją?

Spotkali się, zasiedli w fotelach i pogadali, a niemal cała Pol-ska przyglądała się i przysłuchiwała temu. I co się stało? Nic się nie stało. Świat się w każdym razie nie zawałił i nie zmienił. Nadal mamy te same kłopoty, jakie mieliśmy i jakie jeszcze dłu-go mieć będziemy.

Przyznaje, że należałem do grona sceptyków i wątpiłem w to, czy do spotkania Alfreda Miodowicza z Lechem Wałęsą doj-dzie. Przesłanką do tych wątpliwości jest „okrągły stół”, wokół którego rozmówcy jakoś nie mogą zasiąść i diabli wiedzą wła-sciwie, dlaczego?

Raczej mają ci, którzy mówią, że w polskiej polityce politycz-nej taka debata telewizyjna jest nowością. Tylko, że z tego kompletnie nic nie wynika. W ogóle, gdy przysłuchuje się lub czyta komentarze na temat telewizyjnej debaty Alfreda Mio-dowicza z Lechem Wałęsą, to odnoszę wrażenie, że ludzie nie bardzo wiedzą, jak to skomentować. Jedni podchodzą do tego po sportowemu i zastanawiają się, kto wygrał? W powszechnym od-czuciu — Lech Wałęsa. Ale też miał znacznie łatwiejszą rolę już choćby przez to, że przez kilka ostatnich lat występował jako „osoba prywatna”, która wygaduje różne niespójne poglądy. Wiek-szość ludzi pamiętała Lecha Wałęsę z czasów, kiedy opowia-dał różne dziwne rzeczy i oto na ekranie telewizyjnym ujrzeli zupełnie innego faceta. Nie ulega wątpliwości, że zrobił dobre wrażenie.

Mало kto zastanawiał się nad tym, o czym ci dwaj mężczyźni rozmawiali. Nie były to niewątpliwie sprawy związkowe. Alfred Miodowicz stał na stanowisku, że w jednym zakładzie może być tylko jeden związek zawodowy, a Lech Wałęsa uważał, że jest to rzecz śmieszna, że mogą być dwa, trzeba tylko stworzyć tak-kie bariery, aby sobie do gardel nie skoczyli. I na tym koniec spraw związkowych. Nie ulega wątpliwości, że na naszych ekrana-ch wystąpili dwaj politycy i że rozważali w zasadzie takie sa-me koncepcje polityczne, zgadzając się, że stalinizm trzeba odrzucić do samego końca, spierając się o szybkość tego dokonania. I to by było na tyle. Pozostaje pytanie — które też zadaje sobie wiele osób — i co z tego wynika? Ano właśnie!

Chyba już zrozumieliśmy, że opozycja stała się trwałym ele-mentem naszego życia politycznego. „Trybuna Ludu” opubliko-wała nawet 4 artykuły poświęcone charakterystyce różnych opo-zycyjnych ugrupowań, prezentując tym samym jej zróżnicowany charakter. Wielekroć już zwracano uwagę, że termin opozycja jest nieprecyzyjny. Dla uporządkowania tego złożonego zjawis-ka wymyślono nawet rozróżnienie: opozycja konstruktywna i destruktywna, ale i to niczego nie rozwiązuje. Z jakąś formą opozycji mamy też do czynienia w partii. Opozycja jest bowiem nie tylko stosunkiem wyrażanym przez jakąś grupę — nieko-niecznie związaną więzami organizacyjno-formalnymi — w sto-sunku do rządu, ustroju, ale również postawą w stosunku do programu, poglądów, projektów. Ta wieloznaczność pojęcia, jak i złożoność występującego u nas zjawiska gnatawa stosunek do niego, utrudnia normalizację opozycji, jak i tych przeciw któ-rym jest ta opozycja. Można przecież być w opozycji przeciw ujemnym zjawiskom, które zrodził stalinizm, a nie być w opo-zycji do socjalizmu.

W „Zdaniu” (nr 10 z 1988 roku) ukazała się część I opowia-dania Andrieja Platonowa „Czewengur”. W opowiadaniu tym o-pisuje on o tym, jak w Chamskich Dworikach pełnomocnik gminnego komitetu rewolucyjnego Ignacy Moszonkow, zwany Kulawym, postanowił zmienić nazwisko na Fiodor Dostojewski „ku czci znanego pisarza” i na dodatek „na zaszcze”. Napisał o siebie wniosek i sam wyraził na to zgodę. Chodziło o „samodos-konalenie się obywateli: kto nazwie się Liebknechtem, ten niech żyje na jego podobieństwo, w przeciwnym razie sławne imię należy odebrać”. Za przykładem Kulawego poszli i inni: Stepan Czezer nazwał się Krzysztofem Kolumbem, a budowniczy studni Piotr Grudin — Franzem Mehringiem, Kulawy, czyli Fio-dor Dostojewski zaproponował te zmiany warunkowo. Wysłał do gminnego komitetu rewolucyjnego zapytanie, czy „aby Ko-lumab i Mehring byli ludźmi godnymi, żeby ich nazwiska brać za wzór dalszego życia, czy też Kolumb i Mehring są wyciszeni przez rewolucję”. Zanim nadeszła odpowiedź, obaj naśladowcy stali się bezimienni. Już nie byli Stepanem Czezerem i Piotrem Grudin-em, ale też jeszcze nie stali się Krzysztofem Kolumbem i Fran-zem Mehringiem. Wiadomo było kim byli, wiadomo kim mają być, ale nie są już ani tym, ani tym. Byli w stanie zawieszony. Przykład ten przytoczył pewien prelegent w dyskusji o wycho-waniu na przykładzie patrona, jako stan, w jakim my się obecnie znajdujemy. I trudno z nim się nie zgodzić.

Wiemy już, że jesteśmy po stalinizmie, ale ze wszystkich jego dogmatów jeszcze nie wyzwoiliśmy się i często nawet czujemy strach przed tym, bo nie wiemy, jaki będzie socjalizm bez stali-nizmu. Wiemy już, że opozycja jest zjawiskiem naturalnym, ale nie potrafimy tego zalegalizować w takim stopniu, aby mogła ona spełniać rolę konstruktywną w rzeczywistości, a nie w założe-niach. Wiemy, że system nakazowo-rozdzielczy skompromitował się i nie jest już przydatny, stał się wręcz hamulcem rozwoju po-lytycznego, społecznego i gospodarczego, ale nie wiemy czym go zastąpić. Staramy się więc jedne dogmaty zastępować innymi, nowymi — naprędce wymyślonymi — hasłami. Taka praktyka spo-łeczna czy gospodarcza do niczego nie prowadzi. Dlatego trudno nie zgodzić się z Hieronimem Kubiakiem, który w wywiadzie dla „Życia Warszawy” powiedział między innymi:

— „Nie wolno wiązać sobie rąk abstrakcyjnymi, apriorycznymi rozstrzygnięciami. (...) Bez dogmatów i leków powinniśmy szu-kać tych mechanizmów, które innym społeczeństwom dały szansę osiągnięcia w tym samym czasie tego, czego myśmy nie osiągnęli”.

Ba! Ale jak to zrobić? Jak przełamać schematy głęboko zako-rzenione w ludzkich umysłach, jak pozbyć się nawyków, które do niedawna były przydatne, potrzebne, broniące, a dziś stały się niepotrzebne. Stara marynarkę łatwo wyrzucić na śmietnik. Po-glądy, przyzwyczajenia, nawyki, schematy myślowe — znacznie trud-niej, a niekiedy wręcz jest to niemożliwe. Ale trzeba to zrobić. Jeśliby rozmowa telewizyjna Alfreda Miodowicza z Lechem Wa-lęsą miała się do tego przyczynić, to byłoby to jej wielkie osią-gnięcie. Tylko, że jedna rozmowa niczego nie może zmienić. Po-trzebny jest ciąg takich śmiałych, nowatorskich działań, przed-sięwzięć, aby ludzie widzieli, że coś dzieje się nowego i świat się nie kończy, nie zapada się w przepaść, nie rozpływa się.

Jak tlenu potrzeba nam warunków dla pełnego rozwijania przedsiębiorczości i to w każdej dziedzinie. W polityce również. A może nawet w polityce przede wszystkim. Jedni twierdzą, że rozwiązywanie polskich problemów leży w sferze gospodarczej i od tego trzeba zaczynać. Tymczasem istnieje tu ścisły związek, wzajemna zależność, więc działać trzeba jednocześnie, równoległe. Szukać rozwiązań niekonwencjonalnych, czasami nawet zaskaku-jących, sprawdzając je w praktyce i tylko praktykę mając za je-dyne kryterium przydatności. Ale jednocześnie trzeba pamiętać, że procesów społecznych nie da się przyspieszyć, że przekaskiwanie etapów w społecznym rozwoju skończy się już klęską i błędem tego nie wolno powtarzać.

Wszystko to pięknie, ale co zrobić z opozycją? Nadal nie wiem!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Dużo mocnych, mądrych słów i...?

Głosy z jednej łodzi

MARIAN ZDROJEWSKI



Foto: Witold Werner

musi i nie może być beztermi-nową poczekalnią na lepsze jutro”.

Rangę Zgromadzenia wyzna-czała także obecność oficjal-nych gości: I sekretarza KC PZPR, przewodniczącego Rady Państwa Wojciecha Jaruzels-kiego, przewodniczącego CK SD Tadeusza W. Młynszaka, wiceprezesa NK ZSL Tadeu-sza Szelachowskiego, przedsta-wicieli rządu — w pierwszym dniu obrad z wicepremierami: Ireneuszem Sekulą i Januszem Patorskim, zaś w drugim dniu — z premierem Mieczysławem F. Rakowskim, nie mówiąc już o przedstawicielach stowarzy-szeń, PRON, związków twór-czych, Związku Rolników, Kół-ek i Organizacji Rolniczych itd.

Obrady — rozpoczęte z pew-nym opóźnieniem — otworzył przewodniczący OPZZ Alfred Miodowicz, podkreślając w swo-im wystąpieniu fakt, iż odro-dzony ruch związkowy urosł w znaczącą siłę, zdolał wy-pracować nową formułę orga-nizacyjną, „bardzo demokraty-czną i pluralistyczną”, że zdołał dowiedzieć swojego charak-teru klasowego. Jednakże w powszechnej opinii ocena ruc-hu związkowego dokonywana jest przez pryzmat otaczającej nas codzienności, owej codzien-nej uciążliwości życia i pracy, poprzez przetrzebane z towa-rów sklepy i stoiska za dola-ry. Ta codzienność to także telewizor, pralka, kożuch czy firanka traktowana za artykuł luksusowy, to gwałtownie ros-nące koszty utrzymania, to ma-lająca wartość pracy, codzienność, która wyznacza związkow-ą strategię działania.

W innym miejscu swojego wystąpienia Alfred Miodowicz stwierdził, że związki zawodo-we opowiadają się za, jak to określił, stawianiem rzeczy i spraw z głowy na nogi i bę-da popierać te działania rządu, które trafiają w społeczne o-czekiwania. Podkreślił koniecz-ność dostrzegania spraw, prob-lemów, oczekiwań i potrzeb poszczególnych ludzi właśnie w

kobiety w naszym kraju były trudności z elementarnym za-spokojeniem życiowych po-trzeb, z zaopatrzeniem w żywność czy odzież.

Mocnym akcentem zabrzmia-ło pytanie: Kto jest odpowie-dzialny za braki na rynku? Kto uniemożliwił wyproduk-owanie potrzebnych towarów? — Na pewno nie robotnicy i nie związki zawodowe! Nasza Federacja wie — powiedziała B. Leman — jakie są społecz-ne potrzeby. W imieniu załóg przemysłu lekkiego oczekują-cy na zakup zaplanowanych w CPR surowców i materia-łów — skierowała memoriał do prezesa Rady Ministrów i od dwóch lat interweniuje w róż-nych urzędach. Z jakim skut-kiem? Z takim, że zdolności produkcyjne przemysłu lekkie-go wykorzystywane są w 67 proc.

Barbara Rychlik, przedsta-wicielka Komisji Nauki, Oświaty i Postępu Technicznego OPZZ, podjęła w swoim wystąpieniu m. in. temat młodzieży stwier-dzając, iż niełatwo jest pozys-kać młodzież dla ruchu zwią-zkowego, gdyż wielu młodych ludzi nie wiąże swoich życio-wych planów z aktualnym miejscem pracy. 36 proc. przed-stawicieli młodego pokolenia, jak wynika z badań, nie ma żadnej satysfakcji z pracy, a ponad 40 proc. — nie ma szans na wykorzystanie w pełni swo-ich kwalifikacji zawodowych i intelektualnych w miejscu za-trudnienia.

Z dużym aplauzem przyjęto wystąpienie Zbigniewa Hanfa z KWK „Staszic”, który stwier-dził, że na zdrowie i życie nie ma ceny.

— Na Śląsku i w Zagłębiu żyje się krócej, a choruje więcej. Ochrona środowiska to też polityka związkowa!... So-lidaryzujemy się z głosami ko-biet. Polskiej kobiecie przypa-ł trudny los, trudniejszy niż w ubogich krajach muzułmań-skich, bo tam mężczyźna ma kilka żon, które się dzielą pra-cą. U nas kobiety pracują na najbardziej uciążliwych stano-wiskach i za najniższą płacę.

tygodnika „Kino”, rzecznik prasowy „pranzy” — a było to chyba w roku 1938 — zapytał mnie wprost: czego domagam się od filmu polskiego, który tak zawzięcie dyskredytuję?

Odpowiedziałem w jednym z miesięczników, który wykazywał pewne zrozumienie dla „startowego” programu (wydawnictwo było jedną z typowych dla okresu międzywojennego emeryd prasowych). W latach trzydziestych o charakterze gazet, w znacznym stopniu decydowały ogłoszenia i całe kampanie reklamowe. Jedną z kin reklamowało kolejną premiery w słowach następujących: „Targ na niewinne dziewczęta, sztucznie podnieśli starszych panów, oto walory i atrakcje tego filmu!” (amerykańskiego zresztą). Były i takie ogłoszenia, które u dzisiejszego wada wywołałyby zupełnie inne reakcje. Między innymi w gazetach codziennych regularnie ukazywał się anons: „Gotujcie na gazie”. Moja odpowiedź na pytanie „rzecznika” opatrzona była tytułem: GOTUJCIE NA PEGAZIE, a z treści wynikało, że film jest wprawdzie towarem, ale nawet „towarowość” produktu finalnego nie musi być związana z rezygnacją z wszelkich ambicji artystycznych. Im lepsze będą polskie filmy, tym wyższy będzie poziom kulturalny naszych widzów „Start” już w tym czasie nie istniał, ale „startowcy” nadal działali: w Stowarzyszeniu Producentów Polskich Filmów Krótkometrażowych, w różnego rodzaju instytucjach związanych ze sprawami kultury, socjologii itp. A także na łamach prasy.

— Swego programu „Start” zrealizować nie zdołał...

— To prawda... Przyznam zresztą, że z utworzeniem szkolnictwa filmowego miałbym poważne trudności. Kto miałby w tym czasie uczyć przyszłych reżyserów i operatorów filmowych? O tematach, scenariuszach, reżyserach i operatorach decydowali ci, którzy dysponowali pieniędzmi, a więc „rynek”. Dziś — z perspektywy czasu i związanych z czasem doświadczeń — oceniam ówczesnych producentów — chałupników dużo łagodniej. Byli młymi kółkami w mechanizmie ekonomicznym, który nie dawał im szans na oderwanie się już nawet nie od „rynkowości”, ale od wręcz „sklepiarskiego” rozumienia tego terminu.

— Kiedy pojawiła się pierwsza możliwość zorganizowania szkolnictwa filmowego w Polsce?

— Bezpośrednio po wojnę. Wszystkie polskie hale filmowe uległy — jak cała Warszawa — zniszczeniu. Podobnie laboratoria. Sprzęt został już wcześniej zabrany przez hitlerowskich okupantów. Fachowcy, ci związani z filmem czasów II Rzeczypospolitej, wyginęli w wyniku działań wojennych, i w obozach koncentracyjnych, niektórzy zwyciężając powymierali. Kilku reżyserów i operatorów pozostało za granicą. Byli „startowcy”, ci którzy znaleźli schronienie w ZSRR, w Wielkiej Brytanii, a także ci którym udało się przetrwać w kraju, stawili się niemal w komplecie. Nasza pierwsza sprawa stała się organizacja szkoły filmowej: założyłem jej stał się Instytut Filmowy, powołany do życia w roku 1945 w Krakowie. Jego organizatorami byli Antoni Bohdziewicz, który wojnę przeżył w kraju, a w czasie Powstania, z ramienia Biura Informacji i Propagandy (BIP) współtworzył biuletyn filmowy walczącej Warszawy oraz Stanisław Wohli; Wohli pracował w czasie wojny w kinematografii radzieckiej, a później był członkiem ścisłego kierownictwa Szkoły Filmowej Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR.

— A pan profesor?

— Moje losy ułożyły się nieco inaczej. Przypadek zdarzył, że miejscem mojego urodzenia jest miasto nad Donem. W drugiej połowie roku 1939 znalazłem się w zaletym przez wojsko radzieckie Lwowie, a pierwszą moją reakcją było zniszczenie wszystkich dokumentów o moim „rostowskiej” przeszłości. Tylko ten, kto pamięta czasy wojny, może zrozumieć, co brak osobistych dokumentów może oznaczać. I tak żyłem w zagrożeniu do czasu aż w początkach roku 1941 spotkałem Karola

Kuryliuka. Znałem go dobrze: był do wybuchu wojny redaktorem lwowskiego czasopisma „Sygnały”, które słusznie uważano za trybunę postępowej inteligencji polskiej. Ja także pisywałem do „Sygnałów”. Kuryluk powiedział mi, że we Lwowie organizuje się polski miesięcznik społeczno-literacki „Nowe Widnokreś”. W pierwszym odruchu odmówiłem współpracy z tym pismem, Kuryluk — człowiek ogromnej uczciwości i niespożytej energii — zaprowadził mnie na spotkanie z Tadeuszem Boyem-Zeleńskim, Mieczysławem Jastrunem i Julianem Przybosiem. Były to czasy, które czekają jeszcze na swojego kronikarza. Krótko mówiąc, uznaliśmy, że pismo takie może odegrać pozytywną rolę w czasach, kiedy narasta groźba najazdu Niemiec na ZSRR (prawdę mówiąc byliśmy zdania, że taki obrót spraw może przyspieszyć moment odrodzenia Państwa Polskiego). Tak więc zostałem „filmowym” współpracownikiem nowego miesięcznika i na tej podstawie uzyskałem „prawo pobytu”, a więc legalne zezwolenie na egzystencję i to nie



Na zdjęciu: prof. Colin Young — prezydent CILECT

Foto: Grzegorz Gałasiński

Zawiłą drogą do sukcesów

na prowincji, ale we Lwowie. Moje prawo pobytu miało jeszcze jedną zaletę: było w nim czarno na białym powiedziane, że miejscem mojego urodzenia jest Łódź. Do pierwszego numeru „Nowych Widnokreś” przygotowałem kilkunastoniowy elaborat pod tytułem „Sześć filmów radzieckich na stole sekcyjnym”. Jak sam tytuł wskazuje, nie była to oda na cześć kinematografii Kraju Rad z lat 1939–1941 i po dzień dzisiejszy nie bardzo rozumiem dlaczego polityczne kierownictwo „Nowych Widnokreś” dopuściło ten „stół sekcyjny” do druku. W rezultacie cały, nie wiem iluścisny nakład miesięcznika, został skonfiskowany. Zażądano ode mnie zmian, zgłosiłem się jedynie na kilka — istotnych zresztą — skreśleń. „Sześć filmów radzieckich na stole sekcyjnym” — z wspomnianymi skreśleniami — opublikowano w trzecim numerze „Nowych Widnokreś”. Komplet numerów pisma znajduje się w którymś z warszawskich archiwów, może więc jeszcze do tej sprawy wrócić.

— Jakie były początki szkoły filmowej?

— Przypomnę, że Sergiusz Eisenstein test autorem eseju, z którego wynika, że wielki klasyk sztuki filmowej uczył się sztuki narracji u Dickensa a montażu u Dawida Griffitha. Pomiędzy Dickensa, Griffitha jednak zaczął jako dziennikarz i aktor, przez czas jakiś studiował na uniwersytecie w Kentucki literaturę, a przecież to on właśnie stał się nie tylko pionierem, ale i mistrzem tytułu wybitnych reżyserów amerykańskich i europejskich. W kra-

jach, mających istotne osiągnięcia w dziedzinie filmu, istnieje więc realna możliwość praktycznej nauki zawodu. Aspiranci przechodzą przez kolejne stadia wtajemniczenia technicznego i artystycznego dzięki udziałowi w ekipach zdjęciowych. Ci z nich, którzy żywią ambicje artystyczne, starają się pogłębić swoją wiedzę w dziedzinie literatury, muzyki, plastyki, socjologii itp. równoległe do terminowania w zawodzie filmowym. Sergiusz Eisenstein był z wykształcenia inżynierem, wystarczyć sięgnąć do jego biografii, by przekonać się, że zajmował się także malarstwem, teatrem, operą, psychologią i nawet orientalistyką.

Cenię niektóre filmy Tadeusza Konwickiego, który kinem zajął się już jako ceniony pisarz. Z polską kinematografią roku 1945, a także kilku następnych było jednak inaczej. Brak nam było w tej dziedzinie nie tylko tradycji artystycznej, ale nawet fachowców — rzemieślników. Skoro uznaliśmy, że istnieje silna potrzeba powołania do życia narodowej, polskiej sztuki filmowej, założenie szkoły filmowej było koniecznością. Nie wolno przy tym zapominać o tym, że lata wojny spowodowały ogromną wyrwę w kształceniu tych pokoleń, które po roku 45 zaczynały dopiero życie dojrzałe. Andrzej Wajda po wojnie podjął studia malarskie, Kowalewicz i Munk marzyli o architekturze, Has — podobnie zresztą jak związany z jego dorobkiem twórczym, filozof i pisarz Andrzej Kijowski — uczyli się w krakowskiej szkole handlowej. Polskie szkolnictwo filmowe miało dać początek no-

wej dziedzinie kultury i otworzyć nowe możliwości przed uzdolnioną artystycznie młodzieżą.

— Jaki był pana udział w utworzeniu Państwowej Szkoły Filmowej w Łodzi?

— Jako pierwszy szef programowy nowej polskiej kinematografii („szefowałem” zresztą krótko, byłem bowiem przeclwiny upaństwowieniu produkcji i optowałem za tym, by powołać wytwórnię o charakterze spółdzielczym, a gdy to się nie udało, zażądałem, już w roku 1947, stworzenia zespołów filmowych), opracowałem projekt organizacyjny naszej kinematografii, uznając stworzenie szczytów filmowej za zadanie pierwszoplanowe. Mam więc w budowie tej szkoły istotny udział jako jeden z tych, którzy podobnie jak Bohdziewicz, Wohli i Toeplitz — zakładali fundamenty pod jej powstanie. Miałem być także jednym z wykladowców, ale redagowałem także Polską Kronikę Filmową, realizowałem własne filmy dokumentalne i pomagałem w realizacji filmów młodzieży (a pracę tę traktowałem jako dodatkową możliwość szkolenia artystycznego). Później pod koniec roku 1949 — w ramach tego, co definiujemy dzisiaj jako „okres stażniczy” — zostałem pozbawiony wszelkiego wpływu na losy polskiej kinematografii. Była nawet decyzja o pozbawieniu mnie prawa pracy, ale ówczesny szef Centralnego Urzędu Kinematografii powołał ryzykowną decyzję pozostawienia mnie na etacie „scenarzysty-reżysera” w Łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych. Etat był zresztą fikcyj-

ny, szef CUK-u chciał mi zapewnić jakieś minimum egzystencji — prosiłem o skierowanie do PWSF, ale byłem przecie „na indeksie”, nie wolno mi nawet było przekraczać progu uczelnii! Pracowałem — używając innego nazwiska: Szelubski. Nie było to zresztą nazwisko wymyślone, tak bowiem nazywał się mój ojciec. Pisywałem scenariusze i komentarze, w roku 1950 współreżyserowałem nawet — zresztą na polecenie kinematografii — wraz z Jorisem Ivenssem duży film i doczekałem się artykułu w moskiewskiej „Prawdzie”, gdzie powiedziano expres-
sio verbis, że film jest wspólnym dziełem mistrza Ivensa i „wysoce utalentowanego młodego filmowca polskiego, Jerzego Szelubskiego”.

Moja kwarantanna skończyła się po śmierci Stalina. W 1954 r. byłem już wykładowcą w Państwowej Szkole Filmowej. Studentami byli wówczas m.in. Wajda, Polański, Munk, Morgenstern, Kutza, a nieco później Karabas, Majewski, Leszczyński... Niektórzy z nich mocno związali się z mną... Byłem później opiekunem ich debiutanckich filmów, dokumentalnych i fabularnych... Kiedy w 1956 r. pracowałem już na pełnych obrotach: jako realizator filmów dokumentalnych, kierownik artystyczny Wytwórni Filmów Dokumentalnych i wreszcie jako kierownik zespołu „Kamera” (ponieważ pierwszym moim krokiem po powrocie do filmowej aktywności było powtórzenie deklaracji o konieczności powołania zespołów. Tym razem zadanie to nie spotkało się ze sprzeciwami... Tu może przesadziłem, sprzeciw był, ale faktem jest, że w 1955 r. zespoły wkroczyły na naszą filmową arenę). I wreszcie w 1956 r. ulegając naciskom środowiska — zgodziłem się objąć stanowisko dziekana Wydziału Reżyserii. Tu dodam: wybory były absolutnie tajne...

— Panie profesorze, podobno w tym czasie odrzucił pan film dyplomowy Andrzeja Wajdy?

— Zgadza się... filmy dyplomowe w zasadzie i w praktyce były akceptowane w trybie niemal mechanicznym... tyle tylko, że niektóre otrzymywały ocenę dostateczną. Przy Wajdzie jednak uparłem się. Powiedziałem mu wprost: uważam cię za człowieka, którego stać na dobre filmy, nawet wybitne... Więc po kilem masz zrobić dyplom filmowy, który nie przyniesie chluby ani tobie, ani szkole? Zdebiutujesz, w którymś z nowych zespołów... A wtedy, być może, sam zdecydujesz się na publiczne pokazanie tego niedosłego dyplomu...

— I wtedy Andrzej Wajda zdebiutował „Pokoleniem”.

— Ten film był chyba lepszy? Jak pan uważa? Wajda miał do mnie żal... to rozumiem... Pozostaliśmy jednak w przyjaźni... Kiedy organizowałem „Kamerę”, Wajda natychmiast zgłosił gotowość przystąpienia do tego zespołu, ale szybko osiągnęliśmy porozumienie innego rodzaju. On miał już za sobą pierwsze sukcesy, ja zaś chciałem zgromadzić przede wszystkim nowicjuszy... Byłem naiwny, wzorem była dla mnie „Reduta”, hasło a nie tylko praktyka grupy, której przewodził Osterwa. Zespół filmowy ma z natury rzeczy ogromne obciążenie nie tylko finansowe, ale i industrialne... Zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie niesie nowa forma organizacyjna naszej kinematografii... Wolamy „Reduta”, a więc studio o ambicjach ideowo-artystycznych i społecznych, ale za takim retorycznym programem kryć się może także widmo sklepu zbliżonego do takiej kinematografii, jaka działała w okresie międzywojennym. Wajda był już prawie „dojrzały” i nawet, kiedy nie był członkiem „Kamery” utrzymywałyśmy kontakty związane z jego twórczością. Przez „Kamerę” przemknęli się Munk, Polański, Skolimowski, Majewski, Hoffman i wielu innych... Niektórzy debiutowali pod moim kierownictwem. Wreszcie i Wajda zrobił w „Kamerze” kilka filmów kinowych i telewizyjnych. Nie test przypadkiem, że ostatnią pozycją skazanego na skreślenie zespołu był film pt. „Wszystko na sprzedaż”, reżyserowany przez Andrzeja Wajdę. Nie jest także przypadkiem, że Wajda już po likwidacji „Kamery” wielokrotnie podkreślał — w prasie, radiu, w polskich i zagranicznych programach telewizyjnych, że zawdzięcza mi szereg filmów,

m.in. „Człowieka z marmuru”, „Ziemie obiecaną”. Powiedział „zawdzięcza”, może to jednak przesada. Rzecz w tym, że czasem proponowałem tematy, czasem tematy wychodziły od niego, zawsze jednak mówiliśmy o merytorycznych i formalnych sposobach „atakowania” tych tematów. Podobnie mówił Munk o mnie, nieodżałowany Andrzej, a także Polański w zrealizowanym przed trzema laty na Zachodzie filmie telewizyjnym poświęconym mojej osobie. To są chyba wyraźne świadectwa tego mikroklimatu, jaki starałem się stworzyć w szkole, WFD i w „Kamerze”.

— Wróćmy jeszcze do Szkoły tych lat, kiedy pan zaczynał swoją działalność pedagogiczną.

— Były to czasy trudne... zawsze zresztą czasy są trudne, ale staraliśmy się o to, by aspiranci do zawodu filmowego, nim zostaną skazani na kinematografię przemysłową (bo przemysłem jest kinematografia zawsze, a sztuką bywa tylko czasami...) No więc powtarzam staraliśmy się pobudzić ambicje artystyczne, i zarazem poczucie odpowiedzialności przyszłych reżyserów i operatorów... Szkoła była biedna, biedna jest także i dzisiaj... A mówiąc o ambicji, mam na myśli zarówno poczucie ważności wiedzy humanistycznej i co rozumiałe — poczucie ważności rzemiosła, ale także poczucie odpowiedzialności artysty, który nie tylko przekazuje widzom taką czy inną fabułę, taki czy inny obraz dokumentalnej świata, artysta świat współkształtuje, współkształtuje świadomość widowni. A czyni to na potrzeby współczesności. Utwór filmowy przeznaczony jest dla widowni dzisiejszej, może za ileś tam lat będzie uznany za klasyką, Homerem jednak nie zostanie nigdy. Dostojewskim też nie... Zławsza dlatego, że jest tak bardzo uzależniony od techniki. Dlatego tak wiele zależy od wyposażenia szkoły. Przygotowujemy przecież inżynierów i operatorów, którzy zdebiutują dopiero za pięć albo i sześć lat. A szkoła dysponuje sprzętem nie tylko mocno wysłużonym, ale w znacznej części wręcz muzealnym.

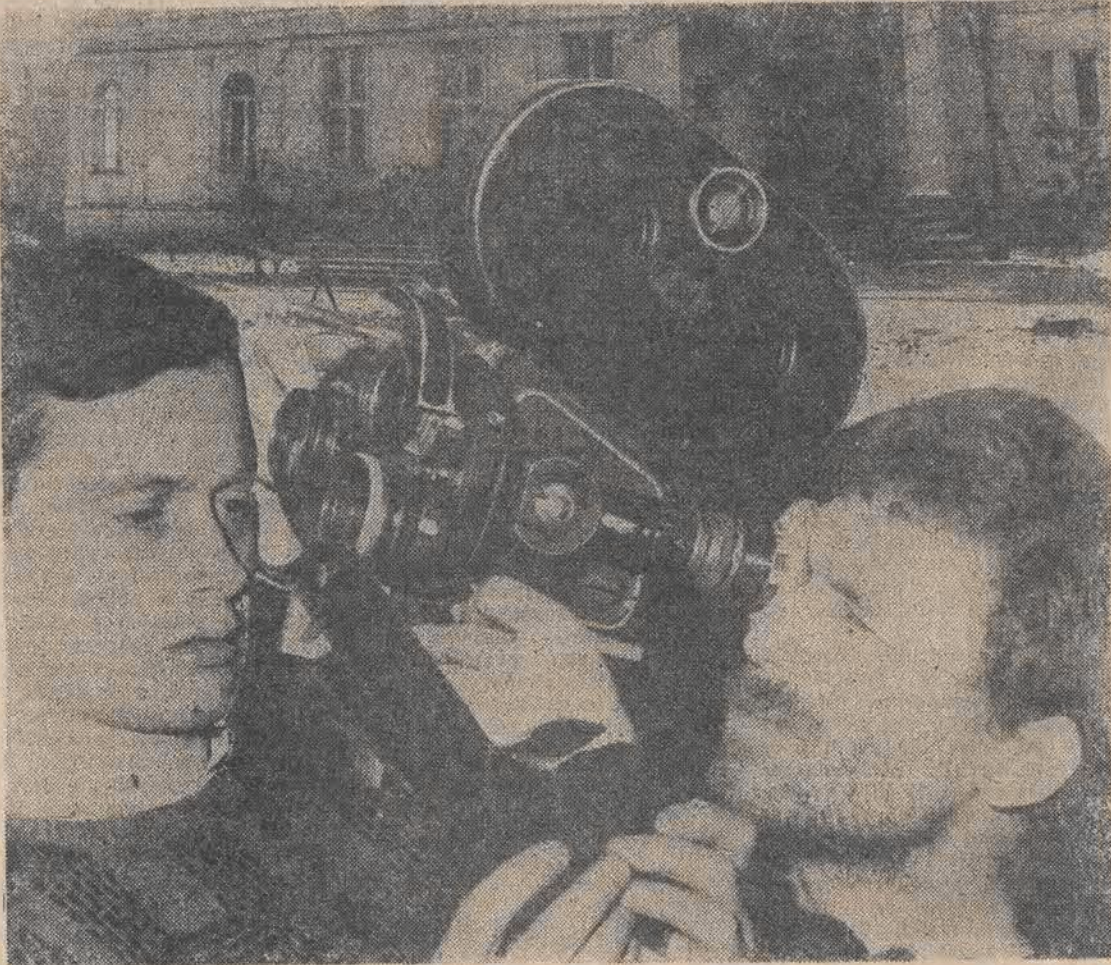
— Jaki był program kształcenia w latach pięćdziesiątych i czy ten program bardzo różni się od dzisiejszego?

— Szkolnictwo filmowe nigdy nie dysponowało programem tak „dopracowanym” jak np. uniwersytety. Zarówno w przedmiotach fachowych, jak i w tym, co stanowi „zaplecze intelektualne” studiów, ogromnie wiele zależy od indywidualności wykładowców. Rację bytu ma jedynie taka szkoła filmowa, której czas poświęcać będą nasi najwybitniejsi reżyserzy i operatorzy i to w sensie dwójnym: jako wykładowcy i jako opiekunowie prac praktycznych. Zawsze szukaliśmy i nadal szukamy będziemy talentów, ale student winien otrzymać takie wykształcenie, które przygotuje go do debiutu. Należy dodać, że nie wynaleziono jeszcze termometru, pozwalającego określić „poziom” talentu. Profesorowie od psychologii wyjaśniają to lepiej niż ja, że osobowość każdego człowieka rozwija się w innym tempie, a procesy przemian różne mają kierunki. Zdarzają się cudowne dzieci, którym nauczyciele wróżą wspólną przyszłość w dziedzinie różnych nauk, wróżby jednak nie zawsze się sprawdzają.

— Jak to było z ową „grającą szafą”?

— To i o tym pani słyszała...? Studenci ukuli dowcip: „Bossak jest jak grająca szafa, wrzucaasz monetę czyli pomysły a szafa gra. A jeśli muzyki nie ma, to możliwości są dwie — albo szafa nie gra, albo też moneta była fałszywa...”. Nie jestem łasy na komplementy, ale muszę przyznać, że mi się to powiedzonko podobało.

Rozmawiała:
IWONA
NIEMIEC-ADAMSKA



Collage: Grzegorz Gałasiński

Teraż to już nie płacz, czasami tylko, przy pacierzu, ale tak to nie. Jak zginął syn, wtedy rozpaczalam. Codziennie chodziłam na cmentarz. Już nie wystarczało mi siedzieć i patrzeć na grób. Przytulałam się do mogiły, obejmowałam ją i szlochałam. Kiedyś zdało mi się, że ziemia jakby tak westchnęła. Przestraszyłam się trochę, słucham, a w koło drzewa szumią jakoś dziwnie. Na cmentarzu zawsze przecież cicho, a wtedy głośno się zrobiło. Nie, nie hałas, ale coś takiego... Szybko pacierz odmówiłam i na plebanie pobiegłam. A wikary mówi: córko, duszę zmarłego meczył, spokoju nie miał. Do spowiedzi przystap, Pana Jezusa przyjmij. Drugi syn twojej opieki potrzebuje. Ano, tak by-

stręczała, bo to niepewna życie. Ale w końcu widzi, że już niżej ze mną nie idzie i, pamiętam, mówi:

— Powiedz, żeby na niedziele przyszedł.

— Jak już u nas był, to matka mu powiedziała, że da mnie za żonę, ale on musi przysiąc, że będzie mnie szanował, nie będzie pił i po chrześcijańsku będzie wychowywał i żył. Wtedy on matkę pocałował i na krucyfiksie przysięgał. Potem to długo mi się do trzecich zapowiedzi. Po ślubie wszyscy na kupie w kuzynki mieszkaliśmy i mój o mieszkaniu się wystrząsał. Takie służbowe. Niezadługo syn nam się urodził i mąż go ochrzcił Wacek — tak jak jemu było. Od małości miał pociąg do samochodów. Chcieliśmy mieć

choć mogła w nim zostać póki syn z wojska nie wróci. Na urlopie był przed Wielkanocą. Ucieszyliśmy się sobą. Za niedługo dwóch służbowych do mnie przyjechało i jak weszli, to o zdrowie pytają. Patrzę na nich, zgłupieli czy co? Pierwszy raz widzę, a oni tak familiarnie. Coś czułam niedobrego, ale jak mówią, żeby usiąść, to już pytam co się stało. A oni, że Wacek w wypadku zginął. Jak, co? Ano, w nocy gdzieś jechali i w furę uderzyli. Ten co z nim jechał, to kilka dni później w szpitalu duszę oddał. Pogrzeb wojsko zrobiło, odszkodowanie dostałam, ale dziecko już w ziemi. Brat po konsultacji mówi, żeby do niego przyjechać. Z rodziny już tylko on i Miruś, a i z domu wyprowadzić się już mus, to się zgodziłam. Zamieszkalismy na tym pustkowiu, ale tu

lądka, dla męża, a ona pyta co z Mirkiem. Jak to co — pytam. We wojsku. A ona, że chłopaki mówią, że wypadek miał. Lecę do miasteczka, ledwie kulosów nie połamię rozpytać u ludzi.

Miruś ze starszą się poswarzył. Przy wszystkich powiedział, że wódki za przepustki nie będzie dawał. Za to na strzelaniu pod celem miał się czołgać. I wtedy go trafili w głowę.

Na taksówkę całą rentę wydałam. Wchodzę, a warta puścić mnie nie chce. To ja na kolana i proszę. Oficera zawezwałam i on powiedział, że już wszystko dobrze. Znowu w taksówkę i do szpitala. Tam doktorzy mówią, że będzie żył, ale że będzie nienormalny.

Jak go do domu puścili, to karmić go musiałam, bo jeść sam nie umiał, pod siebie robił. Patrzę kiedyś rano na niego i myślę, że on teraz taki jak małe dziecko. Powiedziałam sobie wtedy w duchu: wychowam cię synuś, nauczę wszystkiego od nowa. Teraz to już Miruś sam koło siebie wszystko zrobi, naje się, ubierze. No, wszystko! Mówi tylko nie bardzo i taki nie za bardzo rozum u niego, ale to tak już musi być. Pytałam potem o tego co pod kule synowi iść kazal, ale odpowiadał, że go przeniesi. Gdzie? Nie chcieli powiedzieć, tajemnica podobno. Chciałam mu w oczy moją krzywdę wyrzucić. Przekląć jego i dzieci, ale jak go nie spotkałam, to już odpuszcłam.

Jak Miruś był we wojsku, jeden z miasteczka do mnie zachodził. Kiedyś z flaszka przyszedł i mówi, że mnie chce. No, w sobie jeszcze niczego, zmarszczył tylko te dwie śmiechowate łuski, widać, widać, ale można ufarbować. Mówię mu, że jak syn przyjedzie i poradzi, to mu odpowiem. A sobie myślałam, że wtedy za nimi do miasta jechać bym nie musiała. To dobrze jak starzy i młodzi oddzielnie mieszkają. Przewiedziałam się co to za jeden, co się o mnie stara. Mówią, że chłop galantny, pocciwy, ale czy my nie za stare, żeby się żenić. Ano, może i za stare, ale to przecież zawsze ktoś bliższy będzie, nie? Jak się z Mirusem tak stało, to przestał do mnie przychodzić. Raz go spotkałam i w oczy mówię, co to już żenić się nie chce. A on płacze i do mnie, że dwie kuleki to za dużo na moje głowę, bo on, mówi, ciężko na serce słabuje i niedługo dojdzie. Jakos na jesieni mu się zmario. A potem, zaraz na początku zimy brata w lesie drzewo przygniotło. Jakis pilarz nie krzyknął, że leci.

Stąd też muszę się wyprowadzić, tak mówili w dyrekcji, bo tu młodzi przyjdą gospodarzyć lasem. Kiedyś myślałam, że co tak ze mną na świecie i przypomniałam sobie jak moja babka opowiadała, że u polskiego króla był Tatar co zakonnice na złą drogę sprowadził i moja rodzina z niego poczęła. Kiedys jak po kole-dzie chodził to powiedziałam, ale on mówi, że Pan Bóg za to nie mnie karze tylko duszę tego mojego niby przodka.

W kościele kiedyś mnie nazwano, żeby do Bieszczadów napisać, do księdza. Może ludzie jeszcze tam moją rodzinę pamiętają i o jakieś pomożenie się wystarają. Tameczny ksiądz odpowiedział, że napisał do takiej pani co mi pomóc może, a potem list z Reichu przyszedł. Tej co do mnie pisze to ja nie znam, ale ona podobno jest córką pani, co znała moją mamę. W liście jest, że jakbym chciała, to ona się wy-stara, żeby do niej z synem przyjechała, bo tam ofiarom komuny bardzo się pomaga. Nawet może po nas przyjechać. Ale ona Mirusia nie zna i nie wie, jaki to obowiązek. Tam jechać to jakby nowe życie zaczynać. Mowy technicznej nie znam, a u mnie już nie ta głowa do nauki co kiedyś. Tu-taj to wiem, jak z ludźmi gadać, jak się w życiu obrócić, a tam pewnie i księdzę wyrozumieć nie można. Miruś też tego nowego życia pojąć by nie mógł. E, gdzie mnie jechać! Ta pani to przysłała mi nawet 200 marek, ale ja pieniędzy nie potrzebuję, tylko zdrowia jak najwięcej.

Regulamin nagrody tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury w roku 1988

1. Nagrodę tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury w 1988 roku w wysokości 100 tysięcy złotych przyznaje jury na wniosek Czytelników „Odgłosów” oraz stowarzyszeń twórczych, regionalnych, instytucji zajmujących się działalnością kulturalną.
2. Kandydatami do nagrody mogą być ludzie lub zespoły ludzi, którzy w 1988 roku wyróżnili się oryginalnymi koncepcjami, inicjatywami, pomysłami, eksperymentami, poszukiwaniem nowych form, poczynaniami organizacyjnymi oraz wybitną aktywnością w upowszechnianiu kultury, co znalazło potwierdzenie w praktyce.
3. Nagroda jest niepodzielna i może być przyznana jednej osobie lub zespołowi.
4. Do nagrody tygodnika „Odgłosy” można kandydować wiele razy, jeśli osiągnięcia w upowszechnianiu kultury w minionym roku upoważniają do złożenia właściwego wniosku.
5. Laureaci nagrody tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury mogą kandydować ponownie dopiero po upływie 5 lat od roku otrzymania nagrody.
6. Wniosek o przyznanie nagrody powinien być sformułowany na piśmie, dokładnie udokumentowany działalnością obejmującą rok 1988 i zgłoszony w redakcji tygodnika „Odgłosy” do 31 stycznia 1989 roku.
7. Jury może odstąpić od przyznania nagrody, jeżeli ilość kandydatów będzie mniejsza niż trzy albo jeśli nadesłane wnioski nie będą odpowiadały wymaganiom regulaminu.
8. Fundatorem nagrody tygodnika „Odgłosy” jest Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”.
9. Jury nagrody tygodnika „Odgłosy” na wniosek redaktora naczelnego „Odgłosów” powołuje dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.
10. W skład jury nagrody tygodnika „Odgłosy” wchodzi: — przedstawiciele Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, — dwóch członków zespołu tygodnika „Odgłosy”, — przedstawiciel Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, — przedstawiciele stowarzyszeń twórczych, regionalnych, zawodowych — literatów, muzyków, plastyków, dziennikarzy i innych.
11. Wyniki pracy jury zostaną ogłoszone po 1 maja 1989 roku.

Komu nagrodę „Odgłosów”?

Na powyższe pytanie odpowiada ANDRZEJ SIEDOROWICZ, dyrektor naczelny Krajowej Agencji Wydawniczej w Łodzi.

— Panie dyrektorze, rozpoczynamy piątą już edycję nagrody naszej redakcji za upowszechnianie kultury. Proszę powiedzieć, jak pan rozumie działalność upowszechniającą wartości duchowe naszej kultury?

— Chodziłoby o to, by znaleźć i korzystać z takich form, które by ten dorobek — oczywiście mam na myśli dorobek duchowy — współczesnych pokoleń jak i wcześniejszych, doprowadziły do świadomości jak najszerszych rzesz społecznych. Czyli wykorzystując wszelkie mechanizmy, dostępne środki ukazywać go. Czas współczesny tworzy bierność postaw wobec dorobku duchowego. Daleko łatwiej ogląda się telewizję, natomiast wydaje mi się, że odbiór powinien być bardziej zindywidualizowany, powinno tu występować bardziej subiektywne przeżywanie ze słowem pisanym, z muzyką, z obrazem. Jestem pełen podziwu dla tych wszystkich działaczy kultury, którzy poprzez swoją wiedzę, zaangażowanie, chęć przekazywania innym, nie patrząc na swój czas osobisty, docierają do większych lub mniejszych groniów ludzkich. Podpowiadają im, organizują dla nich spotkania z kulturą. Dla mnie najlepszym tego przykładem jest pasja działaczy domu kultury w Bychawie. Takich przykładów można by przytoczyć więcej. Właśnie w tych regionach, gdzie dotarcie do dóbr wielkiej kultury jest utrudnione, najczęściej spotyka się ludzi o ogromnej pasji przekazywania tego, co jest największym i najlepszym nośnikiem myśli humanistycznych. Chcę podkreślić jedno, co wypływa z moich obserwacji: większość z tych działaczy nie przelicza swojej pracy na efekty materialne, nie oczekuje zapłaty, ekwiwalentu za godziny poświęcone tej wspaniałej pracy. Podziwiam ich również za to, że mimo wielu obowiązków wynikających z charakteru ich zatrudnienia, znajdują czas na oddanie się bez reszty działalności, której na imię Kultura.

Nie rozgraniczam — jako element wartościujący — czy ktoś robi to zawodowo czy profesjonalnie, czy jest amatorem, pasjonatem rozpowszechniającym dorobek kultury. Dla mnie jest rzeczą ważną, aby poświęcić się, dać z siebie więcej niż tylko wy-nika to z obowiązku zawodowego.

Skoro mówimy o upowszechnianiu kultury: mamy w naszym mieście szereg profesjonalnych placówek i od składu osobowego stanu pracującego, od ich inicjatyw, chęci zależeć będzie do jak dużych rzesz będą docierać i czy taka placówka będzie spełniała swoje zadanie. Mam na myśli biblioteki, osiedlowe domy kultury, ogniska, zespoły szkolne. Pracują tam ludzie, których wyróżnia pasja upowszechniania dorobku kulturalnego nie tylko naszego regionu, ale dorobku całych minionych i obecnych pokoleń. I takim ludziom przyznawałbym nagrody.

Jako dyrektor firmy zajmującej się m.in. wydawaniem literatury pięknej, szczególnie jestem zainteresowany w rozpowszechnianiu słowa pisanego. Dla mnie książka jest nie tylko wyrazem wypowiedzenia się pisarza, ale jest jednocześnie twórczym przekształceniem osobowości człowieka. Czytelnikowi autor chce powiedzieć jak wygląda życie, a jednocześnie przecież jest to kreowanie tego życia w tej najbardziej humanitarnej, formie. Wróćmy pamięcią do niedawnej przeszłości, kiedy książka kształtowała Polaka, jego związek z Ojczyzną, której nie było na mapie Europy. Ileż pokoleń wychowało się na Mickiewiczu, Krasińskim, Sienkiewiczach... Dlatego tak bardzo zależy mi, aby z każdą książką dotrzeć do czytelnika. Tu upatruję olbrzymiej wartości upowszechniania. Oczekuję współfunkcjonowania księgarza, biblioteki, szkoły.

— Kogo zatem widzi pan jako tegorocznego laureata naszej nagrody?

— Widziałbym przede wszystkim uhonorowanie olbrzymiej pracy w dziedzinie upowszechniania książki przez zespół Wojewódzkiej Biblioteki im. Ludwika Waryńskiego. To godny kandydat waszej nagrody.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

W domu zawsze był ktoś w mundurze, a jak jest mundur — to wiadomo — służba, rozstanie i nieszczęścia.

Za co los mnie tak karze?

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

lo. Mirek wtedy do siódmej klasy chodził, a ja nie wiedziałam, co on dalej zamysla — po kuchni krząta się kobieta, która tydzień temu, a może jeszcze wcześniej była w wieku balzackowskim. Starannie uczesana, ubrana w biały, wykrochmalony fartuch podzwania fajerkami na piecu, parzy herbatę. Odwrócona do mnie plecami, lekko nachylona nad kuchenną płytą, mówi spokojnie, półgłosem... Podeszła do okna i szerzej je otworzyła. Do chłodnej izby wdarł się gorący oddech przedśionka Puszczy Białowieskiej. Kilkakrotnie zawołała „Mirek”.

Przy stole usiadł wysoki, przystojny chłopak. Czarne włosy, rozochoczone i upstrzone resztkami jakichś liści. Widocznie taził gdzieś na lesie, który zaczyna się zaraz za progiem. Z dobrotliwym uśmiechem przyklejonym do twarzy brał pastylki i powoli wkładał je do ust. Oczami cały czas patrzył dokoła siebie, jakby się wszystkiemu dziwił. Matka poglądziła go po włosach i ramieniu.

— Czasami to myślę, co z nim będzie jak mnie zabraknie. Choć to grzech i ciężko tak mówić, ale może lepiej żeby pierwszy umarł...

Tutaj to przyjechałszy jak Wacek zabiło. Z rodzicami mieszkaliśmy w Bieszczadach. Ojca bardzo słabo pamiętam, prawie wcale. Najbardziej to jego szorstki polaczek. Jak się Hitler poddał, to u nas spokoju cały czas nie było. Tatało zgłosił się, żeby z banderowcami walczyć. Matka opowiadała, że nie chciała go puścić, ale ojciec, że musi, bo dzisiaj spala sąsiada, a jutro mogą nas. Długo nie uwalczył, coś miesiąc albo dwa. To było zdaje się po tym jak generała Swierczewskiego zabili. Kiedyś przyszli do wsi i zaczęli soltusa walić, ojciec polecał ratować i tam go zastrzelili. Matka prosiła, błagała w progu się położyła, a ojciec, że musi. Nas nóżniej też spalili. Tu mam zdjęcie — otwiera drewniane pudełko.

— To mąż zrobił jak żył. Lubiał tak podlubać. Kiedyś nic tu trzymałam — drobnymi, nawet nie zniszczonymi dłońmi wjmuję kartoniki, na których uwiecznieni są jej bliscy — Ojciec to ten z wąsami. O, tutaj — pokazuje palcem krepęgo mężczyznę w oficerkach. Widać że zdjęcie było wielokrotnie oglądane. — Ta mała to ja, to mój brat, co tutaj umarł. O, a tutaj to mama i ojciec — pieszczotliwie bierze w palce kolejną fotografię.

— Jak nas spalili, to żeśmy już nie mieli i mama napisała do kuzynki, jak z nami jest. A potem pojechaliśmy do niej pod Olsztyn. Tam poznałam świętą pamięć męża. Długo do mnie chodził. On był milicjantem, mama mi go od-

jeszcze córkę, ale drugi też był syn. To już po moim ojcu dałam mu Mirek.

Chrestnym Wacka był mój brat, jeszcze przed wyjazdem z domu. Jak Wacek skończył samochodówkę, to zaraz poszedł do wojska. Na samochodach służył. Kiedy go brali, to nawet był zadowolony. Ja też nie płakałam jak inne. Zawasz w domu był ktoś w mundurze, a wiadomo, jak mundur to i służba, i rozstanie.

Kiedyś mąż wraca jakiś taki zdenerwowany. Bałam się o niego, bo on sercowy był. Pytam ja się co i jak. Szedłem, mówi, lasem, a tam Niemiec co do Balcerów przyjeżdża, samochód w jeziorze myje. To ja, że tu nie można i sztrafem straszę, a on wtedy z mordą, że tu wszystko jego. Jeszcze tu wrócę — drze pysk — i ciebie pierwszego na bruk wyleję i psami poszczuję. Takem się wnerwił, nieboszczyk mówi, że bym mu przysłał.

W trzy miesiące po przysiędze syna, mąż miał służbę w nocy. Rano przyjeżdża do mnie starszyzna i mówi, że mój nie żyje. Do mnie jakoś to nie doszło i pytam co się stało, a on powtarza, że mąż nie żyje. W nocy go przetrącił. Na bluzie czernidłem miał wymalowany krzyż niemiecki. Policja szukała, ten Niemiec co u Balcerów był, już dwie niedziele w Reichu. Nic nie wyszło na jaw. Dużą rentę po mężu dostałam, ale z mieszkania musiałam iść. Uprosiłam, żebym

dobrze. Tak spokojnie, pewnie jak w niebie. Miruś do szkoły do miasta pojechał. Dobrze dziecko, co tydzień przyjeżdżał. Na mechanika od telewizorów się wyczuli. Tam jakas pannę zapoznał. Jak miał kończyć, to ja tu przywoziłam. Udała tak. Kiedyś to nawet cały tydzień ze mną była. Mówiła, że jak Miruś wojsko od-służy, pobrać się zamierają. W mieście chcieli mieszkać i mnie do siebie ściągnąć. Ale ja bym nie chciała stąd wyjeżdżać. Tutaj nauczyłam się na ziołach wyznawać. Wiem co na brzuch, na gorączkę, na stawy. Na brzydką skórę też znam zioła. Ludzie mówią, że to bajda, ale ja wiem, co zadać, żeby serce czyściej do kochania przysmigało. Jak ktoś potrzebuje, to pomogę. Pieniądzy za to nie biorę. Wo-lę pacierz, bo za pieniądze miejsca w niebie się nie wykupi. Tutaj to są tacy ludzie, że czasem do mnie najpierw przychodzą, a potem do lekarza.

Na Mirusia czas do wojska przyszedł i nie było sposobu, żeby go wyreklamować. Teraz to już się bałam. Do strazy chętna, ale nie szło. To go i wzięli. Pierwszy raz po Nowym Roku przyjechał. Chłopaki z miasteczka co z nim służyli, częściej do domu zjeżdżali. Jak go pytałam, co tak rzadko, to mówił, że uklad taki, ale się zmienił.

Kiedyś siedziałam na ganku, a tu przychodził Józefowa, co w miasteczku ma kamienicę. Myślałam, że po zioła na zo-



Collage: Grzegorz Galasiński

Świat się zmienia = ewolucja obyczajów • Jak bawią się w Polsce i w Japonii?

Nie staliśmy się ani nie staniemy „drugą Japonią”, ale od czasu, kiedy pojawiło się to wzywianie wrośło u nas zainteresowanie tym egzotycznym krajem. Czy jednak wiemy o nim dużo więcej niż przedtem? Okazuje się, że nie tylko my, ale i społeczeństwa znacznie dłużej i bliżej kontaktujące się z Japonią i zdawałoby się nieźle zaznajomione z życiem codziennym Japończyków powinny zrewidować swoją wiedzę, opartą na powierzeniach, a w dodatku zdezaktualizowanych wiadomościach.

Stereotypy mają twarde i długi żywot, toteż cudzoziemcy, zwłaszcza Europejczycy i Amerykanie, nie potrafili już zobaczyć Japończyka inaczej niż jako tradycyjnego, który po dniu wytężonej pracy zawodowej spieszy do domu, by w rodzinnych pieleszach oddawać się starodawnym obyczajom, żeby nabierać sił do ciężkiej harówki oczekującej go w dniu następnym.

Otóż ten tryb i styl życia współczesnego Japończyka, a przynajmniej pracującego mężczyzny, ulega od pewnego czasu niemal całkowicie nieznanej dawniej modelowi rekreacji i wypoczynku, w którym dominującą rolę odgrywa rozrywka, stojąca zdecydowanie pod znakiem seksu.

Jak relacjonuje swoje dziennikarskie obserwacje jeden z redaktorów zachodniomiejscowego tygodnika „Der Spiegel”, Japonia „po fajerancie”, przedstawia się jak kraj nieznanych knajp i przybytków seksu, zwanych elegancko — „hotelami miłości”, a także hazardowych gier automatycznych. Cała Japonia usiana jest „kącikami rozkoszy”, gdzie „sprzedaje się sny”, jak określa reporter. Każde miasto ma

su”, gdzie panowie mogą się bawić w dzieci, a damy zmieniają im pieluszki. Gdzie indziej znów można przebrać się w stroje historyczne, a korzysta z tego chętnie 88-letni Ryo-ki Sasakawa — uznany za zbrodniarza wojennego, a obecnie jeden z najbogatszych ludzi w Japonii. Lubi on pokazywać się w zbroi samuraja.

Na progu rozrywkowego lokalu Japończyk dostaje się pod troskliwą opiekę hostessy (jest ich w kraju ok. miliona). Nalewa mu ona alkohol do szklanki, karmi, wysłuchuje jego skarg i żalów, pociesza w strapieniu nie stroniąc od niewinnych perwersji, jednak bez tzw. ostateczności. Całkowitemu zaspokojeniu seksualnemu służą bowiem specjalne lokale, wspomniane już „hotele miłości”, oprowadzane zresztą, jak twierdzi autor, przez oficjalnie działającą organizację gangsterską „Yakuza”, która też pilnuje nocnego porządku w rejonie hoteli, dokąd państwowa policja w ogóle nie zagląda.

Owe przybytki dzielą się m.in. na sauny, gdzie wraz z masażem świadczy się usługi seksualne lub też lokale, gdzie klient przy filmach porno obsługuje się sam. Są też widownia miłośne z aktywnym udziałem publiczności. Na zaproszenie „artystki” wskazują dziarsko na scenę rywalizujący klienci, ten który okazał się szybszy ma pierwszeństwo, ale najpierw spokojnie składa spodnie w kącie na podłodze, gdy drugi cierpliwie oczekuje swojej kolejki.

Specyficzną japońską specjalnością są lokale oferujące wspólne kąpiele dla obojga płci, powstały one już w ponad 60 kurortach, mających gorące źródła. Lokale te są celem organizowanych przez zakłady pracy koleżeńskich wycieczek grupowych. W miejscowości Ise za-

Zwierzanie ich uczestnika

Co to są „baleciki”?

„Otóż Twój adres mamy z Wrocławia od naszych przyjaciół, którzy otrzymali ponad 700 ofert i nie są w stanie „sprostać” zadaniu. Krótko! Jesteśmy małżeństwem o dużym stażu (16 lat) i o równie dużym stażu i doświadczeniu w kontaktach seksualnych, gdyż mamy na ten temat zdrowy (naszym zdaniem) pogląd i jak na razie jest nam z tym bardzo dobrze. Zapraszamy Cię do przyjazdu do Poznania — warunek — uprzedzić nas minimum 2 dni przed terminem, gdyż musimy zarezerwować hotel (na nasz koszt oczywiście), gdyż w domu ze względu na Babcię uprawiać miłości nie możemy w szerszym gronie oczywiście).

(...) Będzie dobrze jak będziesz z partnerką, ale będzie też dobrze jak będziesz sam. Danką i Sebastian

— Dużo dostałeś takich listów?

— Jeden.

— Co to są „baleciki”?

— Definicja jest dość pojemna. „Baleciki” to uprawianie miłości w grupie co najmniej trzyosobowej, o czym świadczy ta korespondencja. Warunkiem jest oczywiście jeden partner omdlennej płci. W „balecikach” nie biorą udziału zбоченцы: homoseksualiści i lesbijki. Taki układ zbiorowy ma na celu urozmaicenie, tak w dziedzinie partnerów, jak i technik seksualnych.

Czytalem o „balecikach” w szesnastu osob, przy czym rotacja partnerów następowała co jedno spotkanie, ale trudno to uznać za jakąś regułę. Zupelnie sobie obcy kobieta i mężczyzna mogą być ze sobą szczęśliwi przez całe miesiące, a jednocześnie normalnie funkcjonować w społecznych rolach żony i męża bez szkody dla trwałości więzów małżeńskich, a także rodzinnych w ogóle, jeśli są dziećmi.

— Od jak dawna uczestniczysz w orgiach?

— „Baleciki” nie mają nic wspólnego z orgiami. Podstawowym kryterium jest dobroć. Do udziału w orgii trzeba przystać części uczestników, szantażować, kupować wręcz do udziału we frywolnościach. W zdrowym układzie zbiorowym wszyscy uczestnicy przystępują do zabawy tylko wtedy, jeśli mają na to ochotę. Czasem wystarczy obserwowanie innych. Ale jak każda zabawa — także ta, w którą bawią się dorośli — wciąga prędzej czy później, bo najlepiej smakuje owoc zakazany.

Ja zacząłem w wieku 23 lat. Wyjechałem z koleżankami Kasią i Elą pod namiot na Mazury. Tworzyliśmy wyborne towarzystwo: Jedną jest atrakcyjną blondynką, drugą — brunetką. Przed wyjazdem nie było mowy o intymnych kontaktach. Ot, byliśmy dobrymi znajomymi. Pierwsze dwie noce upłynęły najzupełniej spokojnie. Trzeciego dnia Kasia szła wziąć prysznic. Zadeklarowałem się, że będę jej towarzyszył. Wszedłem za nią do kabiny. Nie oponowała, więc w czasie mycia doszło między nami do zbliżenia. Powtórzyliśmy je nocą wtedy, gdy uznaliśmy, że Elżbieta już zasnęła. Podczas aktu poczułem, że ktoś gładzi moją rękę. Uznałem to za zaproszenie do swawoli we trójkę.

Trudno uwierzyć, że doszło wtedy do tego. Obie dziewczyny były bliskimi kumoszkami, znały się bowiem od dziecka. Historia była tym bardziej pikantna, że obie miały wówczas swoich chłopców. To są teraz ich mężowie. Dla ścisłości — po powrocie z Pojezierza, nigdy już nie doszło do spotkania w tym składzie oraz podobnych okolicznościach.

We Wrocławiu miałem dziewczynę Olę, starszą ode mnie o 4 lata. Nasza znajomość była już zażyła, gdy odwiedziliśmy jej przyjaciół — małżeństwo z siedmioletnim synem. Ten ostatni na czas imprezy został zresztą zesłany do babci, mieszkającej oddzielnie. Prywatka przedłużyła się do późnej nocy. Towarzystwo rozeszło się do domów. My we dwoje nie

mieliśmy gdzie iść. Gospodarze mieli tylko jeden tapczan, ale jakoś się pomieściliśmy na nim. Nie było mowy o jakiegokolwiek krepacji. Wypity alkohol wyzył nas z konwenansów.

Ze zdziwieniem odkryłem, że gospodarz zajął się moją dziewczyną. Brak jakiegokolwiek zażenowania z jej strony, nie mówiąc nawet o symbolicznym oporze — pozwolił mi przypuszczać, że nie robiła tego ze znajomości po raz pierwszy w życiu. Jako że wyznaję zasadę, iż gwałt niechaj się gwałtem oddiska, nie pozostało mi nic innego jak wziąć rewanż na gospodyni. Nie byłoby w tej historii niczego nadzwyczajnego, gdyby nie to, że jak potem ustaliliśmy, była ode mnie o 11 lat starsza. Ale nie miało to doprawdy żadnego znaczenia.

Trzecia historia miała miejsce w moim mieście rodzinnym. Znałem ówczesnie bardzo pociągającą sekretarkę z Urzędu Wojewódzkiego. Posiłąmy razem na basen. Spotkaliśmy znajome małżeństwo. Taką okazję warto było uciec kilka kolejkami piwa. Byli trochę podchmieleni, kiedy zaprosili nas do swojego domu. Zgasili światło, gdy tylko się rozoszcziliśmy. Nasi znajomi bezceremonialnie zaczęli się kochać. Mój kolega nie należał do seksualnych tytanów i po drugim zbliżeniu miał dość wszystkiego, co może łączyć się z seksem. Znałabym wiele, żeby pobudzić go do kolejnych czynów, lecz próżny był jej trud.

Tak się złożyło, że leżeliśmy obok siebie. Ta niewstała obdarzona niespożytym temperamentem, w zapamiętaniu i ciemnościach pomyliła partnerów. Rozbawiło mnie to do tego stopnia, iż dusiłem się ze śmiechu chowając głowę w poduszkę, aby to ukryć przed nią. Mężczyzna nie jest kłódą drzewa. Intensywnie zabieg doprowadził do tego, co było nieuniknione. Mój kumpel nie miał nam tego za złe. Wymieniliśmy wizytówki umawiając się na wspólny weekend. Do spotkania jednak nie doszło.

— Co się dzieje, kiedy przystępnym do udziału w orgiach kończy się ciąża?

— Aby odpowiedzieć na pytanie, muszę najpierw wyjaśnić, że na ogół w „balecikach” nie biorą udziału jakieś nieświadome, głupiotki gaski, ale elita społeczeństwa: artyści, prawnicy, lekarze, dziennikarze, najwięksi przedstawiciele kręgow decydenckich, dbający o początki lat osiemdziesiątych o nieposzlakowaną opinię. Towarzystwo umie chronić się przed niespodziewanymi konsekwencjami zbliżeń. Z opowiadań wiem, że wpadki zdarzają się, a wtedy uczestnicy spotkania solidarnie zrzucają się na zachodnie zastrzyki, sprzedające płód. Kosztowne przedsięwzięcie.

cie — 60 dolarów, ale honor nie ma ceny.

— Jak się można domyślać, zastrzyki te pozostają nie bez wpływu na kondycję kobiety? — Naturalnie, przecież zostaje użyty przez lekarza silny narkotyk o piorunującym działaniu, a jego efekty są widoczne po upływie godziny. Kobieta co prawda szybko i bezboleśnie pozbywa się płodu, ale w konsekwencji zostaje osłabiony jej organizm. Kolejne zajście w ciążę przez najbliższe miesiące jest niemożliwe, a jeśli się jednak zdarzyło, wtedy dziecko może przysiąc na świat zdegenerowane.

— Czy obawa przed AIDS nie ograniczyła seksualnego rozpamiętania?

— Ograniczyła, ale tylko w krajach wysoko rozwiniętych. Widać to najlepiej na podstawie dodatku do „Kuriera Polskiego”. Przez pewien czas nie można było zamieszczać ogłoszeń, wobec których istniało podejrzenie, że zawierają niemoralną propozycję. Hipokryci przegrali jednak batalię. Spójrzmy choćby na pierwsze z brzożanone w „Relaksie”: „Dyskretny, wysoki 34-letni brunet, pozna panie lubiące fantazyjny seks. Wiek i stan cywilny obojętne. Oferty Katowice”, albo: „Małżeństwo trzydziestoparolatów poszukuje partnerki, dziewczyny. Oferta Warszawa” albo: „Małżeństwo, inżynier — plastyczka, pozna bezpruderyjne pary oraz panie. Oferty Warszawa”.

— Nie uważasz, że to zjawisko jest nieczym innym jak dewiacją społeczną?

— Coś, co ludzie robią z różnym nasileniem i wyobraźnią od czasów wspólnoty pierwotnej, nie tylko nie może być traktowane za nienormalne, ale jest wręcz czymś w rodzaju — powiedzmy — ukrytej normy społecznej. Inne kraje mają „baleciki” jako powszechne zjawisko z sobą. U nas panuje zmowa milczenia, bynajmniej nie powodowana strachem przed zarządzeniem się afrykańskim wirusem. Tymczasem seks zbiorowy występuje na co dzień nie ograniczając się tylko do wielkich miast, co mogłoby niekiedy przypuszczać.

— Jesteś jeszcze młody, ale jak będziesz się na to zapisać kiedy założysz rodzinę?

— Nawet w małżeńskim stadle nie wyklucza takich kontaktów.

Zanotował:
WŁODZIMIERZ KUPISZ

Seks po japońsku w relacji niemieckiego dziennikarza.

Co robi Japończyk po pracy?

swoją dzielnicę rozrywki, a każda wioska przynajmniej skupisko kilku domów, w których Japończyk po zachodzie słońca może znaleźć upragnione odprężenie.

Oferta uciech jest zresztą mocno zróżnicowana, na każdą kieszeń, aż po najbardziej wymyślne zachcianki, można np. przez kilka godzin wcielić się w postać słynnego gwiazdora filmowego czy nieustraszonego samuraja lub znaleźć pełną namilęności kochankę. O koszty klienci na ogół się nie martwią, przeciętny bowiem Japończyk wydaje trzecią część swoich zarobków na „yoka”, co oznacza przyjemnie spędzony czas wolny.

Przemysł rozrywkowy stał się w krótkim czasie jedną z najintrygniejszych gałęzi gospodarki w tym kraju, który przecież szczyty się tak wielu znanymi w świecie towarami. Jak zapewni dyrektor nowo powołanego „Instytutu badawczo-rozwojowego wolnego czasu” wydaje się w Japonii na rozrywki obłądną sumę, równą budżetowi państwa (bez wydatków na zbrojenia).

Bezpośrednio po zakończeniu dnia pracy Japończyk wybiera się do baru, ale nie sam, lecz w towarzystwie kolegów z pracy i szefa.

— Kiedy nie idę z szefem popić, zawsze coś korzystnego przepięgię — zwierza się urzędnik ubezpieczeniowy. — W ciągu dnia zapoznaje się z pracą tylko z niektórymi faktami dotyczącymi przedsiębiorstwa, a dopiero w barze może zostać włączony do kultury wielu spraw zawodowych i w ten sposób zapracowywać sobie na przyszłą karierę. Japończyk zresztą, jak twierdzi autor artykułu, dopiero w koleżeńskim gronie, z którym się identyfikuje, odnajduje swoją tożsamość i przeżywa swoje przyjemności, a wszelkie kontakty i stosunki poza koleżeńską grupą stanowią dla Japończyka prawdziwą urokę — pisze jeden z profesorów California University w „Poradniku kulturalnym Japończyka”.

Jak się owiadujemy, każda większa firma sporządza wykaz barów, które powinny odwiedzić jej pracownicy. Stali bywalcy są tu obsługiwani stosownie do stanowiska służbowego, a na koniec miesiąca firma zapoznaje się z rachunkami swoich pracowników. Długość furmanki na tym zależy i dlatego roznosi się nad pracownikami tak ścisłą kuratelę? Ponieważ młody pracownik w koleżeńskim towarzystwie jeszcze bardziej żywa się z macierzystą firmą, a w konsekwencji wiąże z nią na całe życie.

W samej tylko Ginzie, dzielnicy Tokio jest 2700 barów, a w całym kraju ok. stu tysięcy. Są to bary najrozmaitsze uprofilowane, a najbardziej typowy i „najmniejszą jest bar typu „Karaoke”, co znaczy „pusta (lub „gola”) orkiestra”. Wzrost słońca stoją otulki, na ekranie leci wideo, a z głośnika słychać „goły” akompaniament ulubionych piosenek, tak by pauc solowa mogli swoim śpiewem wypełnić sami klienci. Dla ułatwienia na ekranie ukazują się słowa piosenki. Może zresztą zaśpiewać na podium i poczuć się „gwiazdą”.

W tokijskim klubie „Maharadza” amatorski występ odbywa się w psychodelicznym oświetleniu, wśród kłębow pary i mydlanych baniek. Komputer czuwa nad tym, by w powietrzu np. krążył śnieg lub kroił deszcz, gdy mówią o tym słowa piosenki. W krótkim czasie „karaoke” stała się niemal instytucją życia publicznego i pojawiła się nawet w japońskich pociągach.

W wielu barach stali bywalcy mogą się dobrać według upodobań i skłonności. W tokijskim barze „Elizabeth” mężczyźni zakładają damskie pończochy i płaszcz, dawniejsi oficerowie marynarki zbierają się w barze o kształcie okrętu wojennego, skąd przez tłumy można obejrzeć symulowaną burzę morską. W innym barze dziewczęta pokazują się w szkolnych mundurkach, ale za to bez majtek, inny znów bar tokijski ma „strefę relak-

szy”, gdzie ostatnio muzeum porno, gdzie naturalistycznie wykonane figury w skowe kopiuje w najwymyślniejszych pozach, choć podobno największe zainteresowanie wzbudza parzenie się zwierząt. Pornografia, według obserwacji niemieckiego dziennikarza, przybiera w Japonii postać nie spotykaną w naszym kręgu kulturowym. Specjalne pisma pełne są fotografii przerażających scen np. zamordowanych ofiar gwałtów seksualnych. Bardzo często widzi się w metrze osoby dorosłe oglądające te sceny bez szczególnego ukrywania się z tym przed dziećmi.

— Miłość powinna dostarczać uciechy — powiada znany architekt, kierownik 50-osobowego biura projektów, które jeszcze niedawno zajmowało się projektowaniem placów zabaw dla dzieci a dziś zaspokaja „sny dorosłych”. Te „sny” zresztą stają się coraz wymyślniejsze, i tak np. w „hotelach miłości” instaluje się automatyczną kamerę do filmowania klientów w czasie „akcji”, żeby po fakcie mogli jeszcze się nacieszyć swoimi dokonaniem. Z chwilą opuszczenia lokalu zakład gwarantuje klientom wymazanie taśmy, choć co prawda bywa z tym podobno różnie.

O dochodowości tego rodzaju biznesu decyduje m.in. niezwykle szybka rotacja, uzyskana dzięki błyskawicznemu sprzątaniu pokoju na przyjęcie nowych gości. Kiedy parka opuszcza pokój, wtedy za naciśnięciem guzika w ścianie znika łóżko z używaną pościelą, a wysuwa się nowe, ze świeżą pościelą. Ta przerwa w obsłudze gości została w niektórych hotelach zredukowana do czterech minut.

— Ale najważniejsze jest, żeby hotele miłości nie wyglądały, jak burdele — mówi znany architekt wnętrz. Powinny to być miejsca, o których dziecko powie: „I ja bym tu chciał przychodzić, kiedy dorosnę”.

Ogółem z 40 tysięcy japońskich „hotelów miłości” trzy i pół tysiąca przypada na stolicę. Tak wyczerpujący tryb spędzania wolnego czasu sprawia, że 80 proc. ankietowanych stałych bywalców uskarża się na zmęczenie, a jedna trzecia znajduje pokrzepienie i ratunek w alkoholu. Jak powiedział reporterowi przedstawiciel japońskiego ministerstwa zdrowia „Japończyk się od dzieciństwa wychowywał w powściągliwości i trzeźwości, toteż nawet odrobina alkoholu działa na nich silnie pobudzająco. Nadaremnie apelujemy, by ludzie zachowywali umiar”.

O rozrywkę obywateli, w przekonaniu, że od reagowania stresów jest najpewniejszą gwarancją zachowania wysokiej dyscypliny i wydajności pracy (a więc również źródłem zysku przedsiębiorstw) troszczy się tacy potentaci, jak koncerny Mitsui, Mitsubishi, Sumimoto i in., produkując masowo urządzenia do gier automatycznych, finansując filmy i masowe widowiska, inwestując w budowę centrów rozrywki.

Przyczynia się to jednak do zaniku dawnych obyczajów. Mężczyźni bywają gośćmi w domu, cały ster spraw domowych i wychowania dzieci przejmują kobiety. Zanika też uświęcona tradycja działalności gejsz, których liczba stale tonie, ustępując miejsca nowoczesnym hostessom. Te właśnie starodawne domowe obyczaje i ceremonie życia rodzinnego-towarzyskiego były, jak sądzi socjologowie, źródłem narodowej tożsamości i wewnętrznej siły Japończyka.

Dokąd zmierza Japonia, której formy życia odbiegły już znacznie od stereotypu, ciągle jeszcze funkcjonującego w opinii cudzoziemców? ..

Opracował:
JERZY KWIECIŃSKI



K raków przeżywa kolejny amok: całe miasto jest obwieszone portretami marszałka Józefa Piłsudskiego i afiszami zapowiadającymi wystawy, prelekcje i odczyty związane z 70 rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości. Nie ma nawet salonu „Venus”, który obok Wawelu i Sukiennic należało koniecznie po przyjeździe zaliczyć. Teraz w budynku Muzeum Historii Fotografii ludzie tłoczą się przed fotosami i eksponatami wystawy zatytułowanej „Jak Powstała Niepodległa Polska”. Wszelkie duże literami.

Zatrzymałem się w „Hotelu pod Różą” (jedynie 5360 zł za dobę) na ulicy Floriańskiej, po której od świtu do późnej nocy krąży pięćosobowa kapela podwórkowa grając „Pierwszą brzygadę”, „Przybyli ulani pod okienko”, „Wojenka, wojenka”... Ma się wrażenie, że lada moment, z którejś przecznic wykurzy się oddział ubrany w szary strzelak strój”. Przypomniało mi się w związku z tym, że w przeszłości, kiedy odwiedzałem miasto Kraków, w tych oknach, na tych samych wystawach wisiały inne portrety i inne hasła. I także w nadmiarze. Bo u nas zawsze

dlaczego tak drogo? Przecież kosztuje połowę tego.

— Nie wiem, wraz ze mną kupowały trzy inne osoby i od nich także wzięto po 1400.

— Sprawdź — mówi Piotr Skrzynecki. — A teraz do „Wierzyńki”.

Moim przewodnikiem jest nieoceniony Andrzej Panasiewicz z Muzeum Historii Fotografii. Dzięki niemu mam bilet.

— Przedstawienie jest wyjątkiem dla Żydów, którzy przyjeżdżali z różnych krajów i z różnych kontynentów. Dajemy specjalny program. A w ogóle, to zaczynamy dopiero o dwudziestej drugiej, na tę godzinę kazalek przyjdzie artystom.

Wobec tego idziemy do „Wierzyńki” (uwaga dla mojego redaktora naczelnego: proszę zwrócić uwagę na wydatki, jakie poniosłem dla dobra „Odgłosów” i ich Czytelników).

Przed dziesiątą po raz pierwszy w życiu schodzę do „Piwnicy pod Baranami”, znajdującej się na Rynku Głównym pod numerem 27. Nad bramą wejściową tkwią trzy głowy baranie, a także stare oznakowanie: Gmina III, Numer 340.

Nie ma zaczarowanej dorożki, „Piwnica pod Baranami” nie ta, co dawniej i na Rynku jacyś faceci pytają, czy ma ktoś coś do sprzedania.

Kraków w listopadzie

EUGENIUSZ IWANICKI

muszą być skrajności: albo czegoś nie ma, albo jest go tyle, że stępią receptę odbioru.

Od lat przyrzekałem sobie, że będąc w Krakowie muszę koniecznie pójść do „Piwnicy pod Baranami”. To legenda, jak legenda jest jej twórca i konferyansjer Piotr Skrzynecki. Ze starej gwardii stał się on jeden, zawsze ten sam i niezmienny, bo współtowarzysze, jak mówi Saadi, „jednych już nie ma, inni są daleko”, rozproszyli się po świecie. Są inną epoką, jak z innej dziesiątki jest Piotr Skrzynecki, cygan, rycerz niekonwencjonalnej sztuki błądzący w swoim niezwykłym świecie. Kim właściwie jest? Czarnoksiężnikiem? Szamanem? Zaklinaczem słów? Ostatnim z romantyków pragnących ocalić to, co w człowieku jest najpiękniejsze? Może Don Kichotem chcącym za wszelką cenę uszczęśliwić? A może wszyskim po trochu?

Spotkałem się — w Krakowie to normalne — na ulicy św. Jana, wieczorem widmowym i chłodnym, kiedy szanulacy się ludzie kończą już kolejną kawę i kolejny koniak u „Wierzyńki”. Piotr Skrzynecki cały na czarno, w czarnej zimowej nocy, z białą brodą satra.

Mówię, że wybieram się do jego „Piwnicy”.

— Nic z tego, dziś przedstawienie jest zamknięte.

— Mam już bilet — mówię. — Za całe 1400 zł.

— Jak to? Kto sprzedał i

Piwnica... Naprawdę zwyczajna, wymalowana na czarno piwnica, z bocznymi korytarzami przejściami do innych piwnic, przejść i korytarzy. Dla kontrastu — jaskrawo czerwone (strażackie) drewniane krzeselka. Miejsce może 80, może 100. Łukowate sklepienie. Estrada także czarna, z desek nie bardzo do siebie dopasowanych. Dekoracje jarmarczne, odpustowe. Pełno zwisających i wiszących szmat, papierowych kwiatów, wystawowe manekiny, walizka, kołowrotek, kawałek lustra z zaciekami... Piotr Skrzynecki strojem także jest „dopasowany” do dekoracji, choć jest to jego strój codzienny: brązowa koszula i rozdeptane brązowe półbuty, reszta na czarno. Do tego nieodłączny dzwonek u pasa, dzwonek, jakie wieszają juhasi owcom na halach.

Widownia aż kipi, ludzie tłoczą się, śpiewają „O, mój romantynie”, piją. Prawie tyleż osób, co na widowni, obiega bar w jednym z korytarzy. Tu pije się ostro, zapewne jest to specjalité de la maison. Zresztą przekonuje się, że spora grupa osób wcale nie ogląda programu, a zwyczajnie upija się siedząc w sali piwnicznej, z której przechodzi się do galerii plastycznej „Piwnicy”. Na zapleczu — bufet, korytarze, pomieszczenie ze stołami dla tych, którzy nie chcą oglądać artystów — stoją gipsowe akty męskie. Na głowie każdego — płonąca świeca. Jest to jedyny światło, jakie rozprasza grobową ciemność tych katakumb. A w „galerii” wystawa prac

plastycznych. Są to czarne, ponure, odstraszające prostokąty, na których nie sposób czegośkolwiek się dopatrzeć i doszukać.

Widownia niecierpliwi się coraz bardziej. A kiedy kończy „Ułani wędrują, strzelce maszerują”, na scenę wbiega Piotr Skrzynecki.

Nie wiem, czy program dla zwyczajnej widowni jest taki sam, jak dla tej specjalnej, nietypowej, z importu. Ten, który oglądam, to satyra na naszą współczesność, na ludzi stojących u steru rządu, na naszą powojenną historię. Teksty nie są najwyższego lotu, czasem wręcz prostackie, brakuje im francuskiej lekkości i cietości starożytnych satyryków. Kiedy tak słuchałem chwilami niewybrednych dowcipów, przyszło mi na myśl powiedzenie Ignacego Krasickiego, że i „śmiech niekiedy może być nauką, kiedy się z przynurą, nie z osób natrząsa”. Tu akurat wszystko było odwrotnie. Natomiast widownia szalała. Siedzący w pobliżu rudy brodaczy w okularach był tak rozbawiony, że nie tylko zadzierał nogi ku sufitowi i kwiczał jak prosie, ale swoim zachowaniem wytworzył wokół siebie pustkę. Ludzie bali się, że taki furia! w każdej chwili może kogoś poturbować.

Kiedy śpiewano „Partia ci wszystko wybaczy...”, w bufecie odchodziło ostre picie. Odbywało się wszystko bez słów, od czasu do czasu ktoś gestem unosił dwa, trzy lub cztery palce, a barman stawiał dwie, trzy lub cztery szklanki alkoholu. Nie kieliszki, szklanki! Też zapewne taki tu zwyczaj.

— A ja ją dymam i dymam — mówi ktoś popijając małymi łykami — i patrzę, a ta dziwka śpi. Rozumiesz? Zasnęła pod moją ręką!

Na scenie ktoś opowiada o manewrze okrążającym marszałka Iwana Koniewa, który to manewr krakowianie czują do dziś, i z którego nie mogą się wyzwoić! Widownia aż pieje z zachwytem, tłumacząc się, że nie tylko śmiechu starają się przekazać sens wypowiedzi, ale i wielkość obokrajowców, przeżycie o polskich nazwiskach, rozumie wszystko doskonale.

Piotr Skrzynecki:

— Piosenka dla Adama Mazura z Izraela! Jeśli w trakcie jej wykonywania pocatuje piosenkarkę, stawia trzydzieści wódek, jeśli nie pocatuje — 4 wódki!

Apogeum zabawy, apogeum krzyków i śmiechu. Pan Adam Mazur gramoli się na estradzie, dopada śpiewaczkę.

Szatomanina. Brawo! Brawo! Brawo! Trzydzieści wódek wędruje na widownię.

A na zapleczu, w korytarzyku łączącym piwnicę, gdzie odbywają się występy z wystawą plastyczną, siedzą i stoją wykonawcy. Oczywiście chodzą do bufetu, ale to chyba im nie wystarcza, bo ktoś przynosi dwie półtorówki. Jeden z artystów opowiada dowcip o tym, jak kiedyś zaangażowano do „Piwnicy” kogoś z krańca Polski i okazało się, że ten ktoś jest beznadziejnym beztalenciem. Wtedy wysłano do niego depeszę: „Rezygnujemy ze współpracy”. Odpowiedź przyszła błyskawicznie: „Nie rozumiem. Przyjeżdżam natychmiast”.

Potem ten sam dowcip w tym samym wykonaniu słyszę jeszcze dwukrotnie.

Po półgodzinie miałem dość i mogłbym wyjść, gdyby nie fakt, że numerem do szatni schował do kieszeni Andrzej Panasiewicz, a on siedział pod ścianą, po przeciwnym stronie i nie miał szans na wyostanie się. A przetrwać w „Piwnicy” nie ma. Więc chodzę po labiryncie korytarzy, słucham, oglądam. Zmęczony siadam przy stole, obok dwójki pijących pań.

— Chyba się zabije — mówi jedna. — Właśnie dostalam period.

— Współczuję Adamowi. — Adam? Od roku jest impotentem.

Wracam do artystów, do korytarzy, w którym odpoczywają, rozmawiają, piją.

Wpada ładna dziewczyna, najładniejsza z całego zespołu. — Chodźcie się uklonić. Nie wypadła ich lekceważyć, takiej widowni dawno nie było.

— A niech klaszczą.

— Mam ich gdzieś. Ukazuje się Piotr Skrzynecki.

— Szybko, szybko, kłaniamy się i do widzenia.

Uff! Wreszcie mogę iść do szatni, zabrać swoją kurtkę, wrócić do hotelu, poczytać, choć dawno minęła północ. Już na

Rynku rozglądam się, czy nie nadjeżdża gdzieś zaczarowana dorożka, ale jest pusto, cicho i mroźno. Jedynie z wystaw spogląda na mnie groźnie Marszałek.

Przed zaśnięciem przeglądam album, wydany w końcu lat sześćdziesiątych, a noszący tytuł „Piwnica”. Znakomicie opracowany graficznie, dziś klejnot sztuki edytorskiej nie do zdobycia. Dowiaduję się z niego, że w roku 1956 grupka zapaleńców: B. Chromy — dziś znany rzeźbiarz, K. Penderecki — dziś światowej sławy kompozytor, J. Skarbowski, J. Sulima, W. Dymny, R. Jarosz, F. Mieczkowski, P. Skrzynecki znalazła piwnice, wyrzucili z nich węgiel, usunęli cegły, a — jeśli wierzyć legendzie — J. Sulima, by oczyścić konin, po prostu wlaży do niego i przetarł sobą zalegające tam sadze.

Początkowo w piwnicy nie było światła, więc przy świecach podawano kawę, dyskutowano, kłócono się, pito, tańczono do rana. Potem dopiero zaczęto wychodzić na estradę: Krzysztof Litwin, Andrzej Bursa, Tadeusz Kwinta, Zygmunt Konieczny, Krystyna Zachwatowicz, Ewa Demarczyk, Leszek Długosz, Maria Zajączkówna, Mieczysław Świąciecki... Programy odbywały się raz rano, innym razem w południe albo wieczorem. Estrada była miejscem, na którą kto chciał wchodził i albo śpiewał, albo recytował, albo grał. Zdarzyło się, że produkowała się tam pewna wariacka, która uciekała z pobliskiego zakładu dla umysłowo chorych.

Wiesław Dymny, jeden z założycieli i filarów „Piwnicy pod Baranami”, malarz, sztukmistrz, pisarz, śpiewał refren z „Siedmiu koni”. Dymny przekonywał, że za nim chodzi siedem bestii, zresztą jak za każdym człowiekiem, tylko nikt nie zdaje sobie z tego sprawy.

Pierwsza, Bestia Samotności — to jest wielka pustka
Druga, Bestia Smutku — to jest to, co jest naokoło pustki
Trzecia, Bestia Rozpaczy — to jest to, co jest w tej pustce
Czwarta, Bestia Gniewu — to jest w środku pustki
Piąta, Bestia Pożądania — to jest koniec pustki i początek następnej
Szósta, Bestia Złości — to jest pustka odwrotna
Siódma, Bestia Zazdrości — to jest pustka pustki

Lza się w oku kręci... Nawet sam Piotr Skrzynecki przyznaje, że tamta „Piwnica” — to legenda, niepowtarzalna, jak niepowtarzalna była młodość jej założycieli i uczestników. „Piwnica” — to dwa, nieprzystające do siebie światy: współczesny, który prezentują artyści i ten, który odszedł na zawsze, świat Piotra Skrzyneckiego. Bo on trwa niezmierzczalny, łączący sobą przeszłość i dzień dzisiejszy. W tamtej, nie istniejącej „Piwnicy” dbano o słowo, o czym można się przekonać wertując wspomniany tu album. Były to teksty najwyższego lotu, bo stworzyli je poeci, którzy na stałe zadomowili się na kartach historii naszej literatury: Liebert, Tuwim, Jasnorzewska — Pawlikowska... Dzisiejsze są nieudolne, bardziej złośliwe niżli dowcipne.

A nazajutrz, kiedy czekałem na Piotra Skrzyneckiego przed kawłarenką „Vis à vis” (niestety, nie zjawił się), podchodził do mnie co pewien czas jacyś mężczyźni i pytali:

— Ma pan co do sprzedania?

Nie miałem. W torbie był jedynie magnetofon i kasety. Moja ciekawość, w miarę oczekiwań na Piotra Skrzyneckiego, rosła: czym ludzie handlują w biały dzień, w pepku Krakowa, na Rynku Głównym?

Dość szybko rzecz się wydała. Oto niepozorny, z kilkudniowym zarostem na twarzy człowieczek, zatrzymał grupę kobiet, zadając im to samo co mnie, pytanie:

— Nie macie co do sprzedania?

— My nie Madziarzy, my z Czeskosłowenska.

I to byłoby na tyle z listopadowego Krakowa.

Słynna paryska opera w remoncie.

Najważniejsza jest miłość!

Rozmowa z **MARIA SARTOWĄ** — francuską śpiewaczką, z Polski rodem, która niedawno występowała w Łodzi w miniooperze Francisca Poulenc’a z librettem Jeana Cocteau.

— Pozostaję pod ogromnym wrażeniem tego utworu, nigdy przecież dotąd w Łodzi nie wykonywanego. Jakże ładunek dramatyzmu mieści się w muzyce, jaka ekspresja w tekście, który ma odwagę, dzięki mistrzostwu Jeana Cocteau, zostawić przez 40 minut na estradzie czy scenie, sam na sam z publicznością, solistkę wcielającą się w postać rozmawiającą przez telefon z kochankiem w chwili ostatecznego rozstania...

— Tekst jest wykonywany w języku francuskim, te osoby, które go nie znają, nie wiedzą, jak bardzo są strasne w odbiorze tego dzieła. Jest to coś niezwykle wspaniałego i dramatycznego zarazem, nie waham się uznać tej czterdziestominutowej partii, specyficznego monodramu za najtrudniejszy w całej literaturze operowej. Tu przecież nie można się na nikim wesprzeć, ani na partnerach, ani na scenografii (przy występie estradowym), wszystko, co przeżywa kobieta w ostatniej rozmowie z borycym nazajutrz ślub z kim innym kochankiem, trzeba wyrazić w sposobie interpretacji pamiętając o tym, iż bardzo trudna, choć niezmiernie piękna, jest sama muzyka. A mówi się do telefonu wiele, przeżywając całą gamę odczuć, informując o próbie samobójstwa, wreszcie pozornym uspokojeniu. Ale i tak po odczuciu słuchawki telefonicznej bohaterka padnie na ziemię zemdiona. Ten utwór jest mi strasznie bliski, być może także i dlatego, że dla mnie zawsze najważniejsza w życiu była miłość.

— A jak Polka — Maria Sartowa, która, jak pamiętamy przed kilkunastu laty była świetną solistką Opery Wrocławskiej, znalazła się na stałe we Francji?

— Mam w tej chwili podwójne obywatelstwo i chcę podkreślić, że byłam i jestem Polką. We Francji przebywałam od 11 lat. Studiowałam oczywiście w Polsce, zaczęłam od fortepianu, ale właściwie moją pasją był zawsze teatr. Gdy więc niespodziewanie okazało się, że mam głos, a było to w czasie zajęć chóralnych, gdy trzeba było przez jakiś czas poświęcać po 15—20 minut dziennie na śpiewanie, mogłam zmienić nieco zainteresowania. Ukończyłam Akademię Muzyczną w Warszawie, mając możliwość jeszcze nawiązania kontaktu z Adą Sari, potem Olgą Olginą, wreszcie Wiktorem Bregy. Potem zaangażowałam się do Opery Wrocławskiej, występowałam także w stolicy. A w roku 1977, gdy wygrałam konkurs Radia Francuskiego mając zapewnione występy w teatrach operowych i nagrania radiowe, wyjechałam do Paryża.

— Jaką rolę z okresu polskiego wspomina pani z największą przyjemnością?

— Trudno mi o tym mówić, bo śpiewałam dość dużo, także i później, operowych partii. Może, poza „Głosem ludzkim”, Tatiana w „Eugeniuszu Onieginie”? Z pierwszego okresu występów jeszcze w kraju może warto przypomnieć Pamiąg w „Czarodziej-skim flecie”? To był mój debiut.

— Czy Mozart jest panu szczególnie bliski?

— Lubię Mozarta, ale uważam, że niezwykle trudno go śpiewać. I że tylko kilka czy najwyżej kilkanaście osób w świecie wykonuje go tak jak trzeba. Do Mozarta trzeba się urodzić.

— Co to znaczy?

— Iż musi być odpowiednia barwa głosu, ale też rodzaj techniki sprzężony z właściwościami psychicznymi, rodzajem temperamentu, pozwalającym wydobyć wszystkie niuanse muzyki i emocje. Nawet wielka Callas nie potrafiła sobie przeciwstawić porażki z tym genialnym kompozytorem. To o czymś świadczy.

— Co jest panu cieniem artystycznym?

— Wieczne poszukiwania, sprawdzanie siebie w coraz trudniejszych sytuacjach. Dlatego właśnie wiązałam się z Paryżem, iż chciałam stawiać sobie stale większe zadania. I ciągle się uczę.

— Jaki jest panu status we Francji? Myślę oczywiście o sprawach artystycznych...

— W Radiu Paryskim organizowane są systematycznie konkursy dla śpiewaków. Ich laureaci mają możliwości występów. Ja np. mogłam zacząć pracować jako laureatka z Narodową Orkiestrą Symfoniczną i Filharmoniczną „Orkiestrą Symfoniczną”, mogłam także śpiewać w teatrach operowych. Nagrywałam cały cykl muzyki polskiej i rosyjskiej, wykonywałam i wykonuję do dziś muzykę kameralną, śpiewam partie operowe. Nie stronię od klasyki. Ale muszę powiedzieć, że w kraju śpiewak pozostając na etacie czuje się chyba bezbezpieczniej niż we Francji, gdzie podpisuje się tylko kontrakt na określoną partię czy przedstawienie. Ale miałam szczęście występować z wielkimi dyrygentami i wspaniałymi partnerami.

— Co dzieje się w Operze Paryskiej?

— Zostanie zamknięta na pewien czas pod pretekstem remontu, po czym będzie pokazywała tzw. produkcje artystyczne związane, ze względu na potrzebę oszczędzania (tzn. takie, które już miały jakieś wykonania). Natomiast paryżanie czekają na otwarcie nowej na Placu Bastylli. Będzie bardzo nowoczesna i będzie miała własne produkcje.

— Jaka muzykę pani lubi?

— Lubię Pucciniego, Czajkowskiego, także Poulenc’a. Interesuje mnie także teatr, a więc coś, co można pokazać środkami aktorskimi. Taką wspaniałą postacią jest Tatiana z „Oniegina”. Motorem jej życia jest miłość, do tego zmienia się tak bardzo, iż właściwie w ostatnim akcie jest to już całkowicie inna kobieta. Takie bohaterki mnie interesują najbardziej. No i kobieta z „Głosu ludzkiego”.

— Czy oglądała pani coś w Łodzi?

— Tak, spektakl „Toski” na kasecie z Teresą Kubiak w przygotowaniu łódzkiego Teatru Wielkiego, także „Zydówkę” i „Wesele Figara”. Przedstawienie „Toski” jest na poziomie światowym. „Zydówka” też jest wspaniała, niewiele teatrów na świecie może sobie pozwolić na sięgnięcie do tak ambitnego repertuaru i wystawiania na takim wspaniałym poziomie. A proszę pamiętać, że oglądałam przedstawienia i w MET i La Scali. Mam więc skalę porównawczą.

— I słowo o życiu prywatnym...

— Mam córkę, bardzo ładną i miłą, która studiuje modę. Kocham także dom...

Rozmawiała: **MAŁGORZATA KARBOWIAK**



Foto: Adam J. Wojnar

Raj

(FRAGMENT KSIĘGI PROROCTW)

Nieskalany. Był tylko jeden śnieg.
Kości matwy falowały jak zaspy.
Niczego nie czulem. Moje ciało zniknęło.
Niebo było czyste a wiatr biały.

Nieskalany. Może z wyjątkiem planktonu,
który unosił się w moich oczach. Mogłem być
martwy.
Moje ciało zniknęło. Był tylko jeden śnieg.
Z kości matwy ożywionych w świetle

Wiatr był biały. Aerodynamiczny.
Wiatr był jak pierwsza zasada.
Był siła, która obrabiała kości.
I powiedziałem wiatrowi nie.

Twoje uda są japońską bibułka.
Żył to porwane nici morwy.
Dzisiaj istnieją w moich oczach
jak preparaty do mikroskopu.

Więc powiedziałem wiatrowi nie.

Przekład:
JERZY JARNIEWICZ

Półka z książkami

„STO JEDEN” PO RAZ TRZECI

Wydawnictwo Literackie prezentuje dorobek pisarstwa Adolfa Rudnickiego w tomach noszących tytuł „Sto jeden”. Obecnie ukazał się tom trzeci zawierający krótkie utwory niegdyś drukowane jako „Niebieskie kartki” w „Świecie” oraz kilka innych opublikowanych w różnych czasopiśmiech w różnych latach. Dla miłośników twórczości A. Rudnickiego jest to kolejna przystopka z jego pisarstwem, choć dla mnie najlepsza jego książka pozostaje nadal „Krakowskie Przedmieście pełne deserów”.

Adolf Rudnicki: Sto jeden III. WL 1988. str. 400. Cena 560 zł.

O KONIU

„Jest to na palcach bujająca królestwa zwierzęcego baletniczka” — napisał sto lat temu Marian Czapki. Dziś chce oświecić znakomity zbiór wierszy i prozy poświęcony koniom, jaki ukazał się w „Bibliotece Romantycznej” pt. „Koni ma duszę w sobie”. Lektura zebranych tekstów każe skonstatować, że dla prawdziwego Sarmaty koń był droższy od żony i domu, i że dzieje Polski to także dzieje konia niosącego na sobie znakomitych jeźdźców czy to w czasie łowów czy też w potrzebach wojennych.

Całość jest bogato ilustrowana.

Łucja Glinkowa: Koni ma duszę w sobie. WL 1988. Str. 648. Cena 980 zł.

E. I.

Muszę przyznać szczerze na wstępie, że niedawna ekspozycja w warszawskiej „Zachęcie” wzbudziła we mnie głęboki smutek i rozczarowanie. Już sam tytuł — „Świeżo malowane” — pasujący świetnie do wystaw plastyki rodzącej się dopiero nowej fali zdumiewała na wystawie malującej ambicje podsumowania zjawiska określanego jako „nowe malarstwo” a trwającego w Polsce już blisko siedem lat. Osiadając obłędnie pokryte farbami, które zdążyły już dobrze

A propos nieobecności i niedosytu jest on tym większy, że na „Świeżo malowane” oczekiwano niecierpliwie w trakcie przedłużającej się z nierozumiem i wątpliwościami fatalnej ekspozycji „Arsenal 88” (po obejrzeniu której widzieliśmy się jak figury rzeźby Krystyny Orzech, prezentowane na wystawie). Programowy „groch z kapuś” — „jaki panował w hali „Gwardii”, rodził potrzebę wystawy uporządkowanej, logicznie ukazującej rozwój zjawiska, jakim jest malarstwo polskie. Braki od strony

Szkoda też, że organizatorom nie udało się nakłonić do pokazania większej, niż jeden, ilości obrazów bardzo interesujących, lecz ginących przy rozległych reprezentacjach innych artystów: Rafała Koszary (Warszawa) i Eugeniusza Minciela (Wrocław). Brak młodej rzeźby polskiej nieco usprawiedliwiał tytuł wystawy.

Pewna rekompensata mogły stanowić wiosenne wystawy organizowane przez Andrzej Bonarskiego pt. „Bruno Schulz” i „A teraz rzeźba” oraz otwarta niedawno „Rzeźba w ogrodzie” wg koncepcji Andy Rottenberga. Ta ostatnia, mająca trwać do dziś, została, została szybko przerwana aktem bestialskiego zniszczenia wielu cennych obiektów. Zniszczenie rzeźb w ogrodach SARP napawa przerażeniem z powodu bezmyślnej agresji i braku poszanowania dla cudzej pracy i cudzej własności. Wyciąganie wniosków o nieakceptacji sztuki współczesnej powodującej tak gwałtowny sprzeciw jest może zbyt pochopne, lecz znalazłszy nie opodal w krzakach, porzuconym w kształcie znaku zapytania daje wiele do myślenia.

Wychowanie przez sztukę? — Tak. Przede wszystkim jako nauczanie wrażliwości i tolerancji dla zindywidualizowanych postaw. Różnych spojrzeń na otaczający nas świat. Same obiekty artystyczne tego nie uczynią.

JOLANTA
CIESIELSKA

„Świeżo malowane”

przysnąć do polskiego pejzażu wystawieniczej, zastanawiać może fakt, czy, w istocie, wystawa spełnia rolę historycznego ukazania rozwoju pewnego nurtu (i jakiego?). Dziwił bowiem na wystawie brak wielu artystów ważnych przez to, co prezentuje ich twórczość i przez rolę, jaką odegrali w kształtowaniu oblicza nowej ekspresji. Nie mam tu na myśli prekursorów anonimowych. Wystarczy spojrzeć na nazwiska w katalogu wystawy, aby stwierdzić, że na pięćdziesięciu zaproszonych artystów tylko trzynaście z nich wzięło udział w ekspozycji. O przyczynach rezygnacji pozostałych wypadłoby sondaż organizatora przedsięwzięcia — Jacka Werbanowskiego. Dziwił natomiast na wystawie o obrazach Doroty Brodowskiej i Zbigniewa Sprycha, bardzo odmiennie w stylizacji od pozostałych, stanowiące wątpliwe jej urozmaicenie i nie wnoszące wiele w rozumienie cech zjawiska, o którym mowa.

personalnej i merytorycznej (konceptji wystawy) powodowały, że wystawa w „Zachęcie” wiała smutkiem, ukazując zmęczoną — pozbawioną już młodzieńczej działości i inwencji, jeśli chodzi o temat, a jeszcze nie pretendującą dojrzałości do rangi wystawy „młodych klasyków” — twarz „nowej” ekspresji.

Wyjątek stanowiła wspaniała, ogromna realizacja rzeźbiarska „Realizmu mistycznego” „Kola Klipsa” — Krzysztofa Markowskiego i Leszka Knaflowskiego, uderzająca swą jednorodnością i wyrafinowanym kolorem.

Przygnębiającą atmosferę rozweselały nieco obrazy Krzysztofa Skarbka (Wrocław), którego pogodna ironia i „amerykańska” odcierająca się o kicz, komiksowa forma obrazów była pewną odpowiedzią na problem komercjalizacji sztuki, odświeżając w nieco manierystyczny i przewrotny sposób jej „gadżetowe” oblicze.

— W Dniu Edukacji Narodowej rozpoczęła działalność pierwsza w Łodzi, po Katowicach i Warszawie prywatna wypożyczalnia książek na telefon. Koncesja została wystawiona na Piotra Slepia, pracownika jednej ze spółdzielni mieszkaniowych. Dlaczego czekał pan tak długo?

— Prośbę złożyłem na początku roku w Wydziale Kultury i Sztuki UMŁ, ale radca prawny doszedł do wniosku, że zgoda na prowadzenie biblioteki na telefon jest domeną naczelnika dzielnic. Z błogosławieństwem Wydziału Metodycznego Miejskiej Biblioteki Publicznej sprawa trafiła na koniec do nowego inspektora

Bibliotekarz na telefon

oświaty i wtedy już szybko zostałem bibliotekarzem.

— Jak działa?

— Sądzi — emeryci przyjmują zlecenia telefoniczne od rana do wieczora. Najwięcej zgłoszeń jest do godziny szesnastej, kiedy czytelnicy mogą telefonować na koszt firmy. Składają zamówienia po zapoznaniu się z informacją o księgozbiorze, liczącym obecnie 300 pozycji. Od 17.30 do 21.30 rozwija książki, korzystając z miejskiej komunikacji. Dostarczenie i odbiór kosztuje 200 złotych oraz 40 złotych za książkę za dobę. Na ogół rodzina zamawia od razu 3-4 tomy na kilka dni, wtedy wypada najtaniej.

— A co pan robi, jak ktoś nie będzie chciał oddać „Amerykańskich chłopców” Smitha albo „Józefa Piłsudskiego” Garlickiego?

— Czytelnik jest zobowiązany do złożenia 3,5 tysiąca złotych kaucji. Dzięki temu książki nie są niszczone, a problemów ze zwrotem też nie mam.

— Czy wypożyczalnia jest popularna?

— Mam 70 czytelników, w tym 30 stałych. Reklamuje się w dziennikach i Wiadomościach Łódzkich. Nowi przybywają nawet wiele dni po ostatnim ogłoszeniu, szczególnie gdy dziecku potrzebna jest lektura. A „Pinokla”, „Kamieni

na szaniec” i „Robinsona Cruoe” jest wciąż za mało. Na razie mam co robić przez sześć wieczornych godzin każdego z sześciu dni tygodnia.

— Czy samochodem nie byłoby sprawniej?

— Mam samochód i koleżkę z wozem, chętnego do współpracy. Wylizyłem jednak, że koszt benzyny podniósłby stawki za usługi, a tego wolałbym uniknąć.

— Kim są odbiorcy i czego poszukują?

— To niemal wyłącznie inteligencja, głównie lekarze i prawnicy. Bardzo się zdziwiłem, kiedy rekordy popularności zaczął bić tak trudny w odbiorze „Ulisses” Joyce’a i wydawałoby się

zapomniany, bo wydany tylko raz w 1966 r. „Zły” Tyrmada. Oprócz nowości: „Roku 1984” Orwella, „Matni”, „Inkarnacji” i „Upiora” Leonarda, „Nagiego maja” Bratnego, również dużym wzięciem cieszy się klasyka — od Sienkiewicza, Orzeszkowej, Rodziwiczówny, Dąbki-Mostowicza po „Korzenie” Haleya, które to książki poszukiwane są raczej przez starsze panie.

— Wychodzi pan na swoje?

— Dochodzi w całości przeznaczam, na razie, na zakup najnowszych bestsellerów. Z niecierpliwością oczekuję ustawy o przedsiębiorczości, która jest w Sejmie. Pozwoliłaby mi rozszerzyć działalność o prasę, która jest bardzo droga, podobnie jak książki oraz programy komputerowe na kasetach.

KUP.

PESTKI
DYNI

Przyzwyczajaliśmy się, że kiedy w sztuce zwycięża jakiś obrazoburczy geniusz nad obrazoburczą ideą — w efekcie otrzymujemy nowe jakości estetyczne albo intelektualne, propagandowe, poznawcze... Uosobienie wogół nie estetyczne, formalne niż te drugie — okazują się bowiem trwalsze, tamte z czasem dezaktualizują się, przestają cokolwiek znaczyć, stają się historią, wietrzeją, burwią, parcieją; one nie wysychają.

Od Odry na Wschód na Wołyniu, w mieście Żelaznego Jezdca na syberii na stepach Akermanich... powstaje wiele dzieł sztuki, które są obrazoburcze. Wnoszą nowe wartości poznawcze, intelektualne, propagandowe. Czy także estetyczne formalne? Raczej nie. Bo obrazoburstwo odbywa się przy pomocy starych — czy może raczej już dobrze znanych i parę razy eksploatowanych — sposobów jak w Warszawie jak i w Moskwie... To jest raczej sztuka sumienia, pamięci, nienawiści, żalu i buntu... niż formalnego eksperymentu, niż gry talentu na dobrze nastrojenym instrumencie — ale to przychodzi dopiero po krzyku; w tej chwili słychać krzyk.

Goya po „Okropnościach wojny”, po „Kaprysach” wracał do ciała i twarzy pięknych kobiet; jednak Goya był obrazoburcą w obu płaszczyznach — intelektualnej i estetycznej. Geniusz. Czy dziś są geniusze? Czas pokaże.

Skąd się wzięło słowo: obrazoburstwo? Cesarz bizantyjski Leon III, w 730 roku, zakazał kultu ikon i rozkazał je niszczyć. Ikona pochodzi od greckiego „eikon” i znaczy „obraz”. On sam i jego zwolennicy negowali prawo do przedstawiania przez śmiertelnika wizerunku Boga i świętych — bo to niby prowadzi do bałwochwalstwa — i do przedstawiania w ogóle figury ludzkiej, zwierzęcia czy czegośkolwiek co znajduje odpowiednik w naturze; negowali prawo do uprawiania sztuki przedstawiającej. Obrazoburcy czyli ikonoklasty (klasycznie — zlamanie) zniszczyli bezpowrotnie wiele wspaniałych dzieł sztuki w obrębie Imperium Bizantyjskiego i tam gdzie jego wpływy były dostatecznie silne. Ciekawe, jak wyglądałaby dziś sztuka sporej części świata, gdyby zwyciężyli?

Na szczęście czy nieszczęście — górę wzięli obrońcy sztuki przedstawiającej, ikonodule. Na soborze w Nicei, w 787 roku, pozwolono na przedstawianie Boga, świętych i reszty ale postanowiono, że „kompozycja obrazu religijnego nie może zależeć od inicjatywy artystów, ale ma się opierać na zysformułowanych przez Kościół i tradycję”. Opracowano instrukcje i wzorniki poszczególnych — dopuszczonych do eksploatacji — mistyczno-propagandowej — tematów; także metody ich wykonania.

Malarz ikon miał pokazywać świat duchowy w sposób symboliczny. Ograniczenia w tworzeniu były ogromne. A jednak — mimo tych nakazów i zakazów — powstała na przestrzeni stuleci sztuka niepowtarzalna, wspaniała malarstwo. I była to tylko zasługa genialnych artystów. Ludzi.

Zawsze fascynowała mnie ta sztuka; także związana z nią architektura. Dawno, z dwadzieścia lat temu, napisałem wiersz

Ikony ruskie
Anioły cierpienia
Złoto w purpurze
Ikony ruskie
Nieuchome oczy
Złoto w purpurze
Ikony ruskie
Dla ciszy stworzone
Obrosłe sadza
Gdzie złoto w purpurze
Ikony ruskie
Płaczące swego Boga
W bólu stworzone
Perłami zaplacczone
Pod sufitami czarnymi
Ikony czarne
Ruś w krwi
I w purpurze
.....
Zbielale wargi szepczą imię syna

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

CRAIG RAINE
W ŁODZI

Przed tygodniem otwarta została w Łodzi Czytelnia Brytyjska. Powstała staraniem British Council i Uniwersytetu Łódzkiego. Ten fakt dowodził zacieśniania się współpracy, a potwierdza zapowiedź przyjazdu do Łodzi, w dniu 14 grudnia, jednego z wybitnych poetów angielskich. CRAIG RAINE — którego wiersz publikujemy wyżej — jest nie tylko poetą i krytykiem, lecz również redaktorem w wydawnictwie Faber and Faber. Jest gościem British Council i Uniwersytetu Łódzkiego. W programie pobytu poety w naszym mieście przewidziany jest wieczór jego poezji w Teatrze Studijnym oraz spotkanie w jednej z galerii sztuki.

TURNIEJ JEDNEGO
WERSZA

12 grudnia br. o godz. 17.30 w siedzibie Domu Kultury Łódź — Górna, przy ul. Siedleckiej 1, odbędzie się TURNIEJ JEDNEGO WERSZA zorganizowany przez gospodarzy przy udziale „Odgłosów” i ZO Związku Literatów Polskich. Jakkolwiek tematyka utworów jest dowolna,

jednakże organizatorzy pragną przede wszystkim uświetnić 70 rocznicę odzyskania niepodległości. Przewidziane są trzy nagrody pieniężne. Wieczór uświetni program estradowy pt. „WYSOCKI” w wykonaniu BOGUMIŁA POPOWA oraz spektakl „PO OBIEDZIE” w wykonaniu studentckiego teatru „STREFA”. Czynna będzie także wystawa malarstwa TOMASZA SOBCZAKA.

WIELKI NAUCZYCIEL

Państwowe Wydawnictwo Wiedza Powszechna istnieje już 40 lat i dziś nie sposób wyobrazić sobie nasze życie bez książek pochodzących z tej oficyny. W ciągu tych lat wyszło stąd ponad trzy i pół tysiąca tytułów, a liczba egzemplarzy sięgnęła 87 mln. To stąd otrzymujemy encyklopedie, słowniki, roczniki, poradniki, podręczniki do nauki języków obcych (a także do nauki polskiego dla cudzoziemców), książki popularnonaukowe (m.in. „Omega”, „Myśli i Ludzie”, „Biblioteka Wiedzy Historycznej”, „Konfrontacje Historyczne”, „Profile”, „Sylwetki”, „Przyroda polska”).

Tak więc jest to Wielki Nauczyciel towarzyszący każdemu z nas przez dorosłe, świadome życie. Nauczyciel, bez którego nie sposób się obejść.

„PROSTACZEK ELVIS
I PARANOIK LENNON”

Najpierw opisał „króla rocka” Elvsa Presleya jako niepiśmiennego prostaczka i gamonia zainteresowanego tylko wygłupami i seksem. Choć książka spotkała się z ostrą krytyką jej autor, Albert Goldman, były profesor Columbia University, a ostatnio specjalista od gwiazd show-businesu, zarobił na książce ponad milion dolarów. Wszystko na to wskazuje, że na kolejnej książce — o Lennonie (Życie Johna Lennona), która na rynku amerykańskim stała się ostatnio prawdziwą sensacją, zarobi jeszcze więcej. Dlaczego? Z powodu jej skandalicznego charakteru — „steuku kłamstw i bzdur”, jak określiła książkę Yoko Ono, a Paul McCartney wezwał do jej bojkotu.

Czy Lennon był dobrym muzykiem? Och, nie — odpowiada autor — a przynajmniej na płytach „The Beatles” jego gitary nie słychać, jeżeli to w ogóle on na niej grał. Pisanie piosenek? Robił to tylko „na haj”. Bez heroiny czy kokainy nie napisałby żadnej. Homoseksualizm?

To jasne jak słońce, on i menażer „The Beatles” Brian Epstein kochali się. Walka Lennona o pokój? To śmieszne, sam stosował przemoc, a w młodości prawdopodobnie kogoś zabił. Jego dzień powszedni? Przespisał pół dnia, nie był w stanie oglądać nawet telewizji, bo narkotyki rozsadzały mu głowę. Najkrótsza charakterystyka Lennona? Typ paranoiadny, obłąkany, umysłowo chory.

Co prawda na innych stronach tej samej książki przedstawia odmienny wizerunek, nie pomniejsza on jednak treści skandalizujących, które z pewnością przyniosą procesy i wielkie pieniądze.

NAGRODA WAJDY

Wśród rozlicznych nagród państwowych, resortowych, regionalnych, plastycznych, poetyckich, filmowych, edytorskich, amatorskich, okazjonalnych, doroczných, tygodnikowo-miesięcznikowych, festiwalowych, fundowanych i rozdawanych — pojawiła się kolejna, mniej lub bardziej prawdziwie prestiżowa. Otóż Andrzej Wajda postanowił ufundować prywatną nagrodę dla najbardziej wybitnych, ludzi teatru i filmu.



Rys. Stanisław Łuczyński

Kilka uwag o interakcie

Międzynarodowe Targi Sztuki Krajów Socjalistycznych odbyły się już pięć razy. Wystarczająco dużo żeby zastanowić się, czy impreza ta, w dotychczasowym kształcie organizacyjnym, ma szanse rozwoju.

W tym roku w Poznaniu nie pojawił się wystawa z Węgier. Poza muzeami i galeriami polskimi tak zwanych zakupów muzealnych dokonywały tylko Czechosłowacja i Związek Radziecki. Fakty te świadczą raczej na niekorzyść całego przedsięwzięcia. Nie po raz pierwszy dziennikarze i niektórzy z wystawców mówili o konieczności włączenia do INTERARTU wystawców zachodnich. W tej materii zaobserwować można — jak sądzę — zmianę poglądów dyrektora naczelnego P.P. „Sztuka Polska” Stanisława Daneckiego. W pierwszym dniu Targów podczas konferencji prasowej wyraźnie niechętnie odnosił się do tego pomysłu, a na ich zakończenie przyznał, że taki zabieg organizacyjny mógłby się okazać dla INTERARTU korzystny.

Zainteresowanie naszymi Targami sztuki wśród kupców prywatnych i przedstawicieli niewielkich galerii na Zachodzie rośnie, mimo znikomej reklamy i prawie żadnej na ich temat informacji, z czego by można wnosić, iż pojawienie się w Poznaniu wystawców zachodnich stałoby się niejako naturalnym wynikiem tej tendencji.

Po raz drugi na Targach wyodrębniła się galeria „Sztuki Polskiej”. Rok temu były trzy, teraz pięć. Niestety, w katalogu Targów i biuletynach poświęconym tym galeriom tyle miejsca, ile wymagałoby podanie ich adresów i nazw. Gorzej, w spisie autorów zabrakło twórców, których prace oferowała „Sztuka Polska” na własnych stoiskach. A byli wśród nich między innymi: Stanisław Fijałkowski, Jerzy Grabowski, Antoni Starczewski, Edward Łazicki, Marek Wagner, Andrzej Rajch, Jan Berdyszak, że poprzestając na autorach łódzkich lub prezentowanych w naszej Galerii 88 Dyr. S. Danecki powiedział, że nie nie stało na przeszkodzie, aby owe pięć galerii umieszczało swoje oferty w katalogu, wystarczyło tylko zgłosić się i... zapłacić. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności, zaden z pięciu oddziałów (Gdańsk, Kraków, Łódź, Warszawa, Wrocław) nie skorzystał z tej możliwości, a nie posadzą dyrektorem owych oddziałów, jak i kierownikami galerii o to, że nie zdają sobie sprawy jak ważnym uzupełnieniem Targów jest katalog.

Te uwagi, niestety, nie wyczerpują listy targowych uchybień, byłoby jednak nieuczciwie pominięcie tego co liczy się na plus imprezy.

Podobnie jak w roku ubiegłym bardzo dobrze zaprezentowała się Galeria 88, już pierwszego dnia podczas zakupów muzealnych szefowie Galerii — Janusz Głowacki i Grzegorz Musiał mogli powiedzieć, że nie tylko zrealizowali swoje targowe zamierzenia ale na Targach zarabiali. Dwie grafiki Stanisława Fijałkowskiego i trzy prace Jana Berdyszaka sprzedano dla Muzeum im. Puszkina; drugi unikatowe Antoniego Starczewskiego i Jerzego Grabowskiego, wykonane w oficynie Aliny Kalczyńskiej w Mediolanie za pośrednictwem ART-CENTRUM — dla muzeów czechosłowackich, podobnie jak grafiki Stanisława Fijałkowskiego; dla Muzeum Sztuki dwie prace Emilii Bohdziewicz — oto najważniejsze transakcje muzealne. zaś z prywatnych warto wymienić zakup dwóch prac Edwarda Łazickiego przez nabywcę z Danii.

Dobre wrażenie wywarła na Targach łódzka firma KARIMEX, która wyczerpała między innymi papier czerpany, zdaniami specjalistów z Zakładu Konserwacji Sztuki i Sztuki w Warszawie, EKBUO coraz lepszej jakości. Może więc obecność KARIMEXU w Poznaniu spowoduje większe zainteresowanie owym papierem płacówek handlowych „Sztuki Polskiej” zajmujących się zaopatrywaniem artystów w materiały niezbędne im do pracy. Na Targach Materiałów do Twórczości Plastycznej dużym powodzeniem cieszyły się, jak zwykle, stalugi z warsztatu Jana Feliśki (również Łódź).

Mimo umiarkowanej sprzedaży, nie najgorsze wrażenia z INTERARTU wywołał też łódzki prywatny wystawca — Janusz Wiśniewski.

Sporo więc dzieło się dobrego, a przecież poprzednia tylko na przykładach łódzkich. Żeby jednak to co dobre mogło się rozwijać, Targom Sztuki w Poznaniu potrzebne są zmiany, które przyczynia się do rozwoju całej imprezy.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

PRAWDA O KARAJANIE, STRAWIŃSKIM I...

Pojawiły się ostatnio w prasie amerykańskiej publikacje przypominające bulwersujące fakty z życia Karajana, Toscaniniego, Strawińskiego i innych, fakty odnoszące się do czasów faszyzmu. Oto krytyk muzyczny „The New York Times” Will Crutchfield, przy okazji pojawienia się na amerykańskim rynku muzycznym najnowszych wyko „listk” muzycznych (m.in. wczesnych nagrań Karajana: Berlin, Turyn, Amsterdam 1938 — 43), wyraża zdumienie, że żadna biografia Herberta von Karajana nie zwracała uwagi na fakt, iż dyrygent ów koncertował również w krajach okupowanych, między innymi w sterroryzowanym przez gestapo Amsterdanie. Autor przypomina pewne życiorysowe „nieścisłości”, np. jego szybką decyzję wstąpienia do partii nazistowskiej — nie dopiero w 1935 r., by uzyskać zgodę na objęcie stanowiska osobistości, a moja dusza artysty

generalnego dyrektora muzyki w Akwizgranie (jak zawsze twierdził maestro), lecz już 8 kwietnia 1933 r. w rodzinnym Salzburgu, choć anchluss miał nastąpić dopiero w pięć lat później. Takie są te austriackie kontrasty, pisze Crutchfield, w porównaniu z Karajaniem Kurt Waldheim był bojownikiem ruchu oporu.

Na łamach „The New Republic”, młody profesor muzykologii w Berkeley Richard Taruskin, podjął temat pokus płynących z faszyzmu i nazizmu, wskazując jak wielką podatność na nie wykazywały największe indywidualności muzyczne naszego stulecia. Pisz m.in. o fascynacjach Strawińskiego, o tym co mówił Strawiński w 1930 roku, zwracając się do słuchaczy, wśród których zasiadał także duce: „Nie wierzę, by ktokolwiek wielbił Mussoliniego bardziej niż ja. Dla mnie jest to człowiek, o jakiego światu chodzi. Dużo podróżowałem, poznałem wiele wysoko postawionych osób, a moja dusza artysty

nie nigdy nie cofała się z lękiem przed zagadnieniami politycznymi i społecznymi... odczuwam przemożną potrzebę wyrażenia szacunku waszemu duce. Jest on zbawcą Włoch — i — mniejsze nadzieje — Europy”.

Jak dowodzi Taruskin, Strawiński nie miał też wiele do zarzucenia Hitlerowi. Już wkrótce po objęciu przez Hitlera władzy kompozytor pisał do swego wydawcy: „Jestem zaskoczony, że z Niemiec nie nadeszły jeszcze żadne oferty na najbliższy sezon, gdyż moje negatywne stanowisko wobec komunizmu i żydostwa — by nie użyć mocniejszych słów — jest powszechnie znane”. Już wkrótce nie zabrakło Strawińskiemu ofert na koncerty w Niemczech. Prawie do wybuchu wojny...

Galeria pisarzy



STANISŁAW CZERNIK

Wokół swojej osoby
Nie czynił hałasu
I nie twierdził, że Czernik —
To Jan z Czarnolasu!

ROMAN GORZELSKI

Rp. SŁAWOMIR ARABSKI

Wariacje na ulubiony temat

ponad ta scenka zniszczony, zafaty napis: Liberté Egalité Fraternité za nią widnieje ni mniej ni więcej tylko gilotyna. Teatr w tym spektaklu postawiony jest w konkretny, mówiąc delikatnie — nie sprzyjający chwili historycznej. Wielka Rewolucja Francuska kojarzy się z terrorem i okrucieństwem, z bezwzględnością i krwawym rozprawianiem się ze swoimi wrogami.

Konwencja, jaką posłużył się Nowicki daje bardzo wiele możliwości, przede wszystkim nabudowania co najmniej dwóch przenikających się płaszczyzn. Jest to szczególnie trudne dla aktorów, którzy grali podwójne role, ale radzą sobie z tym bez zarzutu. Podstawowa, elementarna płaszczyzna jest tekst Potockiego, które grany przez „okiem” nastawionej komediantów” na pół improwizowany, przedstawiony w stylu buffa, grany z przesadą i przerysowanymi charakterystycznymi dla teatru plebejskiego, Ko-

wolucja nie bardzo im się podobają. Spektakl odbywa się więc w asyście żołnierzy, prymitywnych typów, którzy w chwilach wolnych od pełnienia swych obowiązków (!) przyglądają się „widowisku”, jak dzieci angażując się w akcje... Nie ma sensu zdradzanie pomysłów, w jakie spektakl obfituje; nie ma w nim pustych miejsc, każde słowo i rekwizyt zostają wybrane, każdy gest i ruch czemuś służy. Błyskotliwy humor „Parad” tu wykorzystany jest dla innych niż zawarte w tekście kontekstów, tekst podporządkowany został idei spektaklu. Dowcipy zmieniają się w przejęzyczenia wywołane grozą sytuacji, pewne celowe niezręczności językowe stają się tu owocem pospiesznej improwizacji, tekst zyskuje kilka poziomów. Teatr przestaje być śmieszny, beztroski i nieprawdziwy. Nowicki jednak ani przez chwilę nie nadaje spektaklowi tonu poważnego, serio. Wszyst-

ko toczy się gładko i zabawnie. Groteskowy ton podchwytuje scenografia Magdaleny Maciejewskiej, współbrzmia, komentująca pojedyncze sceny, dopełniająca atmosferę i nastrój spektaklu. Przedstawienie jest dynamiczne jego szybkie tempo nie załamuje się ani na moment, co oczywiście w dużej mierze jest zasługą aktorów, choć przychodzi moment znudzenia niesłychaną ilością pomysłów, które wzbogacają się nawzajem, lecz niczego nowego nie wnoszą. Jest to więc jakby kolejna wariacja Nowickiego na dobrze znany i ulubiony temat Sztuka tworzona przecież przez ludzi musi u-

JOANNA OLCZAK

W teatrze przewidziano ponadto koncert laureatów festiwalu krynickiego, uświetniony udziałem Ewy Podłej, Barbary Zagórskiej i nie będącej akurat w najwyższej formie wokalne — Hanny Rumowskiej-Machukowskiej. Najwięcej braw z 7 młodych laureatów zebrał sopranistka Eugenia Rezier (wirtuozowska aria Rozyny z „Cyrulika Sewilskiego”) oraz zdobywca Grand Prix w Krynicy — barryton Adam Kruszkowski (wymienienie zaśpiewana aria Figara z tej samej opery). Podobali się też tenorzy Sylwester Kostecki i Piotr Czajkowski oraz dziewczyni, chociaż nie całkiem jeszcze dojrzały głosowo bas — Krzysztof Kłerek. Niestety akompaniująca śpiewakom kaliska orkiestra, kierowana batutami Tadeusza Serafina i Jana Wnuka z USA,

nie stała na wysokości zadania. „Rozwicherung” intonacyjne kwintetu i mała dokładność pozostałych grup instrumentalnych obniżyły rangę całego, zapowiadanego przez Bogusława Kaczyńskiego, koncertu.

Wyłącznie dobre wrażenia można było natomiast wynieść w sobotę z BWA, ze spotkania z „Chopin Trio”. Ow młody ansambl (Bartosz Bryła — skrzypce, Paweł Frejlich — wiolonczela i Bogumił Nowicki — fortepian) z maestrią i przyszłościową „radością muzykowania” interpretował utwory Haydna, Mozarta, Mendelssohna i... jazzujący K. Debiskiego. Interesującą, niemniej już bez takiego blasku przedstawili wiedeński repertuar skrzypce Georg Hamman wraz z występującym tym razem w roli pianisty Janem Wąkłem. Miłych wrażeń dostarczył wieczór finałowy, wypełniony produkcjami Orkiestry Kameralnej PRITV w Warszawie pod dyr. Andrzeja Knapa. Bardzo precyzyjna „Eine kleine Nachtmusik”, odrobinkę tylko słabsza wykonawczo, Haydnowska Symfonia nr 44 „Trauer” oraz perliska, jedynym dwiemażym zagranym przez pianistkę Binko Kobayashi Koncert Es-dur Mozarta, stanowiły ostatnie akcenty „Cameraty”.

Festiwalowi życzymy w przyszłości najlepszych wykonawców i bardziej może zdecydowanego urofilowania tematycznego.

JANUSZ JANYST



Na zdjęciu: Mirosława Olbińska i Barbara Barzyńska

Foto: Romuald Sakowicz

Kronika

W CENTRALNYM MUZEUM WŁÓKIENICTWA W ŁODZI, 1 grudnia br., otwarta została pokonkursowa wystawa „Kraina młodych”, zaś 15 bm. w salach wystawowych tegoż muzeum nastąpi otwarcie ekspozycji tkaniny artystycznej Jadwigi Jarosiewicz-Oleskiej.

PIĘKNY JUBILEUSZ — 70-LECIE ZAŁOŻENIA SZKOŁY — obchodziła 4 bm. młodzież i rada pedagogiczna Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Staszica w Zgierz. Z tej okazji odbyła się sesja popularnonaukowa.

Wyroznajacy się nauczyciele uhonorowani zostali odznaczeniami i nagrodami.

MIĘJSKI OSRODEK KULTURY I TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ MIASTA BELCHATOWA organizują IV „Konkurs Literacki” pn. „Moje miasto Belchatów w prozie, wierszu i piosence”.

W konkursie udziału w konkursie jest nadesłanie nie publikowanych i nie nagradzanych prac (w 8 egz. maszynopisu, opatrzonych godłem) pod adresem: Miejski Ośrodek Kultury w Belchatowie pl. Narutowicza 1a (udziela on też wszelkich informacji dotyczących konkursu).

Termin nadsyłania prac upływa 31 lipca 1989 r.

TRWAJĄ PRZYGOTOWANIA do największej międzynarodowej imprezy tanecznej, odbywającej się corocznie w Poznaniu, Lesznie i Koninie — VI Festiwalu tańca „POZNANSKIE KOZIOŁKI '89”. Rozpocznie się ona 3 i 4 lutego 1989 r. i trwać będzie trzy dni. Głównym widowiskowym turniejem z udziałem reżymowanych par zagranicznych, „Tancerzy Pucharu Młodości”, prezentacje choreografów krajowych zespołów tańca oraz „Ogólnopolskie Korepetycje Tancerzy”.

Dużym zainteresowaniem w amatorskim ruchu artystycznym cieszy się zwłaszcza krajowy turniej Tęcza Towarzystwa, pod nazwą „TANECZNY PUCHAR MŁODOŚCI”. Jego uczestnikami mogą być wyłącznie pary nie posiadające kursu tanecznej. Turniej odbędzie się w poznań na trzy kategorie wiekowe: dziecięca, młodzieżowa i juniorów. Eliminacje miejskie i dzielnicowe trwać będą do 15 grudnia br.

W „PREZENTACJACH ZESPOŁÓW TANECZNYCH” uczestniczyć będą zespoły działające w szkołach, świetlicach, domach kultury i klubach. Prezentacje odbędą się w dwóch kategoriach: tańca towarzyskiego oraz pozostałych form tanecznych (małe formy choreograficzne, inscenizacje, rewie dziecięce itp.).

Na „OGÓLNOPOLSKIE KOREPETYCJE TANECZNE” złoży się cykl szkoleń i seminariów — przeznaczonych dla instruktorów, tancerzy, nauczycieli wychowania fizycznego oraz pedagogów prowadzących zajęcia pozalekcyjne.

Imprezie patronują: Ministerstwo Kultury i Sztuki, Ministerstwo Edukacji Narodowej, Polskie Towarzystwo Taneczne oraz Telewizja Polska.

W MEKSYKAŃSKIM MUZEUM RUFINO TAMAYO, 10 XI br., otwarto wystawę polskiej tkaniny artystycznej, przygotowaną przez Muzeum Włókiennictwa w Łodzi.

Uroczyste otwarcie wernisażu, z udziałem ministra edukacji publicznej i kultury Meksyku Miguela Gonzaleza, ujęto transmitowane przez meksykańską telewizję.

W MOSKWIE — gdzie mieszka ok. 220 tys. Żydów — założono żydowskie Towarzystwo Kulturalne.

W ZSRR prowadzą też działalność dwa teatry żydowskie i ukazują się miesięcznik literacki w języku jidysz — „Sowietisz Hejmland”.

ZACHĘCAMY GORĄCO do obejrzenia w Muzeum Historii Sztuki w Łodzi, czynnego od 1 grudnia br. wystawy obrazów, akwarel i rysunków — jednego z najbardziej uświetnionych naszych plastyków — Jerzego Stajdu.

MIĘJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. LUDWIKA WARYŃSKIEGO W ŁODZI gościć będzie w dniach 7-9 bm. uczestników ogólnopolskiego sympozjum nt. upowszechniania czytelnictwa w bibliotekach zakładowych. Wyroznajającym się bibliotekarzom zakładowym oraz animatorom czytelnictwa wręczone zostaną nagrody.

ZAKOŃCZYŁ SIĘ ŁÓDZKI FESTIWAL ETIUD STUDENCKICH, na którym zaprezentowano etiudy studenckie zrealizowane w latach 1985-1987.

Specjalne jury, złożone z przedstawicieli łódzkich DKF, przyznało I nagrodę Andrzejowi Decowi za film „Jakub”, II — Mariuszowi Grzegorkowi za film „Krakut” i III nagrodę Ewie Walewskiej za film „Wózek”.

Wręcono również nagrodę Polskiej Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych „Don Kichot”. Otrzymała ją obchodząca 40-lecie „PWSFTvT” im. Leona Schillera w Łodzi — w uznaniu wybitnych zasług dla rozwoju młodego polskiego kina.

KOLEJNYM LAUREATEM WARSZAWSKIEJ PREMIERY LITERACKIEJ został Witold Zalewski. Nagrodzone jego książkę pt. „Wystanek” (Wydawnictwo Literackie).

MISS MOSKWA, 17-letnia Masza Kalinina, nawiązała współpracę z firmą wydawniczą „Burda Modern”. Jej zdjęcia często pojawiają się w zachodnich pismach.

Niedawno Masza Kalinina brała udział w konkursie piękności w Timorodzie (RPN), gdzie była najmłodszą uczestniczką. Zajęła tam drugie miejsce — uzyskując tytuł „Księżniczki mody”.

Z OKAZJI 75-LECIA URODZIN ZNANEJ PISARKI WANDY KARCZEWSKIEJ, minister kultury i sztuki, Aleksander Krawczuk, przesłał Szanownej Jubilatce list gratulacyjny. Łączymy gratulacje i najserdeczniejsze życzenia od naszej redakcji.

DUŻE ZAINTERESOWANIE WZBUDZIŁO, zorganizowane 2 bm., przez ŁK SD w ramach obchodów 70-lecia, odyskowania niepodległości spotkanie z poczytnym literatem i dziennikarzem — Cezarym Leżniskim.

Mówił on o życiu i działalności marszałka Edwarda Rydza-Smigłego, przytaczając wiele nowych informacji, które zebrał w trakcie przygotowywania literackiej biografii naczelnego wodza z 1939 r. ukazał się ora nakładem Wydawnictwa Lubelskiego — zaś fragmenty jej mogli już poznać czytelnicy z naszych łamów.

Interesująca dyskusja, o tak bardzo kontrowersyjnej postaci jaką stanowił Edward Rydz-Smigły — przeciągnęła się do późnych godzin wieczornych.

Opracował: JAK

tem każdego dowódcy większej ilości wojska; przy jego zdolnościach musiałby bardzo dużo pracować w dziedzinie operacyjnej, by czuć się w niej pewniejszym siebie. Charakter niezbyt silny, łatwo mu stracić wiarę w siebie przy niepowodzeniach i niesukcesach. Wtedy przedkładałby się o siebie odpowiedzialność na wszelkiego rodzaju rady wojskowe. Odrzucał umiejętność obcowania z ludźmi; nawet ulegając wpływowi, nie ztracał siebie. Dla podwładnych zbyt wzdorny. Dla podtrzymania braku charakteru wymagał otoczenia, z którym by żył osobliście dobrze, i które by wytworzało atmosferę ciepła i pociechy w niepowodzeniach. Człowiek o niezmiernych zdolnościach do pracy bez zmęczenia fizycznego.

Pod względem objętości dowodzenia.

Kandydat - mój na komendanta armii. Braki pod względem operacyjnym opamiętały się przy jego zdolnościach i przy daniu mu szefa sztabu, przeprowadzającego już pod względem operacyjnym. Dotychczasowa jego praca (kilkuletni minister spraw wojskowych) przyzwyczaiła go do mierzenia sił państwa w najrozmaitszych wyścigach i do oceniania zjawisk o charakterze nie ściśle militarnym; pod tym względem rzadki wyjątek wśród generałów polskich. Wobec ważności tego czynnika dla Naczelnego Wodza, przy innym Naczelnym Wodzu ja niżej podpisany, jedynie dotąd kandydat na stanowisko szefa sztabu Naczelnego Wodza. Przy bardzo wielkiej poprzedniej pracy pod względem operacyjnym jeden z moich kandydatów na Naczelnego Wodza.

Uwaga: Wewnętrznie bardzo zdyscyplinowany, lecz nadczuły na ukłucia i przykrości moralne. Należy to zawsze uważyć i być ostrożnym, by mu nie niszczyć sił potrzebnych dla podtrzymania jego charakteru w pracy dowodzenia. Zachowanie się takie nie szkodzi przełożonemu, gdyż jest lojalnym i w czasie wojny przeżył wielką cnotą żołnierską - dyscypliną.

Wśród 95 generałów, którym wówczas Piłsudski wystawił opinię, jedynie tych dwóch zostało wymienionych jako kandydatów na Naczelnego Wodza. Nawet Władysław Sikorski zasłużył sobie tylko na rekomendację na szefa sztabu naczelnego wodza lub ministra spraw wojskowych w czasie wojny. Wszystkie charakterystyki były oczywiście poufne, i znajdowały się w zamkniętej kopercie opatrzonej napisem: „Otworzyć kopertę ma prawo Prezydent Rzeczypospolitej za każdorazową zgodą J. Piłsudskiego, a w razie jego śmierci sam prezydent lub za zgodą prezydenta generał mianowany Wodzem Naczelnym na czas wojny”.

Pod datą 11.06.1923 roku i podpis J. Piłsudski i S. Wojciechowski. Nie ma śladu, by kopertę otwierał prezydent Mościcki. Zawartość jej znał jedynie major Aleksander Prystor, szef Oddziału V A Biura Szefstwa Rady Wojennej, w 1935 marszałek senatu.

Ponieważ szerszy ogół nie znał tych charakterystyk, nie dziwnego, że i spekulacje, jakie snuto w kraju oraz w sferach wojskowych i politycznych, mogły być mylące. Nawet Januariusz Grzędziński, oficer liniowy Legionów z pułku czwartaków, były adiutant komendanta, w owym czasie dowódca pułku również nie był zorientowany, skoro po wojnie odnotował taką opinię o Smigłym:

„Jego stosunki z Belwederem w końcowej fazie życia Piłsudskiego nie były najlepsze. Był już przeniesiony z Wilna do Warszawy jako inspektor armii, ale rzadko był osobście używany, a sam się nie narzucał. Wiadomości o wizycie Rydza w Belwederze, gdy się to zdarzyło, przez kilka dni zajmowała uwagę bywalców; obrotowa w komendaturze, uzupełniała się nowymi szczegółami, była sensacją dnia. Dociekano, jak to rozumieć, zwłaszcza, że nikt nie wiedział na pewno, o czym tam mówiono, ale sam fakt, że Rydza zaproszono do pałacu w Belwederze, gdzie mieszkał prezydent prywatnie Piłsudski, a nie do GISZ w dawnej Szkole Podchorążych (dziś gmach Urzędu Rady Ministrów) w Al. Ujazdowskich, świadczy, że wizyta była towarzyską, legionową, przyjacielską, a nie zimnowarunkową. A potem znowu długo nie było słyhać o kon-

taktach Rydza z Marszałkiem. Łamano sobie głowę, czy chmurę się zagęściły między nimi, czy też się rozwiąły, wrócono do guzików, czy Smigły powrócił do łaski, czy nie. Jedni sobie tego życzyli, inni się tego bali”.

Januariusz wątpił więc, czy Rydz zajmie fotel Generalnego Inspektora. Nie był pewien, ponieważ patrzył z wąskiej perspektywy niezbyt posłusznego dowódcy pułku. Inni, stojący wyżej nie wahali się. Ale pewności miał jeden jedyny, od którego zależała decyzja - prezydent Mościcki. Jeszcze przed śmiertelną chorobą marszałka w 1932 roku, podczas jednej z wizyt w Belwederze, w trakcie rozmowy na tematy państwowe, Piłsudski na pozór bez związku, ale z naciskiem powiedział do niego:

— Gdyby mnie zabrakło, to chciałbym, aby wojsko objął Smigły.

O tej decyzji już w 1933 roku wiedziała także żona, Aleksandra Piłsudska. Nigdy więcej w rozmowie z Mościckim komendant nie wrócił do tej kwestii, ale prezydent uznał, iż wolała ta, choć nie wyrażona na piśmie, była wiążąca. Sprawa nominacji została więc przesądzona na długo przed chorobą marszałka. Tym bardziej, że dla Mościckiego Rydz, trzymający z dala od polityki, nie stanowił zagrożenia, a Sosnkowski, rozgorączczony intelektualista w mundurze generała, mógł być niebezpieczny.

Jednak nie wszystko wyglądało tak jednoznacznie. Przywołałmy tu także wspomnienia na ten temat Wacława Jędrzejewicza:

— „Rok 1934 przyniósł dalsze nasilenie się troski marszałka o swego następcę w wojsku. W rozmowie z wiceministrem Szembekiem nagle wybuchnął z rozpaczą: „I komu, jak umrę, mam pozostawić tę armię polską? Wśród moich generałów nie widzę nikogo”. To samo w parę miesięcy potem powiedział premierowi Januszowi Jędrzejewiczowi. Kiedyś w tym czasie na odprawie w Inspektoracie marszałek potraktował generała Smigłego w sposób niesłychanie przykry i to w obecności paru innych generałów. Sprawa następstwa w armii nie została rozwiązana przez Piłsudskiego, zadawała ją, i to było największą tragedią w ostatnich latach życia.

Raport generałów, w którym poza Smigłym brali udział Berbecki, Rybak i Sosnkowski, miał miejsce w sali konferencyjnej mieszkania Piłsudskiego w GISZ na wiosnę 1934. Marszałek zrugął Smigłego i według Sosnkowskiego stwierdził, iż widzi w tym gronie tylko dwóch generałów zdolnych do dowodzenia: właśnie jego i Rybaka.

Tymczasem marzec dobiega końca i zaczyna się kwiecień. Stan zdrowia Piłsudskiego pogarsza się. Marszałek, który jest chory już od zimy 1934, od samego początku nie przyznaje się, iż cierpi. Nie skarży się nawet przed najbliższymi, a przed obcymi udaje, że mu nic nie dolega. Choroba jednak pogłębia się i nie sposób jej ukryć. Adiutant, oficer i pisarz, Mieczysław Lepecki widzi, że nieuchronnie zbliża się koniec:

„Ruch sprawiał mu takie trudności — odnotuje w wiele lat później — że aby mu ulżyć, sprowadziliśmy do mieszkania w GISZ inwalidzką wózek. Prawie nie miał siły, był bardzo wyczerpany i niekiedy zupełnie obojętny dla świata. Zdarzały się jednak w tym stanie przerwy, w czasie których miewał okresy podniecenia...”

Tymczasem zbliżał się nieuchronnie koniec czyniąc coraz bardziej aktualną sprawę sukcesyjną, zgodnej z wolą marszałka. Wielkanoc rodzina Piłsudskich miała spędzić w Sulejówku, jednakże Komendant był za słaby na wyjazd poza Warszawę. Całe święta przesiedział w fotelu na werandzie kładąc pasjanse i karmiąc gołębie. Z dnia na dzień czuł się gorzej. I choć nie mówił o swych cierpieniach, było to wyraźnie widoczne.

Pani Aleksandra Piłsudska zaniepokojona coraz wyraźniejszymi objawami narastającej choroby zażądała zwolnienia konsylium z udziałem jakiegoś z znanych specjalistów zagranicznych. Sprowadzono z Wiednia doktora profesora Weckenbacha. Z jego udziałem zwolniono konsylium, w którym wzięli udział lekarze polscy. Z początku marszałek nie chciał się zgodzić na badanie. Dopiero po wielu prośbach i naleganiach uległ. Orzeczenie było zgodne i nie pozostawiało wąt-

pliwości — rak wątroby i żółtaczka.

Samemu Piłsudskiemu nie powiadomiono o diagnozie utrzymując, że wkrótce wróci do zdrowia i odzyska siły. O śmiertelnej chorobie nie wiedział także żona. Lekarze w tajemniczyli w swe orzeczenie jedynie prezydenta Mościckiego, premiera Walerego Sławka i generała Sławoja-Składkowskiego.

Aleksandra Piłsudska tak później opisał ostatnie chwile marszałka:

„W piątek na dwa dni przed Jego śmiercią, przyjechał do Warszawy francuski minister spraw zagranicznych Laval. Mąż nie mógł go przyjąć. Wyjechał jednak raportu Becka o konferencji z Lavalem i o mówili z nim sytuację. Pracowali razem przez godzinę i Beck był wesołym, widząc męża w tak dobrym stanie. Następnego ranka mąż śmiał się i żartował z gen. Wieniawą-Długoszkowskim. W ciągu dnia przyszedł ciężki krwotok wewnętrzny, po którym już się nie odzyskał. W niedzielę wieczór

siedzenie Rady Gabinetowej. Rada Ministrów uchwaliła ogłoszenie żałoby narodowej. Minister spraw wewnętrznych zarządził zawieszenie wszelkich widowisk.

po posiedzeniu pan premier Sławek udał się na Zamek, gdzie został przyjęty przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej na dłuższej audyencji.

O godz. 12 w nocy, po posiedzeniu Rady Gabinetowej, cały Rząd z premierem Sławkiem na czele, udał się do Belwederu, by złożyć hołd zmarłemu Marszałkowi Piłsudskiemu.

O godz. 12.15 w nocy Pan Prezydent Rzeczypospolitej udał się do Belwederu, aby złożyć hołd zmarłemu Marszałkowi Piłsudskiemu”.

Wtedy już nad łóżkiem zmarłego wisiał portret Rydza Smigłego, choć zwykle w tym miejscu w GISZ była fotografia matki marszałka i wisiała jeszcze 4 maja. Generał Składkowski i Ruppert zameldowali Mościckiemu, że portret zawieszono przed zgonem Piłsudskiego na jego wyraźne życzenie. Prystor, Sławek, Schaetzel i Kościakowski stwierdzają póź-

Laskowski przystępują do balsamowania ciała. Ciało pierwszego Marszałka Polski ma być zachowane dla potomności. W parę lat później, w jakże innych warunkach podobnie postąpił się z ciałem jego następcy.

Obecnie nadgorliwcy, zapewne ci sami, którzy zawiesili portret Smigłego starają się doniesieniami prasowymi tworzyć dalszy ciąg przesadnej i niezbyt potrzebnej legendy najbliższego współpracownika, nieomal przyjaciela Piłsudskiego. W dniu 16 maja ukazała się w prasie notatka pod tytułem: „Walka żelaznego organizmu ze śmiercią”. Można w niej między innymi przeczytać, że:

„W piątek, dn. 10 bm. gdy min. Laval stanął na ziemi polskiej nastąpiło gwałtowne pogorszenie. Kpt. Bajan po raz wtóry przywiózł z Wiednia samolotem prof. Weckenbacha, który stwierdził stan bardzo poważny. Mimo to jeszcze w piątek wieczorem, po pierwszej naradzie z francuskim ministrem, min. Beck przyjęty był na dłuższej konferencji przez P. Marszałka, a w sobotę Dostojny Chory długo rozmawiał z gen. Rydzem-Smigłym. W sobotę późnym wieczorem nastąpił krwotok z żółtaczki. Wtedy dopiero stało się jasne, że Komendantowi nie pozostało więcej niż dzień lub dwa życia. Wezwano księdza Kornilowicza. Nad wieczorem Marszałek zaczął tracić przytomność, odzyskał ją po godzinie 20, spojrzał po obecnych (oprócz rodziny obecni byli: gen. Rydz-Smigły, gen. Wieniawą-Długoszkowski i gen. Sławoj-Składkowski) skinął ręką, westchnął dwukrotnie głęboko i — zamknął oczy na zawsze.

Do ostatnich więc chwil życia Wódz interesował się sprawami państwa. Już min. Edena przyjmował będąc poważnie chory, a z min. Lavalem przynajmniej odbył dłuższą naradę bez świadków. Niestety zabrakło mu już sił.

Szczególną uwagę przywiązuje się do kilkakrotnych narad, jakie odbył w ostatnich dniach przed śmiercią p. Marszałek z gen. Rydzem-Smigłym. Jak wiadomo, p. Marszałek sam wyznaczył gen. Rydza-Smigłego swym następcą w Generalnym Inspektoracie. Gen. Rydz-Smigły mianowany ma być wkrótce generałem broni”.

A po Warszawie i po całym kraju chodzą coraz to intensywniejsze plotki o testamentie Piłsudskiego, który został ukryty, by nie ujawniać, że ostatnia wola zmarłego była zupełnie inna. Jak są one prawdziwe i natrętne może najlepiej świadczyć informacja prasowa będąca pośrednim dementem.

„Do szeregu zmyślonych wiadomości, które obiegły prasę zagraniczną w ciągu ostatnich doby: jak zamach na kancelarię Hitlera, rzekomy „angły wyjazd Goeringa z Krasnawą itd., zaliczyć należy również ogłoszony wczoraj przez „Paris Soir” rzekomy tekst testamentu politycznego Marszałka Piłsudskiego. Wiadomość tę opublikowała nikomu nieznaną agencja „Mound-press”.

Ludzie bywali w świecie wiedzieli przecież, że „Paris Soir” słynie z różnych kasek dziennikarskich i rewelacji wymyślonych za biurkiem redakcyjnym, dlatego też tego rodzaju dementi powinno było uspokoić opinię publiczną. Czy rzeczywiście? Chyba nie. Pogłoski o skradzionym czy zniszczonym testamentie przetrwały wiele lat i burz dziejowych skoro adiutant marszałka kapitan Lepecki jeszcze w roku 1962 zmuszony był dementować:

„W rzeczywistości Piłsudski posiadał do przechowywania osobistych, tajnych papierów żelazną kasetkę, do której klucze nosił zawsze przy sobie lub trzymał je na nocnym stoliku przy łóżku. Po jego śmierci (12 maja 1935) specjalna komisja, której byłem jednym z trzech członków, zrobiła spis jej zawartości. Z dokumentów publicznego znaczenia znajdowały się w niej dwa: pierwszy z kwietnia 1933 roku, kontrasygnowany przez prezydenta Ignacego Mościckiego miał na głoskę „Na wypadek wojny z Niemcami”, a drugi również odrębny, bez tytułu, zawierający wskazówki co do pogrzebu, napisu na nagrobku i sprowadzenia zwłok matki z miejscowości Suginty na Litwie do Wilna etc.

Kasetkę wraz z zawartością komisja wręczyła Waleremu Sławkowi, który wkrótce potem wezwał mnie do siebie, do Urzędu Prezydium Rady Ministrów, i oświadczył, że przekazał ją pani Aleksandrze Piłsudskiej”.

Jedyny tekst dotyczący pogrzebu — mógłby być uznany jako ostatnia wola marszałka w sprawach osobistych — był bez daty i napisany chwiejną ręką, zapewne już w czasie choroby, w łóżku, brak też znaków przestankowych:

„Na wypadek mojej śmierci. Nie wiem czy zechcą mnie pochować na Wawelu. Niech! Niech tylko serce wtedy zamknięte schowają w Wilnie gdzie leżą moi żołnierze co w kwietniu 1919 roku mnie jako wodził Wilno jako prezent pod nogi.

Na kamieniu czy nagrobku wyrzeźbione wybrane przeze mnie dla życia

Gdy mogąc wybrać, wybrał ziamast domu
Gniazdo na skałach orla,
Spać, gdy żrenice czerwone od gromu
I słyhać jęk szatanów w sosen zadumie

Tak żyłem.

A zaklinam wszystkich co mnie kochali sprowadzić zwłoki mojej matki z Suginty Wilkomirskiego powiatu do Wilna i pochować matkę największego rycerza Polski nade mną. Niech dumne serce u stóp dumnej matki spoczywa. Matkę pochować z wojskowymi honorami ciało na lawecie i niech wszystkie armaty zagrzmią salwą pożegnalną i powitalną tak by szyby w Wilnie się trzęsły Matka mnie do tej roli jaka mnie wypadła chowała. Na kamieniu czy nagrobku Mamę wyrzeźb wiersz z „Wacława” Słowackiego zaczynający się od słów
Dumni nieśczęściem nie mogą
Przed śmiercią Mama mi ka-
zała to po kilka razy dla niej czytać”.

W 1940 roku Miedziński rozmawiał z Romeyką, który odnotował jego wypowiedź.

— „W związku z osobą marsz. Smigłego Miedziński długo i bardzo ciekawie wypowiedział się na temat ról „testamentów” Piłsudskiego. M.in. oświadczył mi, sprawę tzw. „dziedzictwa”. Kładł szczególny nacisk na metody pracy Piłsudskiego, na jego konspiracyjne nastawienie nawet w życiu codziennym; podkreślał, że reza o pozostawieniu jakiegokolwiek listu czy pisanego testamentu Piłsudskiego jest bezwzględnie klamstwem i fałszem.

„Wyjaśnił mi legendę wyznaczenia Smigłego następcą marszałka, co miało być rzekomo „ostatnią wolą” umierającego. „Ojcostwo” tej legendy przypisać należy w dużym stopniu gen. dr Ruppertowi, który do ostatniej chwili prześadywał przy łóżu umierającego.

Po Piłsudskim miał objąć schedę Sosnkowski, lecz był on niewygodny pewnym sferom legionowym, otoczenie należało do zaurzędowało”.

Nie było więc testamentu — nie było też spisanej ostatniej woli co do objęcia przez Smigłego wojska. Jednakże wszystko zdawało się przemawiać za tym, że Rydz był dla wielu ludzi najlepszym kandydatem na Generalnego Inspektora. Odpowiadał także w większości obozowi legionowemu i wojsku. A w każdym razie nie budził tych obaw co Sosnkowski, który partię tę przegrał. W czasie zamachu majowego w 1926 r. swym nieudanym samobójstwem, wynikającym z braku twardości — nie zdecydował o powołaniu się za Piłsudskim czy za rządem i prezydentem Wojciechowskim. Smigły w przeciwieństwie do Sosnkowskiego mającego ambicje polityka i intelektualisty miał stać się tylko generalnym inspektorem zajmującym się wyłącznie wojskiem, jego rozwojem i przygotowywaniem do wojny. Zgodnie z tezą Piłsudskiego nie wolno mu było wtrącać się do spraw politycznych. Wszyscy zainteresowani, a szczególnie Mościcki, wierzyli, że generał uszanuje wolę zmarłego.

Najbliższy rok miał okazać jakie ambicje będą przyswiecać działalności nowego Generalnego Inspektora.

CEZARY
LEŻEŃSKI

Prezentowany tekst jest fragmentem książki pt. „Kwarta 1339”. Jest to opowieść biograficzna o Edwardzie Rydzu-Smigłym, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

Testament Komendanta



12 maja o godz. 8.34 zakończył życie bez cierpienia”.

Choć wiadomość o nagłym pogorszeniu zdrowia marszałka nie wyszła poza Belweder i Zamek to jednak dotarła niewiadomymi kanałami do wschodnich dziennikarzy. Późnym wieczorem tej nocy kierownik warszawskiego oddziału Ilustrowanego Kuriera Codziennego, znany w kraju reportażysta Konrad Wrzós wracając ulicą Wierzbowa do domu spostrzegł przed pałacem Bruhla, siedzibą Ministerstwa Spraw Zagranicznych, znaną mu limuzynę ministra Becka. Od razu połączył się telefonicznie z redakcją. Słuchawką podniósł redaktor Bohdan Skąpski.

Niech pan natychmiast jedzie pod Belweder — powiedział Wrzós. — Wydaje się, że Piłsudski umarł.

Dziennikarz miał prawdziwie reporterskie noś. Godzinę później ogłoszono urzędową informację o śmierci: „Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski zmarł w dniu 12 maja o godz. 20 min. 45 w Pałacu Belwiderskim w Warszawie.”

Ostatniego namaszczenia o leżącym świętym udzielił ks. Władysław Kornilowicz.

Cierpienie Marszałka Piłsudskiego rozwijało się od kilku miesięcy. Wezwany z Wiednia profesor Weckenbach oraz dr Antoni Stefanowski rozpoznali raka żółtaczki i wątroby. Stałą opiekę lekarską wykonywali pod kierownictwem gen. dr Stanisława Rupperta — ppłk. dr Stefan Mozolowski, mjr dr Henryk Cianciara i mjr dr Felician Tucanowicz. Gwałtowne pogorszenie nastąpiło w dniu 11 maja w postaci silnego krwotoku żółtaczkowego, który spowodował osłabienie serca a następnie zgon.

Na wieść o zgonie Marszałka Piłsudskiego odbyło się po-

czarna chorągiew, wartę honorową pełnią zwoleńcy 1 pułku Marszałka Piłsudskiego, przechołone uchyliły nakryć głowy. Od samego rana 13 maja, doktor major Kaliciński i docent doktor



„Szkoła mistrzów”, czyli PWSFTViT w Łodzi



Prof. Colin Young



Prof. Beata Sauerova



Prof. Henryk Kluba — rektor PWSFTViT w Łodzi w towarzystwie Bolesława Parzyjagły

Ludzie filmu

W obiektywie
GRZEGORZA GALASIŃSKIEGO



Prof. Borys Punczew



Prof. Lengsfeld — rektor Szkoły Prof. Aleksander Nowikow Filmowej w Monachium



Uroczyste posiedzenie Senatu PWSFTViT z okazji 40-lecia powstania szkoły



Aleksander Borodianski — scenarzysta ZSRR

Na uroczystości 40-lecia PWSFTViT przybyło do Łodzi wielu wybitnych gości ze świata filmu, wśród nich liczni absolwenci łódzkiej uczelni filmowej. W sympozjum nt. „Scenariusz — zjawisko sztuki i rzemiosła” (skład pochodzi z zdjęcia) udział wzięli m.in. prof. Colin Young — prezydent CILECT; prof. B. Sauerova — prorektor Szkoły Filmowej w CSRS; prof. B. Punczew — prorektor Szkoły Filmowej w Sofii, absolwent łódzkiej uczel-

ni; prof. A. Nowikow — rektor WGIF w Moskwie; prof. W. Lengsfeld — rektor Szkoły Filmowej w Monachium; prof. A. Zuckerman — rektor Szkoły Filmowej z Izraela; H. Chmura — prof. Szkoły Filmowej w Babelsburgu (NRD); prof. W. Ikonow — absolwent łódzkiej uczelni oraz wielu wybitnych twórców z kraju i z zagranicy.

M.Z.



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

8 grudnia — RYSZARD BINKOWSKI — godzina 10—15.

SPRAWOZDANIE Z DYŻURU Z DNIA 1 GRUDNIA 1988 R.

Takie dyżury to ja lubię!!! Telefon dzwoni bez przerwy, nie było ani jednego sygnału w sprawie przeciekającego naczynu, natomiast wszyscy benończyci przedstawił się z imienia i nazwiskiem: „Przeć z anonimowością”. Długo był na każdym szczelnie przez minione 40 lat... — zauważyli barzo trafnie któryś z telefonujących panów. Zapewne też pod wpływem telewizyjnego spotkania waleśa — Młodowicz przeważała tematyka ekonomiczno-rozruchowa.

Pan Jan Bartczak zbliżeniowa-ny jest wydziałem związanym z sesją Rady Narodowej, opisanym przez kol. Bogdę Madęj. — To karygodne — usłyszałem — by tak zachowywali się radni; ci „kryształowi”, którzy listę przedstawiano nam do wyboru... Czytelnik ubolewał również nad brudem widocznym w miescie nawet spod dyskretnych warstwy sniegu, opowiadał o pojemnikach pełnych smieci na autobusowych i tramwajowych przystankach, wybitych szybach w wiatrach tamże. Znowu nie ma ludzi do roboty? A może dajmy zarobić przy porządkowaniu miasta studentom? — sugerował.

Pan Edward Kutela znowu chwalił kol. Bogdę (sic!). Twierdził też, że za mało widać wniosków, bezkompromisowych, krytycznych materiałów — dotyczących Łodzi i najbliższych okolic. Słusznie też proponuje, by nie tylko pisać „biurokracją”, „urzędniczą działalnością”, ale konkretnie informować gdzie, kiedy, KTO. Mniej ogólników, choćby najbardziej krytycznych, więcej — nazwisk i szczegółów. Podpisuję się pod tym obywatelską ręką...

Pani Teresa Benke, łódzianka choć zamieszkała w Łasku, opowiedziała mi z konieczności w ogromnym skrócie historię swej pracy zawodowej w łódzkim przemyśle. Praca przebiegała pomyślnie do tego stopnia, że pani Teresa wyjechała „za chlebem” do Australii, na prawie siedem lat. Wrocila, zamieszkała w Łasku, później odeszła się choroba wien-cowa, a jeszcze później zaczęła korespondencja z ZUS. Czytelniczka kwituje to jednym zdaniem: — U nas nie liczy się człowiek, liczą się przepisy, papiery, stem-pelki...

Pan Tadeusz Ignaczak od września poszukuje bezskutecznie potrzebnej dla syna „Historii do Zasadniczej Szkoły Zawodowej” i „Technologii robót malarskich”. Książki, obowiązujące, są prawdziwym rarytasem, panie w księgarniach tylko wrzeszczą ramionami, nie mogą nic pomóc. A może ktoś z Czytelników posiada niepotrzebne wspomniane egzemplarze „Historii” i „Technologii”? Pan Ignaczak czeka pod telefonem — 36-39 44.

— Zaskarżyłbym do sądu, tylko nie ma kogo!!!... — zaczął swą opowieść pan Mieczysław Klimiec-ki — Ja jestem naiwny, jak dziecko, bo uwierzyłem w te opowiadane i reklamowane w telewizji bzdury z cyklu „Złotych w PKO”, „Złotych do złota...”. Tu pan

Mieczysław zdradził kilka ciekawych faktów: jak to wpłacił 8 lat temu na książeczkę 380 tysięcy złotych swych oszczędności, a dziś ma ich „za” 500 tysięcy!!! — Dziś to przecież śmieszna kwota biorąc pod uwagę ceny i inflację — mówił rozczulony — a ja naiwny, nie kupiłem ani dolarów ani złotych, tylko trzymałem te papiery w PKO. No i zostałem oszukany!!! Zakoczył swą ze mną rozmowę też oryginalnie: — I przestajmy kompromitować i krytykować te opozycje; całe szczęście, że ona jest! Toż to przysłowiowa sól i pieprz polityki i ekonomii w każdym normalnym kraju. Może nie byłoby miliardowych strat i długów, gdyby właśnie opozycja działała wcześniej...

A teraz UWAGA! Do wszystkich zamieszkujących lokale własnościowe! Zatelefonował Czytelnik, który sam dowiedział się począł pantofołową, iż administracja rozlicza zbyt wysokie, omyłkowo naliczone lokatorom opłaty administracyjne. Rozliczają — tym tylko, którzy o tym wiedzą, ze stosownym pismem wystąpią do PGM, no i przy sprawie „będą chodzili”. Pleniedzy fizycznie nie zwroca, ale wkalkulują w następne opłaty. — Lokatorów niestety przeprosi — Czytelnik wyraźnie „zna życie” w PRL — ale niech pan o tym napisze; nikt ich też nie zawiadomi!!! A to z pewnością kilkadziesiąt tysięcy lokatorów w Łodzi... No więc ja Was Czytelnicy „zawładamiam”!

Pan Jan Muras dowiedział się w „Polnozbycie”, iż na swojego wymarzonego FSO-1500 musi jeszcze długo poczekać, bo od czerwca do końca 1988 roku tych pojazdów nie ma, nie wydaje się, a tu wszyscy „trąbią” o podwyżkach! Zasięgnąłem informacji u tak zwanego źródła: rzeczywiście tytuze FSO od czerwca łódzki „Polnozbycy” otrzymał niewielkie ilości, te zaś były przeznaczone na realizację asygnał oraz tak zwanego eksportu wewnętrznego. Podwyżki pan Jan ponoć ma się nie obawiać, bowiem ma zagwarantowaną cenę końca 1987 roku. A firma dołoży starań, by w najbliższym czasie...

Pan Zbigniew Bilczyński narzekał na brak gazu w posesji przy ulicy Wolczńskiej 27. Od lutego 1987 roku. Wymianie instalacji zakończono, nie ma jedynie jak powiada — głównego podłączenia, które powinno znajdować się na zewnątrz budynku. Sugeruje by mimo to podłączyć dom do sieci. Nie wiem, z gazem żartów nie ma, uciążliwa modernizacja niewątpliwie trwa długo, poczekajmy na opinie w tej sprawie samych gazowników...

Z panią B.M. (anonimowość uzasadniona) ucieliśmy sobie ciekawą pogawędkę na temat stalinizmu, jego resztek, ludzi, którzy wówczas byli postrachem, dziś — też nieźle funkcjonują. I znowu powtórzył się sygnał: — Piszę jak najwięcej o latach 50. w Łodzi, o ludziach, o których dzisiejsze młode pokolenie nie wie, a powinno...“.

Pani Janina Smolińska została sympatycznie zaskoczona przez kierowniczkę laboratorium analiz lekarskich mieszczącego się w przychodni ZOZ przy ulicy Batalionów Chłopskich, która, widząc niezbyt dobre wyniki naszej Czytelniczki, zaordynowała bez niczyjej zachęty (ani pisma, stempek, Ważnego Telefonu Rd.) ponowne wykonanie analizy wyników. Pani Janina jest mile zaskoczona. My też...

Pan Stanisław Janiszewski wzruszył się słuchając radiowej wypowiedzi Głównego Komisarza Spisowego. Wzruszył się pewnie wszyscy słuchacze — gdyż dowiedział się, że spis jest niezbędny dla zaplanowania właściwej ilości miejsc w żłobkach i przedszkolach w miastach, a we wsiach nie da się bez niego ustalić stosownych relacji w... skupie płodów rolnych. Ja myślę, że „Szpilki” oraz mój ukochany Lewy Margines w „Przeglądzie Tygodniowym” wychwycą te rarytasy. (Przy okazji telefonicznej rozmowy: dziękuję za pochwały dotyczące mojego materiału o walczyko-granicznych przygodach). Też uważam, że w roli rachmistrów mogłaby wystąpić młodzież innych klas niż maturalne akurat. A może emeryci, renciści, studenci chcieliby dorobić? Poza tym: — wrócić jeszcze do spraw przyznawanych Łodzi dziesięć rekrecyjnych...

Młody człowiek, który kilka dni temu nie został co prawda pobity, choć mu grożono, a jedynie otrzymał kopniaka od pana, który wysiadł z karetki przed jednym z bloków w osiedlu Nowe Chojny — podał swoje imię, nazwisko, podał dokładny adres. Młodzieńcom, którym zwrócił wówczas uwagę, iż wjechał samochodem w świeżo zasadzone krzewy, przypomniały numer rejestracyjny ich auta: LDA 1978. Gdyby chcieli przyjąć do młodego człowieka na przykład z przeprosinami — podamy resztę danych...

Pan Jan Wilczyński zzyma się nad „terminowością” dostaw prenumerowanych czasopism. Właśnie dostał dla syna „Młodego modelarza” z czerwca, a „Sezam” załaził, podał swoje imię, nazwisko, bo — wielkanocną Czytelnik sugeruje również, byśmy wzorem kolegów z „Expressu” zaczęli sprzedawać „Odgłosy” na ulicy, „Z rek”! Kto wie?!

Pan Zygmunt Tomczyk zaczął ostry: — Za Gierka jał podwyżka jakaś wynosiła 5 złotych — to był wielki szum! A teraz?! Plsz pan dokładnie: niedawno kupiłem mu-sztardę — kosztowała 85 zł. Dzisiaj poszedłem, a ona już kosztuje 105! W ubiegłym tygodniu kupiłem kilogram potraga, innych już nie było, zapłaciłem 950 złotych, dzisiaj idę, aż mnie zamuro-wało: 1150 już cena sto!!! Albo te bzdury co w „Dzienniku” o dwukrotnej zmianie ceny piwa powy-pisywali, żeby dziennikarz uwie-rył w takie bajki. A pan to na-pisziesz...? Pewnie że napiszę, nie wiem tylko czy pstrąg stanie...

I jeszcze miałem jeden telefon, kapitałny, dotyczący różnych weso-łych przypadków, jakie mają miej-sce w szacownym „zbowidzie”. Pi-szę tak enigmatycznie, bo wierzę, że wkrótce uda mi się „sprzedać” tę historię w szerszej nieco for-mie...

Dziękuję za wszystkie telefony, przepraszając, jeśli relacje z wie-lu rozmów są nieco skondensowa-ne. Wszystkim w imieniu swoim i kolegów dziękuję serdecznie za życzenia świąteczne i noworoczne.

DARIUSZ
DOROŻYŃSKI

Ze względu na specjalne wyda-nie świąteczne i noworoczne na-stępny dyżur naszego reportera dopiero w styczniu. Dokładny ter-min i nazwisko podamy w następ-nym numerze.

ZIMA 88/89



WCZASY, OBOZY
I WEEKENDY NARCIARSKIE
MSP „PRYZMAT”
Spółdzielcza Agencja Turystyczna

O F E R U J E

- wczasy ŚWIĄTECZNE w Bukowinie Tatr., Krynicy, Krośnienku, Karpaczu,
- wczasy w pozostałym okresie zimowym w Szczyrku, Rajczy, Istebnej, Kamesznicy, Wiśle, Rabce, Ochotnicy Dolnej i Górnej, Szczawie, Niedziedziu, Bukowinie Tatr., Zakopanem, Porębie Wlk.,
- „Dziecięcą Szkołę Narciarską” w Bukowinie Tatr., pod kierunkiem mistrza Polski instruktorów PZIN,
- weekendowe wyjazdy narciarskie autokarem w rejon Poręby Wlk.-Kominiek (nowy zespół narciarski „Tobolów”!!!).

Zapisy i sprzedaż w siedzibie Agencji, przy ul. Jaracza 9, tel. 32-63-79, codziennie w godz. 10—18.

SERDECZNIE ZAPRASZAMY!
3414/K

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

JĘZYK POLSKI W SZKOLE PODSTAWOWEJ NR 173 W ŁODZI

Chciałbym przedstawić kilka uwag do zamieszczonej w nr 46/1988 „Ogłosów” odpowiedzi mgr Tadeusza Szymańskiego na „anonimową prośbę w sprawie niewłaściwego nauczania języka polskiego w Szkole Podstawowej nr 173 w Łodzi”. (?) Jako mąż zainteresowanej czuję się do tego upoważniony, skoro jej osoba została pomówiona o czyny nie dokonane oraz o niedopełnienie cudzych obowiązków.

1. Mgr Tadeusz Szymański przedstawia w uprzednio wymienionej notatce wyliczenia dotyczące ilości dni opuszczonych przez żonę wliczając w to wolne soboty i niedziele. Ciekawe są wyniki tych obliczeń w odniesieniu do roku szkolnego 1985/86. Nie jest prawdopodobne, aby opuszczając 37 dni (łącznie z wolnymi sobotami i niedzielami) nauczycielka języka polskiego nie była obecna na 75 godzinach lekcyjnych w jednej tylko klasie IV.

2. 2 maja 1987 roku żona została poddana powtórnemu zabiegowi usunięcia płatów tarczycy zaatakowanych nowotworem. Od 21 marca 1987 r. do 16 sierpnia 1987 r. przebywała na zwolnieniu, w czasie którego: była przygotowywana do zabiegu, dokonano zabiegu, została poddana leczeniu szpitalnemu oraz leczeniu pozaszpitalnemu. Okres wakacyjny objęty zwolnieniem został przez mgr Tadeusza Szymańskiego sumiennie wliczony do liczby dni opuszczonych przez nauczycielkę w roku szkolnym. Z przebiegłym zabiegiem wiąże się większość zwolnień w roku szkolnym 1987/1988. Zainteresowanych, jakie niedomagania organizmu może spowodować zabieg (w dodatku powrotny) usunięcia płatów tarczycy, odsyłam do lekarza specjalisty lub specjalistycznej bibliografii. Dyrekcja szkoły została powiadomiona dużo wcześniej o konieczności poddania się zabiegowi. Na początku roku szkolnego 1987/1988 żona prosiła dyrektorkę o uwzględnienie jej stanu zdrowotnego podczas układania planu zajęć oraz przydziału klas, tak aby było możliwe zapewnienie fachowych zastępstw. Niestety, prośby żony nie uwzględniono.

3. Przyjmując zwolnienia, które trwają krócej niż 5 dni za zwolnienia krótkoterminowe, z obliczeń dokonanych na podstawie wpisów do książeczki zdrowia żony, wynika, że na ogólną liczbę 245 dni niezdolności do pracy w ciągu 3 lat, tylko 20 dni było objętych zwolnieniami krótkoterminowymi. Dlaczego więc mgr Tadeusz Szymański pisze: „nauczycielka destarowała krótkotrwałe zwolnienia”? Chyba, że przyjmujemy, iż ciągle zwolnienia trwające w sumie pół roku są krótkotrwałe. Lub też dalej: „często nie informując wcześniej o ewentualnym nieprzystąpieniu do pracy, co utrudniało zorganizowanie fachowego zastępstwa”. Nie jest chyba możliwe przewidzenie terminu niezdolności do pracy, więc w jaki sposób miała żona uprzedzić dyrektorkę?

4. Biorąc pod uwagę stan swojego zdrowia oraz sytuację, w jakiej znaleźli się uczniowie, żona poddała się w sierpniu 1988 roku dokładnym badaniom lekarskim. Ich wyniki dały podstawę do ubiegania się przez nią o płatny urlop dla poratowania zdrowia. Po złożeniu odpowiednich zaświadczeń żona tak urlop (a nie decyzją Komisji Lekarskiej o powstrzymaniu się od pracy — jak zasugerowano w notatce) uzyskała.

5. Bardzo często mówi się o tym, że praca zatrudnionych osób powinna być oceniana na podstawie jej efektów. Jeżeli żona miała taki lekceważący stosunek do swoich obowiązków, jak sugeruje mgr Tadeusz Szymański, to jak wyjaśnić fakt, że jako jedyna spośród 4 polonistek w szkole przygotowała właśnie z wymienionej w notatce klasy uczniów do konkursu „Moja Mama i jej praca” organizowanego przez Kuratorium Oświaty i Wychowania, w którym to konkursie w roku szkolnym 1986/1987 uczeń uzyskał wyróżnienie a w roku szkolnym 1987/1988 uczennica zdobyła nagrodę II stopnia?

6. Chciałbym pogratulować mgr Tadeuszowi Szymańskiemu wspólnego rozeznania w sprawach osobowych nauczycieli Szkoły Podstawowej nr 173 oraz wyrazić uznanie dla jego troski o pozyskanie dla szkolnictwa jak najlepszych pracowników. A swoją drogą — kim jest mgr Tadeusz Szymański? Zastanawiającym jest dla mnie fakt, że odpowiedź na anonim zamieszczoną w prasie nie konsultując tego z osobą zainteresowaną, wielokrotnie wymieniał jej nazwisko i dodatkowo podając fałszywe informacje. Wydaje mi się, że sprawdzenie rzetelności informacji należy do obowiązków zwierzchników, do których one docierają. W szczególności informacji zawartej w anonimach. Dotyczy to także dziennikarzy i redakcji, które przekazane informacje zamieszczają. Poza tym wszystkim, publiczne ogłoszenie nazwiska (nawet przestępcy) możliwe jest tylko po uzyskaniu zgody za interesowanego lub prokuratury czy sądu. W przeciwnym razie fakt taki daje podstawę do domniemania znieważenia lub obmowy osoby, której nazwisko jest ogłaszane. Być może redakcji „Ogłosów” to nie dotyczy?

A może anonim dotyczył zupełnie innej szkoły, innej klasy lub innej osoby — a słuszny jest jedynie podpis pod notatką? Przecież anonim znajduje się w gestii mgr Tadeusza Szymańskiego! Być może chodziło tylko o przekreślenie osiągnięć żony, skłócenie jej ze środowiskiem zawodowym, uniemożliwienie jakiegokolwiek kariery zawodowej i doprowadzenie jej do stanu permanentnej frustracji?

Proszę mgr Tadeusza Szymańskiego o publiczne wyjaśnienie powodów znieważenia mojej żony, a redakcję „Ogłosów” o umożliwienie wyżej wymienionej zadośćuczynienia mojej prośbie oraz o zamieszczenie niniejszego wyjaśnienia.

KRZYSZTOF PRZYBYSZEWSKI

Publikujemy — zgodnie z prośbą — list Krzysztofa Przybyszewskiego, chociaż zgodnie z art. 33 pkt. 2 „Prawa prasowego” może odmówić publikacji, ponieważ autorem listu jest osoba „której nie dotyczą fakty przytoczone w prostowanym materiale”. Pomijmy jednak względy formalne. Mgr Katarzyna Przybyszewska ma prawo do przedstawiania swoich racji i moim obowiązkiem jest jej to umożliwić.

Przy okazji można będzie wyjaśnić zasady, na jakich funkcjonuje kolumna: „Polemiki — Listy — Opinie” oraz sporządza się relacje z reporterskich dyżurów, gdyż zasady te — poprzez ich nieznajomość — budzą ciągle nieporozumienia.

Najpierw może okoliczności ukazania się listu mgr Tadeusza Szymańskiego.

1. Wielokrotnie wyjaśniałem, że w redakcji nie bierzemy pod uwagę anonimów, listów podpisywanych tylko samym nazwiskiem — często zmyślnym — i temu podobnych. Pierwszą naszą czynnością jest sprawdzenie, czy list ma wyraźnie podpisanego autora.

List ojca jednego z uczniów SP nr 137 w Łodzi był podpisany imieniem i nazwiskiem, ale z zaznaczeniem, że jest ono fałszywe. Z tego powodu nie ukazał się na naszych łamach. Był to wręcz odpis listu skierowanego do władz oświatowych. Ponieważ nie było innego sposobu powiadomienia autora listu o wynikach kontroli — nie wnikać w ich prawdziwość — zdecydowaliśmy się na publikację odpowiedzi mgr Tadeusza Szymańskiego. Takie były faktyczne okoliczności tej publikacji. Wszystko, co stara się sugerować Krzysztof Przybyszewski jest pozbawione jakiegokolwiek racji i są to tylko jego domysły. Ale sprawa jest o wiele bardziej złożona.

2. Inaczej wygląda sytuacja podczas dyżurów telefonicznych. Pierwszym naszym obowiązkiem o podawanie danych, które później okazują się niezbędne przy podejmowaniu interwencji. Nie wszyscy chcą z tego korzystać, a jak się kilka już razy przekonałem, niektórzy podają dane fałszywe.

Dyżur reporterski, relacja z tego dyżuru i funkcjonowanie kolumny: „Polemiki — Listy — Opinie” dokonuje się na za-

dzie wzajemnego zaufania. Staramy się tej zasady nie zawieść. Czytelnicy postępują jednak różnie i musimy być przygotowani na pewne ryzyko.

3. Przypominałem już kilkakrotnie, że art. 15 pkt. 2 „Prawa prasowego” zobowiązuje dziennikarza do „zachowania w tajemnicy: 1) danych umożliwiających identyfikację autora materiału prasowego, listu do redakcji lub innego materiału o tym samym charakterze, jak również innych osób udzielających informacji opublikowanych albo przeznaczonych do opublikowania, jeśli osoby te zastrzegły nieujawnianie powyższych danych, 2) wszelkich informacji, których ujawnienie mogłoby naruszyć chronione prawem interesy osób trzecich”. Ten obowiązek nałożony na dziennikarza „Prawem prasowym” stanowi jednocześnie gwarancję dla naszych Czytelników, że ich dane osobowe, jeśli je zastrzegą, nie mogą być ujawnione, gdyż inaczej stanowi to naruszenie prawa i podlega karze. Przestrzegamy tej zasady bardzo skrupulatnie.

Rozmowy telefoniczne podczas dyżurów reporterskich traktujemy jako „listy do redakcji”.

4. Zarówno kolumna: „Polemiki — Listy — Opinie”, jak i relacje z reporterskich dyżurów są traktowane na zasadzie „wolnej trybuny”. Intencją naszą jest udostępnienie Czytelnikom miejsca dla publikacji ich poglądów, uwag, zastrzeżeń, opinii. Jest to forma kontaktu z Czytelnikami. Opiera się ona na zasadzie wzajemnego zaufania. Redakcja nie jest ani w stanie, ani w obowiązku sprawdzać każdą informację zawartą w rozmowie telefonicznej z reporterem „Ogłosów”, bądź w liście do „Ogłosów”. Publikujemy je na odpowiedzialność ich autorów.

Rzeczy, jakie ponosimy, wydaje się mniejsze od pożytku, jaki pismo daje Czytelnikom dla wyrażenia ich poglądów i opinii.

5. Jak wygląda sprawa „publicznego ogłaszania nazwiska”? „Prawo prasowe” w art. 13 chroni osoby, „przeciw którym toczy się postępowanie przygotowawcze lub sądowe, jak również dane osobowe i wizerunki świadków”. Zanim nie zapadnie prawomocny wyrok, człowiek jest tylko podejrzanym o naruszenie prawa. W toku śledztwa, bądź w sądzie, może się okazać niewinny. Dlatego, zanim nie zapadnie prawomocny wyrok, nie należy ujawniać nazwiska podejrzanego, chyba że sąd lub prokurator postanowi inaczej.

Nie dotyczy to natomiast ludzi zajmujących się działalnością publiczną, osób znanych i tak dalej. Nauczanie w szkole jest przecież działalnością publiczną. Nazwisko nauczyciela znane jest uczniom i ich rodzicom, absolwentom szkoły i nauczycielom z innych szkół. Każda działalność publiczna — czy nam to się podoba czy nie — podlega publicznemu osądowi. Tak jest również w przypadku mgr Katarzyny Przybyszewskiej.

Działalność nauczyciela ma również znaczenie społeczne. I jako taka podlega społecznej krytyce. Jeśli w szkole jest zła organizacja pracy, chorują nauczyciele, są nieobecni w szkole, to cierpią na tym przede wszystkim i jedynie dzieci, to rodzice mają prawo do krytyki takiego stanu rzeczy. A nam — jako pismu — nie wolno przynymać na to oczu i udawać, że nic się nie dzieje.

Podjęcie publiczne krytyki nigdy nie odmawiamy krytykowanemu prawa do obrony, do przedstawienia jego racji. Poznając bowiem wszystkie racje można wyrobić sobie w miarę obiektywną opinię. Tak postąpiliśmy z listem Krzysztofa Przybyszewskiego. Jeśli mgr Tadeusz Szymański będzie chciał — jak to sugeruje Krzysztof Przybyszewski — wyjaśnić, skąd się wzięły błędy w wyliczeniu nieobecności w pracy mgr Katarzyny Przybyszewskiej, też nie odmówimy mu miejsca.

ŁUCJUSZ WŁODKOWSKI

JAK PRODUKUJE SIĘ FAŁSZYWYCH BOHATERÓW?

Radio „Wolna Europa” nadało 28 listopada 1988 roku w audycji „Panorama dnia — Magazyn aktualności” i powtórzyło 29 listopada 1988 roku następującą wiadomość z Łodzi — przekazaną przez Jana Minkiewicza z Amsterdamu:

„Marek Błaszowski, tegoroczny absolwent UŁ, członek Komitetu Założycielskiego NZS, współpracownik tygodnika „Ogłosy”, został zmuszony przez red. Łucjusza Włodkowskiego do rezygnacji ze współpracy.”

Powodem był artykuł o NZS zamieszczony w nr z 20 listopada oraz złożony do druku artykuł o polskiej energetyce jądrowej. Redaktor „Ogłosów” uznał, że poglądy Marka Błaszowskiego są zbyt ekstremistyczne i nie pasują do oficjalnej gazety.”

W związku z tym MAREK BŁASZKOWSKI złożył następujące oświadczenie:

„Oświadczam, że informacja podana przez Radio „Wolna Europa” 28 listopada 1988 roku, jakoby został przez redaktora Łucjusza Włodkowskiego zmuszony do rezygnacji ze współpracy z „Ogłosami”, jest fałszywa. Fakt taki nie miał miejsca. Powodem takiego „zmuszenia” nie mógł być oczywiście artykuł o Niezależnym Zrzeszeniu Studentów. Artykuł ten napisałem na zlecenie redaktora naczelnego i został on wydrukowany w numerze 47 „Ogłosów”. Także fakt, że młodemu dziennikarzowi poleca się poprawić złożony tekst nie może być odczytany jako represja. Artykuł o polskiej energetyce jądrowej polecono mi uzupełnić o opinie ministra ochrony środowiska, ponieważ informacje zebrane dotąd dawały niepełny obraz. Nikt też jednak nie mówił że opinia Komitetu Obywatelskiego „Czuwanie” nie będzie wydrukowana.

Informacja podana przez „Wolną Europę” nie pochodziła ode mnie ani nie została ze mną uzgodniona. Jest to typowa plotka”.

MAREK BŁASZKOWSKI

Każde pismo na całym świecie ma prawo dobierać sobie takich współpracowników, jacy są mu potrzebni i jest to prawda znana każdemu, kto choć odrobinę zetknął się z dziennikarstwem w sposób zawodowy, a nie amatorski. Ubawia mnie więc setnie wiadomość, że można kogokolwiek zmuszać do rezygnacji ze współpracy. Po prostu nieudolnym współpracownikom nie drukuje się złych materiałów.

Współcuję natomiast słuchaczom „Wolnej Europy”, jeśli bowiem wszystko, albo choć jakaś część, wiadomości przekazywanych z kaju jest tak prawdziwa, jak ta o Marku Błaszowskim i „Ogłosach”, to moje serdeczne gratulacje z powodu poziomu i umiejętności, jakie posiadają współpracownicy „Wolnej Europy”. Nie podpowiem jednak, co bym z nimi zrobił.

ŁUCJUSZ WŁODKOWSKI

BOLESŁAW BIERUT W MIŃSKU

Z zainteresowaniem przeczytałem szkice o Bolesławie Bierucie w nr nr 45—47 „Ogłosów” i chciałbym się podzielić informacją, która być może częściowo wyjaśni problem skąd B. Bierut wrócił w 1943 do kraju — z Moskwy czy z Mińska?

9 grudnia 1985 roku, będąc w Moskwie, miałem przyjemność rozmawiać — oczywiście w związku z moimi własnymi zainteresowaniami badawczymi — z prof. Fiodorem Trofimowiczem Konstantinowem, pracownikiem Instytutu Filozofii AN ZSRR, a w latach 40. m. in. działaczem Komсомолu szczebla centralnego. Ponieważ prof. Konstantinow znał osobiście B. Bierutę, więc przy okazji pytałem także o ocenę jego postaci w naszej historiografii. Sam bardzo ciepło wyrażał się o Bolesławie Bierucie (co jest bardzo charakterystyczne dla działaczy radzieckich okresu stalinowskiego, podobnie jak ich niechęć do W. Gomułki) i m. in.

opowiadał, że w 1947 roku, jadąc do Warszawy na II Plenum Komitetu Ogólnoslowiańskiego, wioził dla niego osobisty list od J. Stalina. Przy wręczaniu tego listu, w trakcie bardzo szczerej i poufnej rozmowy, B. Bierut miał zwierzyć się F. Konstantinowowi, że czuje się bardzo samotny wśród swoich politycznych przyjaciół, ponieważ żadnemu z nich nie ufa (czyżby pozowanie na Stalina?).

Pełnym zaufaniem obdarza tylko swoją bliską współpracownicę, którą poznał jeszcze w czasie wojny i która była wtedy żoną znanego pisarza. Kobietę tę — i tu zaczyna się najistotniejsza część informacji — o imieniu Jadwiga (?) (prof. Fiodora T. Konstantinowa zawiódła pamięć lub nie chciał udzielić bliższych informacji) B. Bierut poznał w Mińsku, kiedy był tam zatrudniony w niemieckich batalionach pracy, gdzie prowadził „robotę dywersyjną”, o czym miał wiedzieć m. in. Pantelejmon K. Ponomarienko (w latach 1938—1947 I sekretarz KC KP (b) Białorusi, w latach 1942—1944 naczelnik Centralnego Sztabu Ruchu Partyzanckiego). Zresztą, jak mówił prof. Fiodor T. Konstantinow, on sam także wtedy przebywał w Mińsku. Po wyzwoleniu Białorusi przyjaciółka B. Bierutę miała duże nieprzyjemności, ponieważ spotykała się z Niemcem (Bierut chodził w uniformie niemieckim), a nie mogła udowodnić — bo sama nie wiedziała — z kim rzeczywiście się spotykała. Wszystko zakończyło się dla niej szczęśliwie, kiedy B. Bierut został prezydentem i w prasie radzieckiej pojawiły się jego fotografie.

W czasie jednej z oficjalnych wizyt w Związku Radzieckim B. Bierut w drodze powrotnej do kraju zatrzymał się w Mińsku i zabrał ze sobą swoją przyjaciółkę, która stała się jego najbardziej zaufaną współpracownicą (czyżby chodziło o Wandę Górską?).

W każdym razie, pomijając już cały ten wątek „kobiety”, relacja prof. Fiodora T. Konstantinowa może być jeszcze jednym argumentem przemawiającym za tezą, że jednak Bolesław Bierut powrócił do Warszawy z Mińska, gdzie spędził pierwsze lata okupacji Białorusi przez Niemców. Oczywiście, relacja nie zastąpi dokumentu sensu stricto tym bardziej, że moje notatki z rozmowy z prof. Fiodorem T. Konstantinowem nie są autoryzowane, co zresztą, przynajmniej dla tych osób, którym się zdarzało przeprowadzać wywiady dla celów badawczych z obywatelami radzieckimi, nie powinno być dziwne.

STYLWESTER FERTACZ
(Katowice)

BYŁY TAKIE POMYSŁY

W połowie pięćdziesiątego roku rodziły się propozycje na wysokich szczeblach, by nazwę Sejmu zmienić na Zgromadzenie Ludowe, Marszałka Sejmu na Przewodniczącą tego Zgromadzenia, godło wkomponować w pięcioramienną gwiazdę (tak jak w Czechosłowacji od 1956 r.), krząrzyły także wieści o ewentualnym zmianie godła i hymnu. Projekty godła naszego w pięcioramienną gwiazdę oglądałem na własne oczy.

Otóż w tym czasie Bolesław Bierut zaproponował utworzenie nowego hymnu państwowego Tadeuszowi Sygietyńskiemu i Władysławowi Broniewskiemu. Wiadomo, że Broniewski chwycił za pióro, napisał kilka słów, które odczytał Bierutowi — były to słowa „Jeszcze Polska nie zginęła”. Zatem Sygietyński odmówił skomponowania melodii, a Broniewski tekstu.

J. WAŃKIEWICZ

A WODA NADAL Z RUR UCIEKA

W posesji przy ul. Zielonej nr 9 mamy kłopoty z centralnym ogrzewaniem. Kotłownia na miejscu, nadzór sprawuje Zakład Gospodarki Ciepłej i Przedsiębiorstwo Gospodarki Mieszkaniowej Łódź-Sródmieście. Od trzech lat ubywa wody w instalacji c.o. Zdanie palaczy, ktoś z lokatorów podłączył się do sieci i czerpie ciepłą wodę. W zimie 1986/1987, która była wyjątkowo mroźna, mieliśmy letnie kaloryfery, a temperatura w mieszkaniach od 9 st. do 12 st. C. Jest to niewielki dom — osiem mieszkań — część lokatorów, głównie emeryci, przeniosła się do krewnych, pozostali interweniowali. Dwukrotnie przychodzą sprawdzając instalację w mieszkaniach, ale robili to niezbyt dokładnie.

Już pod koniec sezonu napisaliśmy skargę do Wydziału Gospodarki Komunalnej Urzędu Dzielnicy Łódź-Sródmieście. Odpisano nam (PGM — Łódź-Sródmieście), że skarga wpłynęła z dużym opóźnieniem bez sprawdzenia, że fakty „pobierania wody z instalacji c.o.” zostały zlikwidowane. Winnego lokatora ukarze kolegium do spraw wykroczeń.

Poczekaliśmy do sezonu 1987/1988. Zmienił się palacz, uprzedzono go, że trzeba dolewać wody. Sprawy do kolegium do spraw wykroczeń nie przekazano.

Napisaliśmy do Naczelnika Dzielnicy Łódź-Sródmieście. Przeproszono nas i potwierdzono, że wody ubywa w dalszym ciągu, ale nie z winy lokatorów. Zobowiązano palacza do utrzymywania odpowiedniej temperatury. Zmieniło się kierownictwo ZGC i zapewniono, że teraz będzie wszystko w porządku.

Gdy wreszcie przyzwolcie napalono, to okazało się że w kilku mieszkaniach kaloryfery nie grzeją. Awarie zgłosili wszyscy. Kontrolerzy przychodzili tylko do jednego mieszkania, bo nie mieli zlecenia na pozostałe.

Gdy pisze się do dyrektora PGM, to sekretarka odsyła do Zakładu Gospodarki Ciepłej, a panie urzędniczki z tegoż zakładu stwierdzają, że też mają zimno w mieszkaniach i problemu nie robią z byle czego.

W dalszym ciągu nie zlikwidowano przebiecia wody, jest to minimum 200 l. dziennie (według oceny palaczy), a są to naszym zdaniem jedyni fachowcy w instytucjach. W 1987 roku było ciepło, ale zima też była wyjątkowo ciepła.

BARBARA ISZCZEK

DLACZEGO ZMIENIONO DATĘ?

Dotychczas „Ogłosy” ukazywały się z datą sobotnią, ale już po raz trzeci (27 listopada 1988 r.) ukazały się z datą niedzielą. Czy ta zmiana została zaplanowana w redakcji? W takim razie w historii „Ogłosów” trzeba będzie odnotować, iż „w listopadzie 1988 roku zmieniono datowanie z sobotniej na niedzielą”. Jeżeli tak już ma być to nie ukazuje się numer 53 „Ogłosów” z datą 31.12.1988 roku, ale numer z datą 01.01.1989 roku — pierwszy numer z 1989 roku. Czy o to chodziło?

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

Zmiana daty nastąpiła z tego powodu, że według datowania sobotniego powinniśmy wydać 53 numery „Ogłosów”. W ZG RSW „Prasa-Książka-Ruch” pismo jest traktowane jako niedzielne, wychodzące z datą niedzielą i tak planowany jest nakład. A zatem nie mógł być zaplanowany numer 53. Aby więc rzeczywistość zgadzała się z planem — bo to my zmieniliśmy samowolnie datę — powróciliśmy do datowania niedzielne, jak było na początku ustanowione.

I tak 21.12.1988 roku ukaże się numer świąteczny „Ogłosów”, a 28.12.1988 roku pierwszy numer z 1989 roku z datą 01.01.1989. Będzie to numer noworoczny.

Życzymy przyjemnej lektury
REDAKTOR DYŻURNY

Przekładanie podwozi — ze względu na szerszy rozstaw szyn — w pociągach przekraczających granicę z ZSRR ma charakter inercyjnego rytuału o symbolicznym znaczeniu: już na samym początku musisz wiedzieć, że wjeżdżasz do kraju o zupełnie innej skali niż ta, do której przywykłeś. Złazasz teraz, gdy każdego dnia agencje światowe prześcigają się w kreowaniu sensacyjnych doniesień ze Związku Radzieckiego (jak to agencje). Dlatego też możliwość uczestniczenia w międzynarodowym seminarium na temat roli inteligencji w przemianach społecznych, które w centrum miasta Piotra I hotelu „Angleterre” Hotel pamiętający m.in. samobójczą śmierć Sergiusza Jesienina zburzono, co wywołało protesty i demonstracje mieszkańców Leningradu przywiązanych do swoich historycznych zabytków. Z niechęcią pobliżności mówił o tym wiceprezydent. Ale przecież — o czym mogłem się naocznie przekonać — „Angleterre” stoi znów zbudowany od podstaw wedle

2. Dwutygodniowy pociąg w Moskwie i Leningradzie (13—26. XI) jednakowoż nie upoważnia mnie do tego, aby przedstawiać w tym oto tekście jakąś całościową wizję rewolucji, która ogarnęła Kraj Rad. Nie będę też usiłował uogólniać tego, co widziałem i słyszałem. Kraj się zmienia — bez żadnej przesady — z godziny na godzinę — i nikt nie jest w stanie zapisać zwyczajnej chronologii tych zmian, nie mówiąc już o jakichkolwiek próbach publicystycznej syntezy. A nie chciałbym popaść w megalomańską pułapkę, w jakiej znalazł się swego czasu pewien dziennikarz francuski, który po trzydniowym pobycie w Warszawie (trzeba dodać, że mieszkał w „Victorii”) popisał się w jednym z paryskich tygodników, śmieszną w rezultacie elukubracją na temat Polski stanu wojennego. Jak to mówią: wedle stawu grobla. Skromności nigdy dosyć. Zatem chciałbym, aby Czytelnik moje refleksje — moskiewsko-leningradzkie — potraktował z całym dobrodziejstwem inwentarza turysty pełnającego czasowo obowiązki publicysty ciekawego ludzi i spraw.

Z prasy, telewizji, z informacji, które nam przekazano na wykładach w toku seminarium, a także z obserwacji sklepów, zaopatrzenia i kolejek niekiedy monstrualnych (a mówię to jako Polak nawykły takich widoków) wynika, iż Związek Radziecki przeżywa trudny okres. Nie nazywam tego kryzysem, bo też nie znam skali tych trudności, ich szczegółowych przyczyn ani opracowań sanacyjnych. Tak czy tak, reforma ekonomiczna, warunki życia ludzi mają w procesach przemian miejsce zasadnicze. Ponieważ „realny socjalizm jest nierozwinięty, a rozwinięty socjalizm jest nierealny” — powiedział jeden z wykładowców — odchodzi się od przebrzmiałych dogmatów ekonomicznych, które — jak się ocenia dziś — przyczyniły się do stagnacji, zastój, a w rezultacie do gospodarczego wstępnictwa. Problem wyżywienia kraju i problem mieszkaniowy to dwa priorytety „socjalizmu z ludzką twarzą” (to też cytuję z wykładu), w którym celem jest dobro człowieka. „Właśnie człowiek jest naszym celem, a nie instrumentem jak było dotąd”. „Od totalitaryzmu do demokracji — taka jest nasza droga rozwoju” — powiedział kierownik jednego z oddziałów Instytutu Ekonomiki Świata Socjalizmu Akademii Nauk ZSRR prof. Jewstignejew.

3. Zaraz po przyjeździe miałem możność obejrzeć transmisję z konferencji I sekretarzy komitetów obwodowych partii pod przewodnictwem Michaiła Gorbaczowa, która odbywała się w Orle. Narada poświęcona była sytuacji w rolnictwie Związku Radzieckiego i problematyce nowych rozwiązań ekonomicznych w tym zakresie. Te nowe rozwiązania (zresztą sprawdzone już w wielu rejonach) stawiają sobie za cel przełamanie stagnacji w systemie kolchozowym. Wprowadza się zatem różne formy „aktywizacji podmiotu produkcji”, tj. brygady rodzinne o dużym stopniu gospodarczej samodzielności, dzierżawy i spółdzielnie na własnym rozrachunku. „Zaczynamy rozumieć znaczenie rynku, bo prawa rynkowe obowiązują tak w socjalizmie, jak i w kapitalizmie”. Naweździe zewsząd wiele rozwiązań dotyczących zwłaszcza decentralizacji zarządzania, zasad samofinansowania, rozbiłania nieruchomości molochów administracyjnych przypomina

założenia polskich reform ekonomicznych. O skali potrzeb mieszkaniowych niechaj świadczy przykład Leningradu, gdzie aby rozwiązać istniejące problemy (setki tysięcy rodzin żyje jeszcze w tzw. mieszkaniach komunalnych ze wspólną kuchnią) trzeba zbudować w bliskim czasie 600 tysięcy nowych mieszkań. A przecież miasto — co wynikało z wypowiedzi tamtejszego wiceprezydenta (postępując się pojęciami z naszych struktur administracyjnych) — musi mieć na uwadze sprawy bieżące, a nie tylko odrabianie zaległości z lat przeszłych. Przywołuję sprzed kilkunastu miesięcy rumor wokół decyzji zburzenia w centrum miasta Piotra I hotelu „Angleterre”. Hotel pamiętający m.in. samobójczą śmierć Sergiusza Jesienina zburzono, co wywołało protesty i demonstracje mieszkańców Leningradu przywiązanych do swoich historycznych zabytków. Z niechęcią pobliżności mówił o tym wiceprezydent. Ale przecież — o czym mogłem się naocznie przekonać — „Angleterre” stoi znów zbudowany od podstaw wedle

wy czas przynosi nowe atrakcje. Stolica Związku Radzieckiego stała się jednym ze światowych centrów międzynarodowych spotkań, kongresów i imprez kulturalnych. Jeśli ktoś był w Moskwie poprzednimi laty, teraz patrzy na to wszystko jakby z niedowierzaniem, ale później musi się poddać tej elektryzującej ducha atmosferze. Wystarczy przejść wzdłuż cały Arbat, legendarny już moskiewski deptak, który teraz zamienił się ni to w Montmartre, ni to w liberalny Hyde Park. Już w podziemnym przejściu (zimna) od strony kremlińskich murów można zobaczyć tłum skupiony wokół akordeonisty, który wystylizowany na urkę w czasach NEP-u, spod kaszkietu i blond grzywki wypiewkuje „Murkę” i inne „blatnyje szansony”. Parę kroków dalej grupy portretistów namalują przechodniów do pozowania i mają pełne ręce roboty. Na samym Arbacie poeta sprzedaje maszynopisy swoich wierszy: recytuje je z pasją i z ogniem w oczach. Tak musiał wyglądać młody Włodzimierz Majakowski, który szokował publiczność tnącymi

wangardystę **Kazimierzowi Małewiczowi** oraz wystawę, opartą o własną kolekcję, sztuki radzieckiej lat dwudziestych i trzydziestych. Na wszystkich tych wystawach tłumy zwiedzających, a wszelkie rekordy popularności bije ekspozycja twórczości **Iłji Glazunowa** w Leninradzie, której nie zdołałem obejrzeć, bo przerażała mnie długo kolejka miłośników artysty przed gmachem, gdzie wystawę zorganizowano.

Jak się wydaje, w kulturze najłatwiej dostrzec efekty, które przynosi epoka pieriestrojki i głośności. Podczas seminarium, o którym wspominałem, mogliśmy wysłuchać rozmaitych opinii i prognoz wygłaszanych przez działaczy kultury, ekonomistów i przedstawicieli środowisk twórczych. Niejednokrotnie był ton tych wystąpień: od wyważonych i — by tak rzec — okragłych zdań, po wypowiedzi bardziej jednoznaczne i radykalne. Bo oto w tym procesie przemian zderza się inercja myślenia, jeśli nie w starym stylu to tylko trochę odnowionym z dynamizmem, który z kolei jak-

dają się fragmenty dokumentalnego obrazu, zrealizowanego na zamówienie władz bezpieczeństwa w roku 1928, który pokazuje obóz o zastraszonym reżymie jako wyidealizowane miejsce odosobnienia, gdzie resocjalizuje się niemal w sanatoryjnych warunkach wszelkiego rodzaju myśli społeczne. Tę obojętność w rezultacie nigdy publicznie nie pokazywano, aby nie denerwować ludzi warunkami, w jakich żyją przestępcy. Wydobyla go z archiwum **Marina Goldowska**, obdarzając fragmenty bezpośrednimi komentarzami i opowieściami byłych ofiar stalinowskich prześladowań, m.in. także wybitnego literaturoznawcy, akademika **Dymitra Lichaczowa** i pisarza **O.W. Wolkowa**. Porażające to opowieści, jak porażające są przemyślenia w nich fakty ludzkiego okrucieństwa obozowej władzy.

Były klasztor, założony jeszcze w czasach Iwana Groźnego, w roku 1923 zamieniono w więzienie dla ofiar kolejnych stalinowskich czystek. Mówi jeden z żyjących dotąd

klapą udekorowaną baretkami odznaczeń. Nie pada w filmie jego nazwisko (podaje je w „Archipelagu” Solżenicyn), bo też realizatorka — ze względów prawnych (nie dotarła do żadnych oficjalnych dokumentów) powstrzymała się przed tak straszonym oskarżeniem. Notabene opowieść **Mariny Goldowskiej** już po projekcji o próbach rozmowy, choćby przez telefon z „emerytem”, potem z jego żoną, o zdjęciach ukrytą kamerą, czy też o realizacji filmu w ogóle mogłaby się stać tematem równie fascynującego dokumentu ilustrującego imponderabilia radzieckich przemian.

Obóz na Solówkach zlikwidowano w roku 1939. Tych najsłabszych, schorowanych i wydeńczonech załadowano na wysłużonych stateczek, który nigdy nie dopłynął do żadnego portu. Teraz na Wyspach Solowieckich pusto i pięknie. „Miejsce jest tak piękne, że powinno się tam wozzić za pieniądze, a myśmy byli za darmo” — mówi przed kamerą z gorzką ironią jeden z tych, co przeżyli. Ekipa archeologów interesująca się poklaskotnymi budynkami jeszcze dziś znajduje resztki zbutwiałych listów, które nie dotarły do adresatów.

Kiedy wyszliśmy z małej sali, w której odbywała się projekcja na rozświetlonej ulicy Zamoskworiecza pełną ludzi i samochodów aż trudno było uwierzyć, że to co oglądaliśmy na filmie mogło się kiedykolwiek wydarzyć.

PROSTO Z MOSKWY: To nie była władza sowiecka — to była władza sołowiecka.

Dziś, gdy do głosu dochodzą wnukowie Arbatu

GRZEGORZ GAZDA



Kadr z filmu **Mariny Goldowskiej** „Władza Solowiecka”

dawnej architektury (tym czasem w stanie surowym). Po co zatem burzono? Ano dlatego, iż stan techniczny gmachu był taki, że do waloryzacji się zupełnie nie nadawał.

Jeśli już o zabytkach mowa: fascynująca jest pieczołowitość (a i ogromne nakłady pieniędzy!) z jaką traktuje się historyczne budowle Leningradu i byłych carskich pałaców na obrzeżach tego wspaniałego miasta. Opisano je już w setkach książek, powieści i wierszy. Bo i też dawny Petersburg należy do arcydzieł architektury. Gdy oglądałem go teraz w śniegu i słońcu, miałem nieodpartą wrażenie, że znalazłem się oto w odległej przeszłości, która wyloniła się z historii w stanie niemal nie naruszonej.

4.

W ramach nowej polityki kulturalnej odbiera się obecnie te pałace rozmaitym urzędem i zarządom i przekazuje w gospodarstwo muzeum o powszechnym dostępie. I leningradzka rada narodowa, która zajmuje przepyszną Pałac Maryjski postanowiła udostępnić go dla wycieczek i turystów. A na ich brak Leningrad narzekać nie może. Poprzedz hotel o najwyższym standardzie (zbudowano ostatnio parę nowych), poprzez place i mosty, muzea i pałace przewijają się wielotysięczne i wielojęzyczne tłumy z całego świata. I mimo śniegu i mrozu (zima w tym roku ogarnęła cały Związek Radziecki nader wcześnie) suną przez miasto istne karawany autokarów „Inturistu”, które z organizacją maistrów zapewniają usługi na poziomie renomowanych biur podróży. Podobnie jest w Moskwie, z czego można domniemywać, że pieriestrojka i głośność, polityka otwarcia na dąży turystów drugą prędkością.

Pomijam już tradycyjne miejsce turystycznych pielgrzymek. W Moskwie i Leningradzie, no-

by nadto starał się przyspieszyć płynący czas. Wola przemian jest bowiem ogromna zwłaszcza w środowiskach inteligencji twórczej, która jest prawdziwą awangardą przebudowy. A spraw jest mnóstwo.

Lejmotywem wszelkich działań w sferze nadbudowy, świadomości społecznej, nowożytnością się myślenia jest zrytualizowana cnota likwidacji stalinowskiego garbu, obciążenia stalinowskiego generacji sery życia Związku Radzieckiego. Destalinizacja to proces niezwykły, ale też konieczny. Stąd różne akcje w rodzaju „Tygodnia pamięci”, stąd zbiórki pieniędzy na pomnik ofiar stalinowskich prześladowań, stąd impreza z udziałem **Eugeniusza Jewtuszenki** w kremlińskim Pałacu Zjazdów, z której dochód przeznaczono na ów pomnik. Akcje te stanowią jakby warstwę zewnętrzną, bo jest jeszcze pod nią, tylko częściowo ujawniane przez prasę i środki masowego przekazu, wnętrza domagające się szczegółowych badań, analiz i interpretacji.

Napisalem „tylko częściowo”, bo przecież nie jest fizyczną możliwością w tak niedługim czasie powiedzieć wszystkiego. Przygotowuję się więc historię KPZR, którą trzeba napisać na nowo; trzeba rozpocząć prace nad historią literatury radzieckiej umiejscawiając w niej to wszystko co było dotąd nieobecne itd. itd.

5. W wielce kłopotliwej sytuacji są czasopiśmiennictwo, o czym mówił mi na spotkaniach i w Związku Pisarzy Radzieckich i w redakcji „Drużby Narodów”. Mimo zwiększonych nakładów nie są w stanie nadążyć za potrzebami (np. sama tylko „Drużba Narodów” miała 900 tysięcy (!) zgłoszeń na prenumeratę) bo nie tylko trzeba „obstąpić” bieżące życie literackie, ale i przywrócić czytelnikowi radzieckiemu to wszystko z przeszłości, co ważne, wartościowe i wybitne, a co nie jest znane na skutek poprzednich działań polityczno-administracyjnych. Bo tu także stalinizm spowodował niewyobrażalne czystki.

by nadto starał się przyspieszyć płynący czas. Wola przemian jest bowiem ogromna zwłaszcza w środowiskach inteligencji twórczej, która jest prawdziwą awangardą przebudowy. A spraw jest mnóstwo.

Lejmotywem wszelkich działań w sferze nadbudowy, świadomości społecznej, nowożytnością się myślenia jest zrytualizowana cnota likwidacji stalinowskiego garbu, obciążenia stalinowskiego generacji sery życia Związku Radzieckiego. Destalinizacja to proces niezwykły, ale też konieczny. Stąd różne akcje w rodzaju „Tygodnia pamięci”, stąd zbiórki pieniędzy na pomnik ofiar stalinowskich prześladowań, stąd impreza z udziałem **Eugeniusza Jewtuszenki** w kremlińskim Pałacu Zjazdów, z której dochód przeznaczono na ów pomnik. Akcje te stanowią jakby warstwę zewnętrzną, bo jest jeszcze pod nią, tylko częściowo ujawniane przez prasę i środki masowego przekazu, wnętrza domagające się szczegółowych badań, analiz i interpretacji.

Napisalem „tylko częściowo”, bo przecież nie jest fizyczną możliwością w tak niedługim czasie powiedzieć wszystkiego. Przygotowuję się więc historię KPZR, którą trzeba napisać na nowo; trzeba rozpocząć prace nad historią literatury radzieckiej umiejscawiając w niej to wszystko co było dotąd nieobecne itd. itd.

5. W wielce kłopotliwej sytuacji są czasopiśmiennictwo, o czym mówił mi na spotkaniach i w Związku Pisarzy Radzieckich i w redakcji „Drużby Narodów”. Mimo zwiększonych nakładów nie są w stanie nadążyć za potrzebami (np. sama tylko „Drużba Narodów” miała 900 tysięcy (!) zgłoszeń na prenumeratę) bo nie tylko trzeba „obstąpić” bieżące życie literackie, ale i przywrócić czytelnikowi radzieckiemu to wszystko z przeszłości, co ważne, wartościowe i wybitne, a co nie jest znane na skutek poprzednich działań polityczno-administracyjnych. Bo tu także stalinizm spowodował niewyobrażalne czystki.

bohaterów filmu, który przeżył solowiecką genę, że gdy przez przypadek wpadła w ręce więźniów książka opisująca praktyki średniowiecznej inkwizycji, czytali ją jako tekst humorystyczny, bo obozowe praktyki strażników przekraczały wszelkie wyobrażenia o torturach i okrucieństwie. Zdarzyło się tak, iż jeden z więźniów władający językiem angielskim zdołał z Solówek uciec. I wyszła w Anglii książka opisująca solowieckie realia. Stalinowska propaganda, aby przeciwdziałać „atakowi burżuazyjnej prasy” postanowiła wykorzystać nazwisko i autorytet **Maksyma Gorkiego**, który dopiero co wrócił do Związku Radzieckiego. Był na Solówkach i oczywiście zorientował się w komedii, jaką przygotowane na jego przyjazd. Jednak zareagował tak, jak tego oczekiwała władza. W czasie pisma „Solowieckie Wyspy” napisał, że jest pełen podziwu dla strażników rewolucji, którzy z godnym podziwu zaparciem wychowują przestępców.

Solowiecki koszmarny opisał szczegółowo w części III „Archipelagu Gulag” **Aleksander Solżenicyn**. Film **Mariny Goldowskiej** (jest także autorką zdjęć i scenariusza) można zatem odebrać jako poruszającą do głębi filmową ekranizację faktów przywołanych przez Solżenicyna. (W wywiadzie dla tygodnika „Ogoniok” **Michaił Szatrow** krytykując tego autora jednocześnie powiedział: „Malo który z naszych pisarzy odegrał tak dużą rolę w walce ze stalinizmem jak Aleksander Solżenicyn”).

„Tu nie władza sowiecka — tu władza solowiecka” cytuję w filmie bodaj **Dymitr Lichaczow** slogan powtarzany często przez jednego ze strażników, słynącego ze szczególnego sadyzmu wobec więźniów.

Nie będę opisywał okrucieństw i tortur, które stosowała władza solowiecka sprawowana w łagrze przez „czekistów” i białogwardystów. „Nie wiem kto kogo wychowywał — pyta **Dymitr Lichaczow** — ale zdaje się, że jednych i drugich podpradkowali sobie kryminaliści, których też na Solówkach nie brakowało”. Mam nadzieję, że film ten zobaczymy także w Polsce, jak nie w telewizji, to w kinach. Zwróć więc uwagę na jeszcze jeden epizod dokumentu **Mariny Goldowskiej**: w ciągu jednej nocy w roku 1929 rozstrzelano w obozie 300 więźniów. Bezpośrednio uczestniczył w tej masakrze były więzień skazany na obóz za to, że zamordował — jako wroga klasowego — swego ojca — młucha. W obozie tego przeciwnika „wrogów klasowych” awansowano do roli wychowawcy do spraw kulturalno-oświatowych! I oto ten człowiek żyje dotąd w Moskwie na „zasłużonej” emeryturze. Kamera pokazuje go idącego jedną z centralnych ulic stolicy z laską w ręku i z

6.

Skupiam się w tej składance wrażeń na przeszłości, choć mam świadomość, że dla Moskwy, dla całego Związku Radzieckiego liczy się przede wszystkim teraźniejszość i przyszłość. Stolica Kraju Rad stała się najautentyczniejszym centrum świata, w którym kryżują się sprawy wielkiej polityki, kultury i gospodarki. Być obecnym w Moskwie to być obecnym w świecie. Dlatego nie bez dumy i osobistej satysfakcji opowiadał nam o działalności Ośrodka Kultury Polskiej dyrektor, czyli **Stanisław Mikulski**. Ośrodek dzierżawi tymczasem dwa razy w tygodniu znakomite wyposażony dom kultury. Dopiero za dwa lata („szef jest optymistą” — powiedział ktoś na stronie) nastąpi przeprowadzka do własnych pomieszczeń na Arbacie. Największym zainteresowaniem cieszy się tu kino polskie. Podczas mojego pobytu nie umilkły jeszcze echa retrospektywy filmów **Andrzeja Wajdy** z „Człowiekiem z żelaza” i „Dantonem” na czele. Konferencje prasowe z Miśtrzem relacjonowały „Moskiewskie Nowosti” nie pomijając żadnej kwestii. Notabene tygodnik ten, wydawany też w językach obcych, bije wszelkie rekordy popularności.

Polacy są — niestety — obecni w Moskwie i Leningradzie jeszcze na inny sposób. Trudno bez zażenowania oglądać te spokojne i rozognione twarze **Fenicia XX stulecia** goniących za wszelkim możliwym do zdobycia dobrem. Gdyby to jeszcze chodziło o zaopatrzenie własnych domów. Ale przecież nie. Jeszcze na dobre nie zdołał się zatrzymać w Warszawie Wschodniej moskiewski pociąg, kiedy tych obładowanych ponad ośle możliwości „turytów” obstopili handlarze wyrwywając sobie z rąk, co tylko się dało — od dziecinnej zabawki do wielkiego kolorowego telewizora.

7.

Na koniec o ludziach, którzy nas w Moskwie i Leningradzie gościli i przyjmowali. Nie sposób wymienić ich wszystkich. Z prawdziwą serdecznością myślałem o przedstawicielach instytucji oficjalnych, i o tych poznanych w kulturalnych seminarium, o przewodnikach „Inturistu” i pracownikach Związku Towarzystw Przyjaźni. Ich obojętność w każdej sprawie i życzliwość, którą nas otaczali będzie najmilszym wspomnieniem z tej niezwyklej podróży. Tak: niezwyklej. Bo też niezwyklej jest czas, którym żyje Związek Radziecki. Jeśli ktoś był tam poprzednio, teraz po powrocie musi powiedzieć: to jest inny kraj.

Otrzymał sygnał od Czytelnika, że w jednej z łódzkich szkół powstała klasa, w której zebrano uczniów pochodzących z rodzin alkoholików i rodzin rozbitych. Zabrzmiało to niewątpliwie

Ta siódma klasa nie jest liczna, jedenastu uczniów. Powstała dopiero w tym roku z uczniów wyselekcjonowanych z pozostałych klas siódmych szkoły. Największe szanse dostania się do klasy specjalnej mieli ci, na których nauczyciele najczęściej narzekali, że nie poddają się dyscyplinie szkolnej, a więc ciągle wagarują, spóźnienia, rymstokowy język. Faworytem był chłopak, który ma już na sumieniu drobne kradzieże samochodowe, dzięki niemu milicja już dwa razy odwiedziła szkołę oraz jego kolega, który zeszłej wiosny „pożyczył” sobie motorynkę. Znalazło się też miejsce dla podopiecznych kuratorów

Uczniowie w tej klasie w większości pochodzą z rodzin rozbitych, borykających się z trudnymi warunkami materialnymi, prawie we wszystkich pojawia się problem alkoholu. Czują się skrzywdzeni przez życie, a to rodzi postawę buntu, buntu wobec wszystkiego, ale przede wszystkim rygorów i obowiązków szkolnych, a co za tym idzie — słabe, a może nawet zupełny brak wyników w nauce. W większości powtarzają klasę.

Nauczyciele są zachwyceni pomysłem zebrania w jednej klasie uczniów sprawiających największe kłopoty wychowawcze. Wychowawczyni klasy twierdzi, że po dwóch miesiącach pracy już widzi jej efekty. Mniej wagarują, porządnie prowadzą zeszyty, zaczynają rywalizować ze sobą pod względem ocen. Wierzy, że w ten sposób dzieciom daje się szansę ukończenia szkoły.

Program realizowany w klasie jest ten sam, co w innych, ale do nauczyciela należy decyzja ewentualnego wyeliminowania tych partii materiału, których uczniowie nie są w stanie wchłonąć. Są mobilizowani do pracy stałym nagradzaniem nawet najdrobniejszych przejawów indywidualnej pracy, co rodzi chęć do dalszego wysiłku.

Wychowawczyni przyznaje, że uczniowie są traktowani w szkole nieco odmiennie. Podczas gdy inne klasy przenoszą się

W oświacie wraca stare

Dzieci drugiej kategorii?

na każdą niemal lekcję z klasy do klasy — na biologię do pracowni biologicznej, na chemię do pracowni chemicznej, to jedna klasa nie „wędruje”. To nauczyciele przychodzą do niej z potrzebnymi pomocami. Dlaczego? Aby nie ułatwiać „zawieruszenia się”?

Niewielka liczba uczniów w klasie daje nie tylko możliwość indywidualnego potraktowania każdego z nich, ale także nawiązania kontaktu z rodziną. Wychowawczyni trochę nie bardzo udało się wytłumaczyć, co dotychczas utrudniało kontakt z rodzicami, tym bardziej, że w klasie nazwijmy ją umownie „normalnej” uczniów sprawiających kłopoty wychowawcze było o jedną trzecią mniej niż zebranych wszystkich razem w klasie specjalnej. Kłopoty z zachowaniem wynikają najczęściej z zaniedbania środowiskowego, jak zatem nauczycielowi uda się spowodować zmianę trybu życia w rodzinie? Ale to pytanie jest całkowicie teoretyczne.

Uczniowie z pewnymi oporami przechodzili do tej klasy. — Musiałam zapewnić ich, że jest to klasa zupełnie normalna — opowiada nauczycielka. — Gdyby teraz dowiedzieli się, że to klasa specjalna, moja praca poszłaby na marne. Tacy są ambitni.

Może po prostu nie chcą być inni, może gdzieś w podświadomości tkwi lek przed wyizolowaniem. Potwierdza to psycholog. — Dziecko, które w domu wychowywane jest w warunkach patologii społecznej, również w szkole styka się z przejawami patologii, nie ma szans wydestantowania się z tego kręgu. Jeżeli odebrano mu możliwość przebywania wśród dzieci z rodzin normalnych, nie obudzi się w nim właściwe aspiracje. Taka klasa-gejto, to zbrodnia.

Klasa, o której piszę nie jest jedyną w Łodzi. Powstało już około dwudziestu takich klas, skupiających dzieci sprawiające trudności wychowawcze. Mają już nawet nazwę — profilaktyczno-wychowawcza, choć nauczyciele nadal używają między sobą nazwy: specjalna. Powstała również klasa specjalna innego rodzaju, wyrównawcza, dla dzieci mających kłopoty z nauką.

U dzieci takich stwierdza się na ogół: rozwój intelektu niższy niż przeciętny, w dolnych granicach normy, zaburzenia analizy i syntezy wzrokowej, obniżony poziom myślenia przyczynowo-skutkowego i myślenia logicznego, lateralizację nieustaloną lub skrzyżną, nadpobudliwość, obniżony poziom pamięci bezpośredniej, niedojrzałość emocjonalna, trudności w koncentrowaniu i zapamiętywaniu, brak umiejętności pracy samodzielnej, wolne tempo pracy umysłowej, brak krytycyzmu w stosunku do samych siebie. Są to te dzieci, w których kierunku patrzy nauczyciel pytając, czy już naprawdę wszyscy w klasie zrozumieli.

Klasy wyrównawcze nie są liczne, od dziesięciu do piętnastu uczniów, nauczyciel dyskuje zatem możliwość indywidualnej pracy z każdym uczniem, wykorzystania specjalnych metod pracy, nie stosowanych w przypadku dzieci bardziej samodzielnych intelektualnie. Nie ma specjalnego programu, a od nauczyciela zależy, co z tak przeładowanego programu zostanie wybrane. Zawsze jednak minimum programowe musi być zrealizowane.

Klasy wyrównawcze i profilaktyczno-wychowawcze są klasami specjalnymi. W Łodzi jest ich łącznie około pięćdziesięciu, choć jak przyznano w Kuratorium, powstają dość opornie. Zaczęto je organizować od roku 1984, kiedy to w Dzienniku Urzędowym pojawiło się zarządzenie ministra oświaty i wychowania z 17 kwietnia, że w szkołach „mogą być organizowane klasy specjalne dla uczniów z odchyleniami i zaburzeniami rozwojowymi”.

Uczeń zostaje zakwalifikowany do klasy specjalnej po przebadaniu go przez lekarza i psychologa w poradni zawodowo-wychowawczej, skąd nauczyciel dostaje również zalecenie, jak pracować nad dzieckiem. Poradnia wydaje orzeczenie kwalifikacyjne, ale zatwierdza i podejmuje decyzję ostateczną o powstaniu takiej klasy Wydział Oświaty i Wychowania.

Niezbędna jest również zgoda rodziców. Decyzję taką nie zawsze podejmują z entuzjazmem. Obawiają się, aby ich pociechy nie stały się dziećmi drugiej kategorii w szkole. Nie chcą, aby byli wytykane palcami. Myślą, że może nie będą potrafili odpowiedzieć dziecku na pytanie: — Dlaczego oni mówią o mojej klasie — klasa ośłów?

Niepodważalną zaletą klas specjalnych jest mała liczba uczniów w nich. To marzenie każdego nauczyciela wchodzącego do profesjonalnej klasy. Czy jednak stworzenie nauczycielowi prawidłowych warunków pracy z dziećmi musi wiązać się z obawą, że wyhodują one sobie kompleks „tego gorszego”, zahamowania, które zaciągnąć mogą na późniejszym losie?

Ktoś może powie, że jeżeli są nawet wytykane palcami, to trudno. A co, mamy udawać, że takich uczniów nie ma? Życie jest brutalne, odbiora więc tylko swoją pierwszą lekcję życiową. Przyszła mi tu myśl, że może jednak za wcześnie.

Starsi pedagodzy przypominają sobie, że kiedyś powstawały w naszych szkołach klasy specjalne. Wprowadzany był w życie eksperyment estoński. Nie przyjął się na dłuższą, umarł śmiercią naturalną. Nie można więc powiedzieć, że „idzie nowe” o powstających klasach specjalnych. Bo tak naprawdę, to idzie stare.

ZOFIA KĘDZIORA

NR 50 (1602), 11 GRUDNIA 1983 R.



Komu potrzebna jest inteligencja?

Spotkałem na ulicy znajomego; nie widzieliśmy się od kilku lat.

— Cześć — mówię.

— Cześć — odpowiada i bez żadnej przerwy ciągnie dalej.

— Wiesz, żeby ubiec twoje pierwsze pytanie, to znaczy: co słychać?, odpowiadam: jestem właśnie w trakcie zakładania malutkiego interesiku.

— Ty? — pytam rzeczywiście zaskoczony. — Przecież ty się do tego zupełnie nie nadajesz. O ile wiem, ostatnio coś próbowałeś pisać i nawet cię drukowali, więc skąd ta nagle zmiana?

— Ech! — machnął ręką. — Z tego żadnych pieniędzy nie ma. Zresztą... — zastanowił się chwilę. — Może jeszcze kiedyś, jak już będę miał dużo pieniędzy, to spróbuję.

— A przekonany chociaż jesteś do tego wszystkiego?

Spójrz na mnie, zrobił minę, jakby mu się coś przypomniało i powiedział:

— Słuchaj, mam jeszcze kupę spraw do załatwienia. Wpadnij kiedyś, to pogadamy...

I już nie zdążyłem zapytać go o jego nowy adres. Tak szybko zniknął w tłumie.

Tak, wielu teraz zakłada większe lub mniejsze interesiki. I bardzo dobrze, nie mam nic przeciwko temu. Bo jeśli ktoś marzył o tym, by mieć firmę i w końcu udało mu się to osiągnąć, a jako jej szef, czy nawet pracownik, czuje się znakomicie, bo jest w swoim żywiole, zarabiał dużo pieniędzy, to wszystko w porządku, tacy ludzie są bardzo potrzebni. Ale jeśli młody inteligent, jeden, drugi, trzeci (a to zjawisko występuje u nas nagminnie) zaczyna myć okna, rozładowywać wagony, sprzątać przystanki albo wytwarzać korki do butelek, to już coś jest nie tak. Nikt mi nie wmówi, że właśnie taka praca była jego żywiołem marzeń.

Z drugiej jednak strony, jakoś trzeba żyć, jakoś trzeba utrzymać rodzinę, a praca umysłowa w ciągu ostatnich kilku lat straciła zupełnie na swoim znaczeniu. Tak więc, zakładamy interesiki, dorabiamy fizycznie to, to tam i chodzimy sfrustrowani, bo nie mamy czasu, by coś poczytać, pójść do kina czy podyskutować.

Zresztą, w naszym kraju to problem bardziej złożony niż mogłoby się wydawać. Otóż u nas leży jakby w zwyczaju, że człowiek nie robi tego, co powinien. Wynikało to zawsze z sytuacji politycznej lub gospodarczej, albo z politycznej i gospodarczej razem wziętych.

Ot, na przykład marszałek Edward Rydz-Śmigły lepszym pewnie byłby malarzem niż dowódcą, Felician Sławoj-Składkowski lepszym literatem niż generałem. I to wcale nie jest żart, z jego książek możemy się w tej chwili śmiać, ale trudno mu odmówić lektorskiego, dobrego pióra. Można oczywiście sięgać dalej w przeszłość i odnaleźć kilka podobnych postaci, można także zatrzymać się w teraźniejszości i rozejrzeć dookoła. Taki to już niestety kraj, gdzie większość robi to, czego nie powinna, ze stratą dla sztuki, jak i polityki, że tylko do tych dwóch dziedzin się ograniczę.

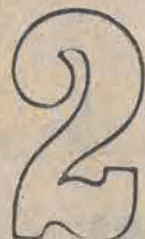
Sytuację wymarzoną obecnie byłaby taka, gdzie człowiek robiłby to, w czym czułby się najlepiej. Niestety tak nie jest i sądzę, że długo nie będzie. Gospodarka zbyt mocno powiązana jest z polityką i nie rygląda na to, by w najbliższej przyszłości miała nastąpić jakaś zmiana.

A najgorzej jest oczywiście wtedy, gdy po latach dojdzie do wniosku, że przez cały czas robił coś, co nie dawało mu przyjemności i że jego ograniczenie się tylko i wyłącznie do zdobywania pieniędzy spowodowało, że inteligentem został już tylko na pa-

pierku. Boć wbrew pozorom, wykształcenie zdobyte na studiach czy w szkole średniej nie wystarcza na całe życie.

Czasami jeszcze zastanawiam się, co będzie dalej z tym całym galimatiasem, jak wyglądała będzie nasza inteligencja w przyszłości? Czy stać nas będzie na wykształcenie dobrej elity umysłowej, która, jak wiadomo, musi się także opierać na solidnych podstawach materialnych. A może współczesnym społeczeństwom taka elita nie jest już potrzebna? No cóż... czas pokaże.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI



Lewym okiem

Pan prezydent powiedział

Na łamach naszego tygodnika ukazuje się od paru tygodni życiorys Bolesława Bieruty, pierwszego i jedynego prezydenta Polski po drugiej wojnie światowej. Autor, Lucjusz Włodkowski, zastrzegł się na początku, że do pracy takiej brak dostatecznie szczegółowych źródeł, dlatego życiorys nie może być ani dokładny, ani traktowany jako praca naukowa. Tu przypomina mi się pewien szczegół, który może, moim zdaniem, przybliżyć się do scharakteryzowania postaci Bolesława Bieruty.

Jak wiadomo, jesienią roku 1944 powstał w Lublinie Tymczasowy Rząd Jedności Narodu. Jednocześnie działał jeszcze, uznawany przez wszystkich aliantów zachodnich, rząd polski w Londynie. Sytuacja w tej części Europy, w której leży nasz kraj, a zwłaszcza wejście Armii Czerwonej na dawne tereny państwa polskiego, sprawiły, że pozostawienie przy władzy rządu londyńskiego, nastawionego antyradziecko, nie było dłużej możliwe. Alianci przewidzieli tę sytuację i już w Jankach uzgodnili, że Tymczasowy Rząd zostanie uznany za właściwy pod warunkiem, że w odpowiednim terminie będą przeprowadzone wolne wybory pod kontrolą delegowanych przedstawicieli państw zachodnich. Wybory takie odbyły się w roku 1946.

W „Przeglądzie Tygodniowym” z 15 lipca 1948 roku publikował swe wspomnienia Stanisław Łukasiewicz, były sekretarz osobisty Bolesława Bieruty. We wspomnieniach tych cytował między innymi takie słowa swojego szefa, wypowiedziane w roku 1946:

— Gdybyśmy dzisiaj przeprowadzili wybory według dawnych pięcioprymiotnikowych zasad, do jakich nas chętnie nawoływaj, Mikołajczyk zdobyłby pewnie większość głosów. Wtedy dopiero nastąpiłoby nieścisłość, doszłoby do otwartej, długotrwałej wojny domowej, w której chyba brałby udział całe wrogi armie.

Przy tych słowach, wspomina Łukasiewicz, Bierut uśmiechnął się i powiedział jeszcze:

— Jedno jest pewne, że to, co jest naszym obowiązkiem, my, komuniści, spełniliśmy należycie.

Zanotowałem sobie ten obrazek, bo gdy o nim czytałem cztery lata temu, wywarł na mnie duże wrażenie. Oto prezydent państwa, który stał się nim dzięki tylko co ukończonemu wyborom, mówi swojemu sekretarzowi z uśmiechem, że wybory te nie były wcale pięcioprymiotnikowe, a to znaczy, wcale nie były wyrażone niechęcią, woli wyborców; że to manipulowanie wyborami on, Bolesław Bierut, uważał za obowiązek komunisty; że komuniści, w żadnym wypadku, nie podporządkowaliby się wyrażo-

nej, niepomysłnej dla nich woli wyborców i musiałaby wybuchnąć wojna domowa.

To prawda, że ludzie zorientowani w pokrętnych mrokach polityki wiedzieli i wtedy, i później, że tak właśnie sprawy stoją. Co innego jednak usłyszeć o tym z ust człowieka stojącego na czele państwa i narodu.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI



Sport

Nowy sposób na skomplikowanie sportowego życia

Dobre pomysły rodzą niekiedy bardzo złe skutki. W Bielsku-Białej przewodniczący WRN doszedł do wniosku, że w tamtejszych klubach sportowych źle się dzieje i nastąpił nie... Izbę Skarbową z Katowic. W Bielsku-Białej Izby Skarbowej wówczas nie było. O co posadzał tamtejsze kluby sportowe przewodniczący WRN? Posadzał je o te same grzechy, które popełniają inne kluby w innych częściach Polski. A więc fikcyjne etaty dla zawodników, płacenie premii i pożyczek w wysokościach przekraczających ustalone przepisami sumy oraz różne inne nieprawidłowości występujące w klubowej gospodarce.

Sprawami tymi zajęła się też Prokuratura Wojewódzka w Bielsku-Białej. Sporządzono nie tylko akty oskarżenia, ale i pismo do Komitetu Młodzieży i Kultury Fizycznej, w którym wskazano na szereg nieprawidłowości, jakie występują w sporcie. Nieprawidłowości takie występują nie tylko w klubach województwa bielskiego i jeśli sport polski ma wyjść z kryzysu, to trzeba zaangażować nie tylko jedną Izbę Skarbową i nie jedną prokuraturę. W Bielsku-Białej bowiem dobry pomysł przewodniczącego WRN wydał złe skutki. Ciągna się procesy, wnoszą się i wycofują oskarżenia, po mieście krążą plotki, wreszcie ten sam przewodniczący WRN... bierze w obronę ludzi oskarżonych w wyniku jego wniosku o zbadanie stanu gospodarki w sporcie.

Minister Aleksander Kwaśniewski zdaje sobie sprawę z bałaganu i nieprawidłowości, jakie występują w polskim sporcie i wymyślił nawet program sanacji polskiego sportu. A ponieważ mamy sezon zimowy, sporty zimowe u nas dosięgły już dna i prędko się nie podniosą, pełno w prasie sportowej dyskusji o ratowaniu sportu. Jedni podważają prawne podstawy, na jakich oparto decyzję o zawieszeniu zarządu PZLA, wyraźnie wyrażając, że dokonano tego wbrew prawu. I na dodatek na 7 ty-

godni przed walnym zjazdem. Ich zdaniem można było czecz zmienić — jeśli już była taka potrzeba — inaczej, a przede wszystkim zgodnie z prawem. Inni natomiast zawzięcie dyskutują nad programem sanacji polskiego sportu.

Dziwne rzeczy dzieją się w naszym wspaniałym kraju. Rząd powiada, że będzie programowo sprawy stojące na głowie przedstawiał na nogi, a jedno z ministerstw tego rządu robi jakby coś wręcz przeciwnego. Zawsze mi się wydawało, że podstawą życia sportowego w Polsce są kluby. Kluby są różne: duże i małe, silne i słabe, niektóre wręcz racjonalne, specjalizujące się w jednej dziedzinie sportu lub zajmujące się wszystkim po trochu. Nie potrafię wyobrazić sobie innej struktury organizacyjnej sportu w Polsce, jak tylko opartej na klubach. A tymczasem program sanacji polskiego sportu pomija w ogóle sprawę klubów. Zakłada się w nim bowiem — moim zdaniem błędnie — że wszystko, co będzie działało w sporcie musi być podporządkowane udziałowi w nim, a w 1992 roku w Barcelonie.

Wyodrębniono nawet 10 dyscyplin sportu, na które położą się specjalny nacisk, jako na dyscypliny... olimpijskie. Należą do nich: boks, judo, kajakarstwo, lekkoatletyka, kolarstwo, zapasy, podnoszenie ciężarów, szermierka, pływanie i wioślarstwo. Utrzymano sztab sportowy, który pracował przed Olimpiadą w Seulu, a który ma teraz przygotowywać zawodników do Olimpiady w Barcelonie. Ma to bowiem zapewnić za 4 lata kolejny sukces.

Zawsze mi się wydawało, że dla postępu niezbędne jest upraszczanie wszelkich struktur. To biurokracja wymaga ich mnożenia i komplikowania, gdyż ona musi nieustannie potwierdzać zasadność swego istnienia. A jak to może być, jeśli nie przez mnożenie samej siebie? Założono więc przekształcenie Instytutu Sportu w Centrum Naukowo-Metodyczne Sportu, zreformowanie Centralnego Ośrodka Sportu i... powołanie 8 regionalnych związków sportowych. Przy tym wszystkim aparat administracyjny związków sportowych ma być pomniejszony o 25 procent, co zakręca na znakomity dowcip. Idea powołania makroregionów, która narodziła się po reformie administracyjnej w połowie lat siedemdziesiątych, od wielu lat śpi już snem wiecznym, a sportowi reformatorzy chcą ją obudzić z tego snu. I po co?

Zgadzałem się z tymi wszystkimi, którzy uważają, że reformowanie sportu należy zaczynać od dołu — od klubów. Być może tu również powinna zacząć działać zasada selekcji, ale nie operująca się na odgórnych wytycznych, kogo „wyselekcjonować”, a kogo zostawić, ale na naturalnym prawie bankructwa. Słabe kluby powinny paść, silne mieć dobre warunki dla dalszego rozwoju. Jeśli miasto, województwo czy gmina, chcą mieć klub tylko dla splendoru, to niech nań łożą, jeśli klub sam się nie może utrzymać. Ale niech też ten klub coś znaczy. Reanimację zostawmy lekarzom.

Centralna administracja sportowa jest od tego, aby stwarzała klubom prawne i społeczne warunki istnienia i rozwoju, aby ustalała politykę sportową, służyła pomocą i radą oraz stała na straży etyki sportowej. Trójkę o szkolenie trzeba zostawić trenerom, zawodnikom i działaczom. W sporcie, jak i w innych dziedzinach naszego życia, potrzeba jest przedsiębiorczości. Nie zastąpią jej żadne — nawet naimadziej — ustawy i zarządzenia. One też są potrzebne — te ustawy, ale one się szybko — jak wykazała to praktyka ostatnich 5 lat — dezaktualizują. Dlatego nie wolno komplikować życia tworzeniem nowych struktur pośrednich, co w końcu okazuje się zawsze działaniem pozornym. A ku temu zmierzają proponowane projekty mające „wdrożyć sport polski”.

BOGDA MADEJ

ODGŁOSY 15

POLONIT

ZAKŁADY USZCZELNIENI I WYROBÓW
AZBESTOWYCH
„P O L O N I T”
ul. Rewolucji 1905 r. nr 52
90-213 Łódź

Telefony: Centrala 32-50-14 do 19
Dział Techniczno-Produkcyjny 33-51-82
Telex: 886773 azbe pl

O F E R U J A

BEZAZBESTOWE
SZNURY TERMOIZOLACYJNE CSA

z ciętych włókien szklanych,
w oplocie z jedwabiu szklanego.

Dane techniczne:

- produkowane średnice ϕ 30 i ϕ 40 mm
- odporność termiczna do 450 st. C.
- współczynnik przewodzenia ciepła: ok. 0,07 W/mK.

3265/K

WESTA
TWOJA
SZANSA!



SZUKASZ DOBREJ, ZAJMUJĄCEJ PRACY —

▲ ZGŁOŚ SIĘ DO NAS! ▲

Z A T R U D N I M Y

POŚREDNIKÓW UBEZPIECZENIOWYCH
PRACOWNIKÓW BIUROWYCH.

Kandydatom posiadającym praktykę w działalności ubezpieczalni zapewniamy wyższe wynagrodzenie.

▲ CZEKAMY NA CIEBIE ▲

Wszelkich dodatkowych informacji udzielają pośrednicy WESTY oraz nasze przedstawicielstwa:

- Sieradz, ul. Wyzwolenia 2, tel. 715-68,
- Rawa Mazowiecka, ul. Polna 8, tel. 44-26,
- Bełchatów, Osiedle Tysiąclecia, blok 7, m. 54, tel. 48-69-05,
- Łódź, ul. Nowotki 8, tel. 32-56-61.

3377/K

PRZEDSIĘBIORSTWO PRZEMYSŁU ODZIEŻOWEGO

w Łodzi, ul. Beskidzka 54

telefon nr 57-42-30

Z A T R U D N I

mężczyzn w zawodach:

- * KRAWIEC — BRYGADZISTA
- * ELEKTRYK
- * MECHANIK MASZYN SZWALNICZYCH.

7506/K

PRACOWNIA
KOMPUTEROWEJ
DIAGNOSTYKI

USG

ULTRASONOGRAFICZNEJ

SONAREX

wykonuje u dorosłych i dzieci badania ultradźwiękowe:
- wątroby - pęcherzyka żółciowego - pęcherza moczowego
- nerek - wrzesań i pęcherzy - gruczołu krokowego
- trzustki - gruczołów piersiowych - narządów płciowych
codziennie w godz. 15-17, soboty 10-12.
stałów biodrnych u niemowląt w środy godz. 15-17

ul. Piotrkowska 182 m. 299

MANHATTAN (za Domusem) tel. 36 22 17

*** Diagnostyka omulacji. Komputerowa ocena rozwoju ciąży. ***

CERAMET

SPÓŁKA Z O.O.



PRZYJMUJE ZAMÓWIENIA
NA USŁUGI REKLAMOWE

plansze informacyjne

znaki graficzne projektowanie
i wykonanie

szyldy i plansze reklamowe

projektowanie wystaw i pomie-
szczeń handlowych

ZAMÓWIENIA PROSIMY KIEROWAĆ POD ADRESEM:

90-050 Łódź, skr. pocztowa 290 lub telefonicznie 36-60-11 wewn. 293

Z WOJCIECHEM W ŚWIAT

Wielkanoc Wiosna Wakacje 1989

Z WOJCIECHEM PO POLSCE

dla Twojej Rodziny, Przyjaciół, Znajomych
z całego świata

WIELKANOC i WIOSNA

— kilkunastodniowe wyjazdy samolotem do Aten, Rzymu, Londynu, Paryża + Lourdes, Helsinek + Tampere oraz autokarem na narty w Alpy Austriackie i Francuskie, zakwaterowanie w hotelach, wyżywienie całodzienne lub częściowe. Opłaty za pobyt w dewizach, przejazd w zlotówkach.

WAKACJE 1989

Autokarem — przez campingi świata —

20 dni — Grecja z 7-dniowym pobytem na Peloponezie, cena ok. 70 dol. USA + 90.000 zł
22 dni — 3 morza — Czarne — Śródziemne — Egejskie, cena ok. 80 dol. USA + 98.000 zł
22 dni — ZA KRAG POLARNY — Finlandia — Norwegia cena ok. 190 dol. USA + 40.000 zł + bilet na prom do Helsinek

25 dni — GRECJA i WŁOCHY (promem przez Adriatyk) — cena ok. 145 dol. USA + 98.000 zł

30 dni — HISZPANIA i MAROKO (Sahara) — cena ok. 165 dol. USA + 130.000 zł

Własnym samochodem

KORSYKA — camping 7 lub 14 dni pobytu + opłacony prom z Marsylii lub Niciel — zakwaterowanie w przyczepach campingowych lub bungalowach, własne wyżywienie. Za 7 dni od osoby 190 dol. USA, tydzień dodatkowy od 75 dol. USA do 320 dol. USA.

SARDYNIA — Hotel — 7 lub 14 dni pobytu + opłacony prom z Niciel lub Marsylii — zakwaterowanie: apartamenty 2- i 3-osobowe z łazienkami, własne wyżywienie — ceny od 350 do 500 dol. USA, tydzień dodatkowy od 350 do 400 dol. USA

BALEARY — Hotel, opłacony prom z Barcelony, całodzienne wyżywienie, ceny od 450 do 520 dol. USA za 1 tydzień — tydzień dodatkowy ok. 270 dol. USA

Samolotem

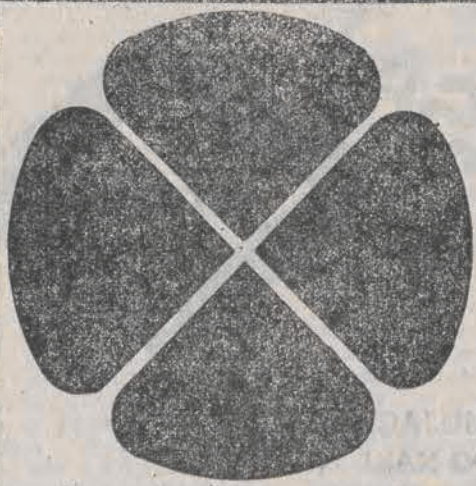
W przygotowaniu wypocznik w Maroku, Algierii oraz samolotem lub własnym samochodem w Turcji (Morze Egejskie), Włoszech (Morze Adriatyckie), inne.

DLA WSZYSTKICH RODZIN, PRZYJACIOŁ, ZNAJOMYCH z całego świata organizujemy wypocznik i zwiedzanie POLSKI, pomagamy załatwić bilety na samoloty i wizy itp.

INFORMACJE — ZAPISY — BIURO PODRÓŻY mgr. tur. Wojciecha Marzyńskiego, 90-135 Łódź — ul. Narutowicza 24, tel. 32-62-71 lub 32-21-98 od poniedziałku do piątku w godz. 10-17.

3364-k

Ogłaszaj się w „Odgłosach”



tau

TURYSTYCZNA AGENCJA USŁUGOWA

ZMW „TAU” O/LÓDŹ
Łódź, ul. Próchnika 1
tel. 33-91-38 tlx 886775

Z A P R A S Z A

DO KORZYSTANIA Z NASZYCH USŁUG
PROponujemy:
W ZAKRESIE TURYSTYKI KRAJOWEJ

- * wczasy
- * wycieczki
- * obozy
- * pośrednictwo w załatwianiu noclegów, wyżywienia, transportu itp.
- * organizacja seminariów, sympozjów naukowych.

W ZAKRESIE TURYSTYKI ZAGRANICZNEJ:

- * wycieczki do krajów kapitalistycznych i socjalistycznych
- * wczasy
- * obozy

SERDECZNIE ZAPRASZAMY
Gwarantujemy sprawną i fachową obsługę.

3416/K

„PINOKIO”

Ostatni grosz w dłoni nędzarza — ostatnia szansa, jedyna nadzieja. A jeśli jeszcze wtrąca się Święta i Diabeł?

- niespodziewane wydarzenia,
- cuda niebieskie i diabelskie pułapki,
- trudne pytania i niełatwe odpowiedzi,
- śmiech i wzruszenie,
- znakomite akterstwo

w autorskim spektaklu Piotra Tomaszuka

„TURLAJGROSZEK”

DLA STARSZYCH DZIECI I DOROSŁYCH

scenografia — Mikołaj Malesza, muzyka — Krzysztof Dzierma, w sali prób Państwowego Teatru Lalek „Pinokio”, Łódź, ul. Targowa 25.

Rezerwacja biletów: tel. 74-75-84.

3389/K



Baltona

PHU „OTEX” w ŁODZI

PHZ „BALTONA” SA w GDYNI

Z A P R A S Z A J A

DO SWOJEGO STOISKA

w Hali Sportowej

(od al. Politechniki)

w czasie Łódzkiej Gwiazdki (w dniach:
13—20 grudnia 1988), polecając:

- * sprzęt RTV i audiowizualny
- * zabawki
- * papierosy
- * galanterię cukierniczą.

Stoisko będzie czynne w godz. 10—18.

UWAGA! Przewidziane atrakcyjne premie.

„ŻYCZYMY UDANYCH ZAKUPÓW”

3412/K



AUTOCAD



AUTORYZOWANE CENTRUM SZKOLENIOWE

PROFESJONALNE STANOWISKA ROBOCZE
CAD/CAM

komputery, monitory graficzne,
plotery, digitizery, skanery oraz

OPROGRAMOWANIE W JĘZYKU POLSKIM

Autoryzacja renomowanych firm
europejskich i amerykańskich

aplikom

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-HANDLOWE
ZASTOSOWAŃ INFORMATYKI „APLIKOM” Sp. z o.o.
91-738 Łódź, ul. Limanowskiego 129

Tel.: 34-39-32

2691/K

ZRZESZENIE STUDENTÓW POLSKICH



Amatur Biuro Podróży i Turystyki

Oddział w Łodzi ul. Piotrkowska 51 tel. 33-61-12, 86-44-79

Proponuje amatorom białego szaleństwa

NARCIARSKIE OBOZY
SZKOLENIOWO-WYPOCZYNKOWE

w kraju i za granicą:

- * BRENNA,
- * ZAKOPANE,

- * SZKLARSKA PORĘBA,
- * JELEŚNIA

jak również u naszych sąsiadów

- * w CZECHOSŁOWACJI i NRD.

Szczególne preferencje dla studentów, członków ZSP.

3413/K

tel. 57-55-55
rok założenia 1958
Łódź, ul. Nawrot 2a

Prywatne pogotowie lekarzy specjalistów

WIZYTY DOMOWE, KONSULTACJE
i ZABIEGI
w zakresie:

- pediatrii ogólnej oraz: laryngologii, chirurgii, neurologii, kardiologii, okulistyki, dermatologii i ortopedii dziecięcej
 - interny oraz: kardiologii, hematologii, pulmonologii, endokrynologii, gastrologii
 - chirurgii miękkiej i ortopedii
 - urologii
 - neurologii i psychiatrii
 - dermatologii, reumatologii
 - okulistyki
 - ginekologii
 - EKG u pacjenta
- Zlecenia przyjmujemy w dni powszednie 8—20, w dni wolne od pracy 9—22, tel. 57-55-55.
Honoraria stałe bez względu na dzień tygodnia i porę dnia.

Gabinet rentgenowski

33-26-79

O F E R U J E
PEŁNY ZAKRES BADAŃ RTG
czynny w godz. 9—16
oprócz sobót i niedziel

Pracownia ultrasonografii

33-26-79

WYKONUJE BADANIA: wątroby, pęcherzyka i dróg żółciowych, trzustki, nerek, gruczołu krokowego, narządu rodowego, owulacji, ciąży, rozwoju ciąży, trofii płodu, tarczycy, sutków. Wczesna diagnostyka stawów biodrowych u dzieci.
KONSULTACJE GINEKOLOGICZNE.

Informacje i zapisy telefonicznie: tel. 33-26-79 (9—16).

Badania codziennie w godz. od 14, soboty 10—12, wtorki od 9.

ZAKŁADY PRZEMYSŁU KONFEKCYJNEGO „D A N D Y S”

w Łodzi, ul. Traktorowa 148/158

O G Ł A S Z A J A
PRZETARG NIEOGRANICZONY
na sprzedaż

1. Samochodu typ ŻUK A 06,
rok produkcji 1984, stopień zużycia 75 proc., cena wywoławcza 410.000 zł.
2. Samochodu typ ŻUK A 011,
rok produkcji 1983, stopień zużycia 70 proc., cena wywoławcza 500.000 zł.
3. Samochodu STAR 28 furgon,
rok produkcji 1975, stopień zużycia 75 proc., cena wywoławcza 830.000 zł.
4. Samochodu STAR 29 furgon,
rok produkcji 1975, stopień zużycia 75 proc., cena wywoławcza 640.000 zł.

Przetarg odbędzie się w dniu 14.XII.1988 r., o godz. 10.00 na terenie przedsiębiorstwa.

Osoby biorące udział w przetargu winny wpłacić wadium w kasie zakładu w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej, najpóźniej w przeddzień przetargu.

Nie bierzemy odpowiedzialności za wady oraz nie uzupełniamy braków w wyposażeniu.

Pojazdy można oglądać w dniach od 12 do 13 grudnia, w godzinach od 10 do 14. Zastrzegamy sobie prawo odstąpienia od przetargu bądź jego unieważnienia bez podania przyczyn.

3388/K

UWAGA FONOAMATORZY! nowo otwarty sklep

spółki z o.o. PROSPEKT /J.G.U./

oferuje w ciągłej sprzedaży nagrane kasety firmy

STARLING

na taśmach BASF oraz komisowa sprzedaż

- * PŁYT GRAMOFONOWYCH
- * PLAKATÓW
- * KASET MAGNETOFONOWYCH
- * SOUVENIR POP-MUSIC
- * SPRZĘTU NAGŁASNIĄJĄCEGO
- * ODTWARZACZY WIDEO

Działamy również w układzie

KUPNO - SPRZEDAŻ

Zapraszamy PT Klientów do naszego PUNKTU

ul. Narutowicza 29 (róg Kilińskiego) w Łodzi.

Natychmiastowe dostawy profesjonalnych komputerów osobistych typu

IBM PC XT/AT TURBO

DRUKARKI = PLOTTERY = DIGITYZERY = DYSKIETKI

= SIECI i WIEŁODOSTĘP

GWARANCJA DO 24 MIESIĘCY!

Kompleksowa oferta to również:

- * LATWE W OBSŁUDZE OPROGRAMOWANIE
- * 130 POZYCJI LITERATURY
- * SZKOLENIA

PI-W „Wifama MEZcompu”

ul. Niciarniana 41/45, tel. 74-97-30, tlx 886783.

3090/K

POLSKIE TOWARZYSTWO TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZE

BIURO OBSŁUGI RUCHU
TURYSTYCZNEGO PTTK

Oddział w Łodzi,

ul. Piotrkowska 70

Z A P R A S Z A

DO SKORZYSTANIA

Z NASZYCH USŁUG

w zakresie:

- zagranicznej turystyki indywidualnej (aktualnie wyjazdy świąteczne BRL, WRL),
- wycieczek autokarowych po kraju,
- fachowego przewodnictwa,
- transportu autokarem i mikrobusem,

— krajowej turystyki pobyto-

wej. Aktualnie prowadzimy

sprzedaż skierowań na

wczasy zimowe, pobyty

świąteczne, obozy narciarskie

między innymi do:

KARPACZA, DW. „NEPTUN”

w terminach:

23.12.88.—2.01.89

15.01.89.—21.01.89.

15.02.89.—27.02.89.

23.03.89.—29.03.89.

SZYMBARKU,

DW. „PEWEŁKA” —

27.12.88.—3.01.89.

SZCZYRKU,

(obóz narciarski) —

23.12.88.—2.01.89.

BUKOWINY TATRZAŃSKIEJ

(kwatery prywatne) —

14.01.88.—27.01.89.

13.02.88.—26.02.89. 3387/K

Spółdzielnia Pracy

Urządzeń Mechanicznych i Narzędzi

„METALOWIEC”

w Łodzi, ul. Brzozowa 11/15

ZATRUDNI NATYCHMIAST:

- * TOKARZY
- * FREZERÓW
- * SZLIFIERZY-POLEROWNIKÓW
- * ŚLUSARZY
- * ELEKTRYKA
- * LAKIERNIKA

Wynagrodzenie wg zakładowego systemu wynagradzania. Zgłoszenia przyjmuje i informacji udziela stanowisko do spraw pracowniczych — tel. 84-47-42.

7136/K



SPÓŁDZIELCZE BIURO TURYSTYCZNE „TURYSTA”

Oddział w Łodzi, ul. Piotrkowska 5,
tel. 36-08-20 lub 33-58-32

OFERUJE SVOJE USŁUGI

w zakresie:

- Organizacji wycieczek krajowych dla szkół i zakładów pracy autokarami „Turysty”;
- Wynajmu autokarów na przewozy krajowe i zagraniczne dla zakładów pracy, organizacji i osób prywatnych.

OFERUJE TAKŻE:

- Wczasy krajowe i obozy młodzieżowe,
- Wycieczki zagraniczne.

UWAGA:

w miesiącach od listopada do kwietnia
znaczna obniżka cen i marż na wszystkie
usługi.

Już obecnie przyjmujemy zgłoszenia na organizację:

- obozów dla młodzieży w okresie ferii zimowych,
- wczasów świąteczno-sylwestrowych.

Z A P R A S Z A M Y!

w godz. 10—16.

3386/K

BANGLAPO

SPÓŁKA Z O.O.

Łódź ul. Traugutta 5

tel. 33 64 51, 33 64 80

O F E R U J E

- * Handel hurtowy chemikaliami
- * Pośrednictwo kupna-sprzedaży artykułów chemicznych
- * Doradztwo w branży chemii
- * Usługi kseroaparatem Canon (wielonakładowe ze zniżką)

Z A T R U D N I

- * Kierownika biura
- * Księgowego
- * Pełnomocnika ds. turystyki
- * Pracownika do obsługi ksero

P O S Z U K U J E

- * Lokalu produkcyjno-magazynowego.

3349/K

ŁÓDZKI BANK ROZWOJU-SPÓŁKA AKCYJNA

już dziś — Twoja firma może zostać współwłaścicielem banku lub korzystnie ulokować wolne środki,

jutro — skorzystać z kredytów i usług naszego banku,

pojutrze — może wspólnie zrobimy dobry interes!
— masz pomysł, przyjdź do nas.

BIURO LBR SA
— Łódź, ul. Piotrkowska 148/150,
pokój 1115, tel. 36-17-16.

Zarząd Łódzkiego Banku Rozwoju SA przypomina, że tylko do 20 grudnia 1988 r. przyjmuje

Z A P I S Y

NA AKCJE II EMISJI

Cena emisyjna akcji 600.000 zł za sztukę.

Jednocześnie informujemy, że bank:

- * przyjmuje lokaty środków pieniężnych jednostek gospodarczych i organizacji społecznych na najkorzystniejszych warunkach w kraju, również na warunkach indywidualnie uzgodnionych,
- * zakłada i prowadzi rachunki jednostek gospodarki uspołecznionej, rad narodowych i organizacji społecznych.
- * udziela kredytów i pożyczek jednostkom posiadającym rachunki w LBR SA.

3418/K

uwaga pracodawcy!

ZAPEWNIĄ ZAKŁADOM PRACY

przejęcie Waszych obowiązków w przypadku, gdy zgodnie z prawem pracy zakład będzie zobowiązany do wypłaty rodzinie zmarłego pracownika odprawy pośmiertnej oraz zapewni wypłacenie tej odprawy w przypadku śmierci pracodawcy, który jest krajową osobą fizyczną tzn. właścicielem prywatnej firmy.

Ubezpieczonym i uprawnionym z umowy ubezpieczeniowej jest zakład pracy lub pracodawca opłacający składki.

Wysokość odprawy pośmiertnej określa kodeks pracy. W przypadku śmierci pracodawcy odprawę tę określa się na:

- jednomiesięczne wynagrodzenie przy okresie zatrudnienia do 10 lat,
- trzymiesięczne wynagrodzenie — przy okresie zatrudnienia co najmniej 10 lat,
- sześciomiesięczne wynagrodzenie — przy okresie zatrudnienia co najmniej 20 lat.

Przez wynagrodzenie rozumie się w przypadku pracodawców średnie wynagrodzenie pracow-

ników w jego zakładzie pracy zwiększone o 50 procent.

Odprawę wypłaca się uprawnionemu członkowi rodziny zmarłego pracownika zgodnie z prawem pracy, w imieniu ubezpieczonego pracodawcy lub zakładu pracy albo zwraca się ją pracodawcy lub zakładowi pracy. Na identycznych zasadach wypłaca się odprawę uprawnionemu członkowi rodziny ubezpieczonego pracodawcy.

Ustala się eksperymentalną składkę miesięczną w wysokości określonej w tabeli:

Klasa niebezpieczeństwa w zależności od rodzaju wykonywanej pracy	I	II	III	IV
Stopa składki w proc.	1,5	1,8	2,1	2,5

NIE ZWLEKAJ Z UBEZPIECZENIEM!

Wszelkich dodatkowych informacji udzielają pośrednicy WESTY oraz nasze przedstawicielstwa:



- Sieradz, ul. Wyzwolenia 2, tel. 715-68,
- Rawa Mazowiecka, ul. Polna 8, tel. 44-26,
- Bełchatów, Osiedle Tysiąclecia, blok 7, m. 54, tel. 48-69-05,
- Łódź, ul. Nowotki 8, tel. 32-56-61.

Zatrudnienie większej liczby pracowników związane jest z dopełnieniem wielu formalności natury organizacyjno-prawnej. Postaraj się, aby WESTA przejęła od Ciebie te kłopoty przynajmniej w ostatniej drodze Twego pracownika.

3376/K